cena 15 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #215 07-08/2024

Agnieszka Kowalczyk
SIOSTRY ZAKONNE POWSTAŃCZEJ WARSZAWY

Piotr Lisiewicz
SZALONY LOT KONDORA Z POLSKI

Stefan Czerniecki
NEAPOL ŚLADAMI MARADONY

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

AKCJA DEGRADACJA



Dlaczego Tusk zawsze osłabia Polskę

ISSN 1895-4960

OKŁADKA: MARIUSZ TROLIŃSKI STUDIO; FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/ GAZETA POLSKA, MAT. PRAS., WIKIPEDIA(3), ADOBE STOCK (6)

eprasa.pl aca4cd9bff

TEMAT NUMERU ▼ 4–13



„Dziurawy płot" na granicy z Białorusią a nielegalna migracja z Zachodu / 4

IDEE ▼ 14–24



Liberałowie chcą krwi / 14

HISTORIA ▼ 26–54



Szalony lot Kondora z Polski / 26

KULTURA ▼ 60–71



Potwór z jeziora czy potworna blaga? / 60

ŚWIAT ▼ 72–97



Rosja gnije od środka. Wojna z Ukrainą jak zabójczy wirus / 72

Spis treści

TEMAT NUMERU

Arkadiusz Puławski
„Dziurawy płot" na granicy z Białorusią a nielegalna migracja z Zachodu 4

Ryszard Czarnecki
Hańba domowa 9

Piotr Grochmalski
Granice kłamstw Tuska i degradacji Polski 10

IDEE

Dawid Wildstein
Liberałowie chcą krwi 14

Jakub A. Maciejewski
Dezintegracja pozytywna Kazimierza Dąbrowskiego 18

Małgorzata Matuszak
W demograficznym „punkcie zwrotnym" 22

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Szalony lot Kondora z Polski 26

Dariusz Jarosiński
Niemieccy zbrodniarze z Powstania Warszawskiego pozostali bezkarni 32

Agnieszka Kowalczyk
Siostry zakonne powstańczej Warszawy 38

Ewa Polak-Pałkiewicz
Wandea, siostra Polski 44

Konstancja Skirmuntt
Idea jagiellońska a polityka kresowa 50

Tomasz Łysiak
Ankona – polskie zwycięstwo nad Adriatykiem 52

KULTURA

Łukasz Czarnecki
Potwór z jeziora czy potworna blaga? 60

Krzysztof Wołodźko
Polska dusza, polski garb. Po odejściu Ernesta Brylla 66

Krzysztof Karnkowski
Z kamerą w szkole i przedszkolu 70

ŚWIAT

Antoni Rybczyński
Rosja gnije od środka. Wojna z Ukrainą jak zabójczy wirus 72

Tomasz Gromadka
Ciastka od Matki Rosji, czyli co usłyszałem od Moskali trzy lata przed wojną 78

Hanna Shen
Jaka będzie polityka Trumpa? 83

oprac. Antoni Rybczyński
Eurowybory wzmocniły prawicę, klęska Macrona i Scholza. Są też niepokojące sygnały 86

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 90

Stefan Czerniecki
Neapol śladami Maradony 92

Stałe **rubryki**



Katarzyna Gójska
Akcja degradacja. Tusk zawsze osłabia Polskę
NA POCZĄTEK 3



Ryszard Czarnecki
Wiatr od stepu, czyli w ojczyźnie Czyngis-chana
CZARNECKO TO WIDZĘ 25



Małgorzata Matuszak
Czym jest... ironia
KATECHIZM INTELIGENTA 55



Krzysztof Wołodźko
Ballada o transformacji
DZIENNIK LEKTUR 56



Marek Kalinowski
W gwiazdorskich duetach
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 65



Marcin Wolski
Obrona konieczna!
PAPKULTURA 98



Tomasz Sakiewicz
Zdążyć przed rozpadem
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bišta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl aca4cd9bf



Katarzyna Gójska

Akcja degradacja. Tusk zawsze osłabia Polskę

Tusk w czasie niespełna dwóch kadencji swego pierwszego premierostwa rozbił bank degradacji Polski. Żaden inny szef rady ministrów w historii naszego kraju po 1989 roku nie był w stanie „poszczycić się" takimi osiągnięciami. Od 13 grudnia ubiegłego roku trwa kolejna runda rządów lidera Platformy.

Udział Donalda Tuska we władzy w Polsce zawsze kończy się tak samo – osłabieniem. Gdy współuczestniczył w obalaniu pierwszego demokratycznego rządu RP (na którego czele stał premier Jan Olszewski) – z determinacją licząc głosy opcji antywolnościowej – skończyło się zablokowaniem procesu rugowania komunistycznej bezpieki z instytucji kierujących państwem oraz z systemu bezpieczeństwa. Powrót Tuska po latach, już jako szefa rządu, zaowocował nieprawdopodobnie głęboką polityką prorosyjską, śmiercią urzędującego prezydenta RP, generałów, szefów najważniejszych urzędów i parlamentarzystów. Tusk w czasie niespełna dwóch kadencji swego pierwszego premierostwa rozbił bank degradacji Polski. Żaden inny szef rady ministrów w historii naszego kraju po 1989 roku nie był w stanie „poszczycić się" takimi osiągnięciami. Od 13 grudnia ubiegłego roku kolejna runda rządów lidera Platformy zaowocowała już: bezprecedensowym zniszczeniem mediów publicznych, rozbiciem inwestycji strategicznych, zdemolowaniem praworządności i śmiercią polskiego żołnierza w obronie granicy RP. Sam ten krótki bilans dorobku politycznej aktywności obecnego premiera każe zadać pytanie, jaką misję realizuje w polskim życiu publicznym? Jakie ma cele? Do czego dąży? Naprawdę trudno opisać jakiś jego pozytywny plan, bo nawet jeśli w programie wyborczym jego formacji znajdują się – a znajdują – warte realizacji propozycje, to przecież z doświadczenia wiemy, iż właśnie one nigdy nie wejdą w życie. Rządy Tuska oznaczają zawsze degradację Polski, i to w każdym wymiarze. W sferze bezpieczeństwa, gospodarki, kultury, polityki zagranicznej i historycznej. Zupełnie tak, jakby szef rządu nosił w sobie jakąś głęboką urazę wobec miejsca, w którym przyszło mu żyć. Ta słynna już „polskość to nienormalność" zdaje się być czymś znacznie poważniejszym niż niezręczną zbitką słowną, która wyszła spod pióra rozgoryczonego człowieka. Wystarczyło nieco ponad pół roku, by wszystkie strategiczne dla przyszłości RP inwestycje infrastrukturalne albo zostały sparaliżowane, albo opóźnione o ponad dekadę. Na naszej granicy panuje chaos. Żołnierzy i funkcjonariuszy tropi specjalny zespół śledczych, którzy działają wedle zeznań ludzi atakujących Polskę od pierwszych dni wojny hybrydowej. Sytuacja budżetowa państwa bezsprzecznie wpłynie na ograniczenie wydatków na obronność, nielegalne działania władzy wobec konstytucyjnych organów państwa: Trybunału Konstytucyjnego, KRS, Prokuratury Krajowej oraz poszczególnych sędziów – destabilizują sytuację wewnętrzną. Odżywa pedagogika wstydu. Z Muzeum II Wojny Światowej pod osłoną nocy usunięto materiały opowiadające o bohaterach narodowych. Warto pamiętać jednak, iż nie jest to pierwszy zwiastun jej przywracania. Wcześniej był demontaż upamiętnienia Polski w ministerstwie klimatu, rezygnacja z obchodów Dnia Żołnierzy Wyklętych, a wręcz przywracanie wobec nich komunistycznej czarnej propagandy i zlekceważenie 80. rocznicy bitwy pod Monte Cassino. Wraca Tusk, wraca degradacja Polski. Ale tym razem z turbodoładowaniem. ■

RZĄDY TUSKA OZNACZAJĄ ZAWSZE DEGRADACJĘ POLSKI, I TO W KAŻDYM WYMIARZE. W SFERZE BEZPIECZEŃSTWA, GOSPODARKI, KULTURY, POLITYKI ZAGRANICZNEJ I HISTORYCZNEJ. ZUPEŁNIE TAK, JAKBY SZEF RZĄDU NOSIŁ W SOBIE JAKĄŚ GŁĘBOKĄ URAZĘ WOBEC MIEJSCA, W KTÓRYM PRZYSZŁO MU ŻYĆ.

eprasa.pl aca4cd9bff



Prawie niezauważona, bo zagłuszona innymi „gorącymi" tematami, rozwija się nowa kampania PO wymierzona w Zjednoczoną Prawicę. Polega na przeciwstawianiu Tarczy Wschód, czyli projektu ufortyfikowania granicy RP z Białorusią, zaporze postawionej tam przez poprzedni rząd. Poza zwyczajowym atakiem na „zły PiS" kampania ta ma służyć Platformie do obarczenia go odpowiedzialnością za nielegalną migrację – zarówno tę wpychaną nam przez białoruskie służby, jak i tę nadchodzącą – zza Odry.

Arkadiusz Puławski

„Dziurawy płot" na granicy z Białorusią a nielegalna migracja z Zachodu

eprasa.pl aca4cd9bfi



OKŁADKA: MARIUSZ TROLIŃSKI STUDIO FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/GAZETA POLSKA, MAT. PRAS., WIKIPEDIA/CC, ADOBE STOCK (6)

Plansza przedzielona na pół. Po lewej stronie zdjęcie portretowe ministra spraw wewnętrznych i administracji i koordynatora służb specjalnych Tomasza Siemoniaka. Minister jest uśmiechnięty i wyluzowany. Ma śnieżnobiałą koszulę rozpiętą pod szyją. Stoi na tle polskiej flagi. Po prawej stronie planszy jego poprzednik z rządu Zjednoczonej Prawicy, Mariusz Kamiński. Ma zaciśnięte usta, jest spięty i zafrasowany. Zdjęcie jest czarno-białe. Nad podobizną Siemoniaka widnieje napis: „Buduje »Tarczę Wschód«, broniącą polskiej granicy". Zaś nad ponurym zdjęciem Kamińskiego czytamy: „Zbudował dziurawy, nieefektywny płot".

Czysta kalkulacja polityczna i hipokryzja

To opis jednej z infografik, która stanowi część rozpoczętej niedawno przez KO, kolejnej odsłony kampanii anty-PiS. Uruchomiono ją wraz z szumnym ogłoszeniem projektu Tarczy Wschód pod koniec maja. Zakłada on budowę fizycznych barier, umocnień terenu i bunkrów wzdłuż granicy z Białorusią i obwodem królewieckim. Szacowany koszt fortyfikacji to 10 mld zł. Ale tarcza ma jeszcze jedną swoją nazwę, nadaną i propagowaną przez sztabowców Platformy i przyswojoną przez sprzyjające rządowi media – „Linia Tuska". Na innej infografice w ramach tej samej kampanii widać premiera patrzącego w oczy dwóch wysokich rangą funkcjonariuszy Straży Granicznej. I podpis: „Tarcza Wschód. Największa operacja wzmocnienia granicy od 1945".

Przekaz jest jasny. To dopiero obecny rząd na poważnie traktuje bezpieczeństwo polskich granic. A ojcem opatrznościowym jest premier. Poprzednicy wykonali w tym zakresie jedynie działania pozorowane, a „płot" lub „mur", na który wydali mnóstwo pieniędzy, jest nieszczelny. Pogardliwe traktowanie przez KO zapory granicznej, która istotnie ogranicza napływ nielegalnych migrantów, potencjalnych kryminalistów i terrorystów, a także wysłanników obcych służb specjalnych, nie przeszkadza Tuskowi i jego ekipie fotografować się na jej tle wtedy, gdy trzeba reperować wizerunek rządu. Tak było w początkach maja, gdy nagle przybyło przypadków rannych lub poszkodowanych żołnierzy i funkcjonariuszy Straży Granicznej w wyniku nasilenia ataków grup migrantów. Tusk odwiedził wówczas Wojskowe Zgrupowanie Zadaniowe Podlasie i obiecał, że nie ma ograniczeń, jeśli chodzi o wydatki na zabezpieczenie polsko-białoruskiej granicy. W wypowiedziach szefa rządu w ogóle próżno już szukać jego dawnego języka na temat zapory. Nawet wtedy, gdy Tusk krytykuje ten wielki projekt lub zarzuca mu nieskuteczność, to bardzo się pilnuje, żeby nie użyć słów „płot" czy „mur", które tak często wypowiadał w kampanii wyborczej.

Ta zmiana podejścia mogłaby cieszyć, gdyby była uczciwa i rzeczywiście wynikała z troski o bezpieczeństwo państwa. Ale tak nie jest. Tusk nie wyszedł bowiem z przekazem: „Przepraszam, wcześniej się myliłem, ale teraz mam pełny obraz sytuacji dzięki dostępowi do danych od różnych służb", tylko nagle objawił Polakom inną twarz – twarz obrońcy polskiej granicy przed operacją hybrydową Mińska i Kremla. A w tle ludzie z KO równolegle pchają narrację, że to jednak „mur" i „płot". To czysta kalkulacja polityczna i hipokryzja. Ale przydatna w swojej przewrotności.

Nielegalna migracja tuż

Na warszawskim Gocławiu doszło jakiś czas temu do niebezpiecznego incydentu, który wywołał szerokie zainteresowanie opinii publicznej. Czarnoskóry mężczyzna skakał po zaparkowanych samochodach i groził przechodniom, co zostało nagrane przez świadka i opublikowane w Internecie. Nagranie szybko zyskało popularność, a policja potwierdziła autentyczność incydentu, informując, że zatrzymała 26-letniego obywatela Rwandy. Mężczyźnie przedstawiono zarzut zniszczenia mienia. To wydarzenie było pewnym punktem zwrotnym w świadomości społecznej Polaków. Dotychczas w naszym kraju takich obrazków nie oglądaliśmy. Byliśmy jedynie obserwatorami podobnych zdarzeń, czy to we Francji, w Niemczech, Belgii, Szwecji czy we Włoszech. Ten film był jednym z pierwszych symptomów, że nielegalna migracja w takiej formie, w jakiej boryka się z nią Europa Zachodnia, powoli puka do polskich drzwi. Na to nałożyły się w krótkim czasie inne zdarzenia, na przykład te ze wsi Czerlonka położonej niedaleko Białowieży. Organizacje lewackie utworzyły tam punkt „pomocy prawnej" dla obcokrajowców, którym udało się sforsować pobliską granicę białorusko-polską. Dane lokalizacyjne Czerlonki są przekazywane między cudzoziemcami, więc ci regularnie tam przybywają, licząc na wsparcie w wypełnieniu wniosków azylowych. Napływ nielegalnych migrantów sparaliżował życie we wsi, a sprawa została nagłośniona w mediach. Coraz więcej też w sieci zdjęć grup młodych, śniadych mężczyzn na dworcach kolejowych różnych polskich miast. Są też liczne filmy pokazujące, jak lewackie organizacje wyprowadzają nielegalnych migrantów spod polskiej granicy z Białorusią oraz filmy nagrywane przez przemytników z udanego przerzutu cudzoziemców na polską stronę.

Na dokładkę opinia publiczna poznała skalę zawracania przez Niemcy nielegalnych migrantów do Polski. Od początku roku było ponad 3700 takich

eprasa.pl aca4cd9bff

przypadków, z czego około 2200 dotyczyło Ukraińców. Najgłośniejszy z nich nie dotyczył jednak obywateli Ukrainy, lecz kilkuosobowej rodziny z Afganistanu. W połowie czerwca patrol niemieckiej policji federalnej, która u naszych zachodnich sąsiadów pełni te same funkcje co u nas Straż Graniczna, wjechał na terytorium Polski i na parkingu we wsi Osinów Dolny wysadził grupę Afgańczyków. To działanie odbyło się z naruszeniem zasad współpracy między Strażą Graniczną a jej niemieckim odpowiednikiem i prawa regulującego kwestie przekazywania osób. Po incydencie w Osinowie Dolnym zaczął się ping-pong informacyjny między Warszawą i Berlinem. Strona niemiecka utrzymywała, że zawróciła obywateli Afganistanu, bo ci mieli otwarte postępowania azylowe w Polsce, a o azyl w Niemczech nie zamierzali się ubiegać. Straż Graniczna z kolei – zresztą słusznie – tłumaczyła, że w takim przypadku obowiązkiem Niemców było przekazanie nielegalnych migrantów bezpośrednio w ręce polskich służb granicznych, a nie ich arbitralne pozostawienie gdzieś na terytorium Polski.

Czując, że sprawa nabrzmiewa i wywołuje niezadowolenie społeczne, za jej wyjaśnienie zabrali się Tusk i jego ministrowie. Premier zapowiedział ostrą rozmowę z kanclerzem Niemiec Olafem Scholzem. Był to zabieg czysto propagandowy, gdyż incydent z udziałem niemieckiej policji federalnej nie powinien w ogóle być omawiany na poziomie szefów rządów obu państw. Niezbyt poważnie wyglądały też zabiegi komunikacyjne szefa MSWiA. Siemoniak, wspomagany przez swoich zastępców, kilkakrotnie przy różnych okazjach poinformował, że w reakcji na ostry protest polskich władz Niemcy wyraziły ubolewanie i przekazały przeprosiny za ten incydent. Czy to oznacza, że polski minister nadzorujący Straż Graniczną i Policję został sprowadzony do roli posłańca, który przekazuje przeprosiny od strony niemieckiej? Jakby na złość skuteczności „ostrego protestu" niemieckie media same informowały w kolejnych dniach, że przypadków zawrócenia nielegalnych migrantów z Niemiec do Polski było więcej.

To nie my, to oni

W takiej sytuacji Donald Tusk zrobił to, co dla niego charakterystyczne – skierował uwagę opinii publicznej na rzekomą winę Zjednoczonej Prawicy za zaistniałą sytuację. Szef rządu napisał na platformie X, z której korzysta regularnie, jako że nie wyznaczył nikogo na rzecznika: „A więc jeszcze raz. Sprowadzili SETKI TYSIĘCY migrantów z Azji i Afryki (zarabiając przy okazji na wizach) oraz rosyjskich i białoruskich »informatyków«, pomagając w budowie obcej agentury. Przykryć to chcą rasistowską propagandą. Liczą na krótką pamięć i siłę swojego wrzasku". To wpis pełen insynuacji. Fragment o „setkach tysięcy" migrantów z krajów Trzeciego Świata nawiązuje do tzw. afery wizowej, czyli skandalu korupcyjnego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych za czasów rządów PiS. Ujawniły go sprzyjające Koalicji Obywatelskiej media na miesiąc przed wyborami parlamentarnymi w 2023 roku.

Przed Polską trudny czas. Błędy obecnej władzy związane z brakiem sprzeciwu wobec narzuconej przez UE, fałszywie pojętej solidarności w kwestii migracji, będą się mściły na wszystkich następnych rządach i pokoleniach.

Ale skalę rzeczywistych nadużyć zdemonizowały, tworząc fałszywy obraz, że w polskim MSZ działała machina korupcyjna, przez którą do Polski na lewych wizach wjechały całe rzesze cudzoziemców. Tymczasem proceder, jakkolwiek zupełnie godny potępienia, dotyczył zaledwie 268 wiz.

Z kolei fragment o rosyjskich i białoruskich „informatykach", jako zagrożeniu agenturalnemu dla Polski to manipulacyjne sklejenie dwóch spraw. Po pierwsze – otwarcia polskiego rynku dla pracowników branży IT z Białorusi i Rosji po 2020 roku (represje Aleksandra Łukaszenki na własnym narodzie po sfałszowanych wyborach prezydenckich) i po 2022 roku (napaść zbrojna Rosji na Ukrainę). Po drugie – przypadków szpiegów na rzecz Rosji i Białorusi zatrzymywanych na przestrzeni ostatnich kilku lat przez polski kontrwywiad. A premier nawiązał akurat do tej kwestii, bo realne jest zagrożenie agresywną działalnością służb rosyjskich i białoruskich na terytorium RP. Rosyjskie lub białoruskie tropy są badane na przykład w sprawie niedawnego pożaru centrum handlowego Marywilska 44 w Warszawie. Trafnie odczytując więc, co jest źródłem obaw polskiego społeczeństwa, premier przypisał to poprzedniej władzy.

eprasa.pl aca4cd9bff

Manipulacja przekazem

Szczególną uwagę we wpisie Tuska przykuwa jednak jeszcze jedna rzecz: wrzucenie niejako do jednego worka zarówno migrantów z Azji i Afryki, jak i Białorusinów i Rosjan przy jednoczesnym oskarżeniu ich o działalność na rzecz obcych służb. Po co Tuskowi ten zabieg? Tu należy wrócić do narracji o „dziurawym PiS-owskim płocie" na granicy z Białorusią. Skoro nie zapewnia on szczelności, to nie ma możliwości, by służby graniczne w pełni kontrolowały napływ nielegalnych migrantów. Przekaz ten wykorzystuje fałszywe wyobrażenie o tym, iż postawienie na granicy najeżonej elektroniką i drutem kolczastym stalowej instalacji załatwia sprawę ochrony granicy. Tak nie jest. Znane są chociażby obrazy ze szturmowania zapory granicznej w Melili, hiszpańskim autonomicznym mieście na północy Maroka, przez nielegalnych migrantów z Afryki. Zapora na granicy USA z Meksykiem też nie jest stuprocentowo szczelna. Niemożliwe wobec tego jest prowadzenie rzetelnych statystyk na temat przekroczeń polskiej granicy z Białorusią i nie można wykluczyć, że przez podkopy, rozepchnięte przęsła czy inne wyrwy przedostaną się do Polski ludzie niebezpieczni, w tym zadaniowani przez obce służby. A białoruskie służby wymyślają nowe sposoby, by rozszczelnić zaporę. Zdarza się, co widać na filmach udostępnianych sobie przez migrantów na forach, że przęsła rozginane są przy pomocy podnośników samochodowych dostarczonych cudzoziemcom przez Białorusinów. Uświadamianie społeczeństwu problemu nieszczelności granicy może być dla Tuska kapitałem – wszak poczucie zagrożenia zwykle konsoliduje społeczeństwo wokół władzy. W tym wszystkim jest obietnica, że niebezpieczeństwa miną wtedy, gdy obecna instalacja zostanie zastąpiona przez Tarczę Wschód, autorski pomysł Donalda Tuska i największą operację ufortyfikowania granicy po II wojnie światowej.

Narracja zawarta we wpisie szefa rządu i w kampanii o „dziurawym płocie" ma jeszcze inny potencjał. Na jej kanwie można kontynuować ataki na Zjednoczoną Prawicę za rzekome sprzyjanie Kremlowi. Bo skoro poprzedni rząd wydał górę pieniędzy na coś, co ani Białorusi, ani Rosji nie powstrzymuje przed prowadzeniem operacji destabilizacji polskiej granicy przy użyciu sztucznej presji migracyjnej, to może takie było w ogóle jego założenie. Pole do dalszych insynuacji jest duże. Budowanie fałszywego obrazu obozu prawicowego jako siły prorosyjskiej w Polsce to jeden z filarów ataków propagandowych ekipy Tuska na poprzedników. W KO panuje przeświadczenie, że sukces tej fałszywej narracji zaważył o przegranej obozu Zjednoczonej Prawicy w wyborach parlamentarnych i wobec tego może, przy stałym oddziaływaniu, spowodować trwałą jego stygmatyzację.

Jest jeszcze jeden aspekt opisywanej tu manipulacji. Dotychczas Polska była krajem tranzytowym dla nielegalnych migrantów. Ich celem były państwa zamożniejsze, z przeszłością kolonialną, z bogatszym socjalem. Wobec założeń unijnego paktu migracyjnego ta okoliczność może przestać istnieć. Nasze państwo może zostać zmuszone, by podnieść świadczenia socjalne do poziomu znanego we Francji, w Niemczech czy Belgii, co nielegalnych migrantów zachęci, by nie szukać dalej. Obecny rząd, który jest w pełni dyspozycyjny wobec głównego rozgrywającego w Unii Europejskiej, czyli Niemiec, nie sprzeciwi się. A głos Berlina, podzielany zresztą przez drugiego silnego gracza – Francję – jest znany: Polska i inne graje wschodnich peryferii Unii Europejskiej muszą w końcu przyjąć nielegalnych migrantów. To się w Polsce zacznie, ale reakcje społeczne na wydarzenia z warszawskiego Gocławia pokazują, że Polacy tego nie zaakceptują. Władza może próbować łagodzić nastroje społeczeństwa, manipulując odpowiednio przedstawionymi tu narracjami. Przy „dziurawym płocie" postawionym przez Zjednoczoną Prawicę i problemie z monitoringiem nielegalnej migracji może próbować niejako „ukrywać" cudzoziemców, którzy do Polski będą trafiali zza Odry, w tłumie ich rodaków, którzy pokonają zaporę na granicy z Białorusią. A sprzyjać temu będzie fakt, że Mińsk i Kreml nie wygaszą szlaku migracyjnego przez polską granicę, który otworzyły. Jest to dla nich zbyt cenne narzędzie do destabilizacji naszego państwa.

Podróż w jedną stronę

Przed Polską trudny czas. Błędy obecnej władzy związane z brakiem sprzeciwu wobec narzuconej przez UE, fałszywie pojętej solidarności w kwestii migracji, będą się mściły na wszystkich następnych rządach i pokoleniach. Przykłady Francji, Niemiec czy Wielkiej Brytanii pokazują, że nielegalna masowa migracja niesie ze sobą wór problemów. Od wzrostu przestępczości przez podział kulturowy społeczeństw po zamachy terrorystyczne. Zagrożeń tych nie da się wyeliminować nawet najlepszymi na świecie służbami. Można je tylko neutralizować. Najczęściej tylko po fakcie. Przykrym, lecz wydatnym tego przykładem, a może symbolem, jest śmierć Mateusza Sitka. Ten 21-letni żołnierz 1. Warszawskiej Brygady Pancernej próbował powstrzymać grupę migrantów przed nielegalnym przekroczeniem polskiej granicy z Białorusią. W trakcie interwencji własnym ciałem miał zasłonić szczelinę w zaporze. Poniósł za to ofiarę życia. ■

eprasa.pl aca4cd9bff



Ryszard Czarnecki

Hańba domowa

Pewien publicysta w XX wieku pisał o „instynkcie państwowym". Jeśli on istnieje – a ja wierzę, że tak! – to ci, którzy dziś strzelają kulami nienawiści, hejtu, pogardy do młodych ludzi w polskich mundurach, jakże spektakularnie pokazują, że tegoż instynktu państwowego są całkowicie pozbawieni.

Jacek Trznadel, zmarły dwa lata temu znakomity krytyk literacki, wybitny znawca Norwida, zatytułował swoje wywiady z intelektualistami „ukąszonymi" przez Hegla i komunę: „Hańba domowa". Ten tytuł przychodzi mi od razu na myśl, gdy widzę, w jaki sposób politycy i łże-elity z celebrytami na czele traktują polską państwowość, polskie granice, polski mundur. Można też powiedzieć, że to towarzystwo spod ciemnej (czerwonej?) gwiazdy dopisuje mimochodem swój rozdział do książki Aleksandra Bocheńskiego „Dzieje głupoty w Polsce". Rzecz w tym, że to więcej niż głupota. To zdrada. To podłość. To przejawy najtańszego i najbardziej tandetnego internacjonalizmu i kosmopolityzmu, połączone z co najmniej pogardą dla tych wartości, które dla narodu są święte, a dla pseudo-elit nic nieznaczące: munduru, honoru, etosu żołnierza, elementarnego patriotyzmu.

Rzadko kiedy zdarza się w życiu publicznym taki biało-czarny film. Tak oczywista jest tu jasna i ciemna strona mocy.

Czekając na lotnisku na lot poza Europę, przeglądam dwa kolejne numery „Gazety Wyborczej". A tam leją się pomyje na obrońców polskich granic. Robi się z nich wariatów, którzy, po pierwsze, strzelali do nielegalnych imigrantów (o zgrozo!), a po drugie – w taki sposób, że mogli postrzelić kolegów z jednostki. A ja znam tę narrację! Jakże podobna była ta o szalonych polskich pilotach, którzy 10 kwietnia 2010 roku mieli doprowadzić do katastrofy i śmierci rodaków. W tych artykułach „GW" nie ma mowy o Rosji i jej polityce wpychania nielegalnych imigrantów Polsce, krajom bałtyckim czy Finlandii. Ale tak samo było wtedy, przed 14 laty! Ci, którzy oskarżali śp. prezydenta RP, który „za wszelką cenę żądał kontynuowania lotu", dowódcę Sił Powietrznych, który „zmuszał do lądowania", czy samych pilotów – też nie zająknęli się o Rosji!

W historii Polski tragedie się powtarzają – i farsy też.

Gdzie po śmierci młodego polskiego żołnierza są ci, którzy ziali nienawiścią w TVN24 do naszej Straży Granicznej czy wspomagającego ją Wojska Polskiego? W piersi nie uderzyli się pan Frasyniuk ani pani Kurdej-Szatan. To nie ich sprawa? To nie ich państwo? To nie ich granica?

Pewien publicysta w XX wieku pisał o „instynkcie państwowym". Jeśli on istnieje – a ja wierzę, że tak! – to ci, którzy dziś strzelają kulami nienawiści, hejtu, pogardy do młodych ludzi w polskich mundurach, jakże spektakularnie pokazują, że tegoż instynktu państwowego są całkowicie pozbawieni.

Gdy mowa o interesie państwowym jedynego kraju członkowskiego NATO i Unii Europejskiej, który jednocześnie graniczy z imperialną Rosją i jej pomagierem – Białorusią – oraz zaatakowaną Ukrainą – to mam wrażenie graniczące z pewnością, że dla tych śmigających przy granicy posłów z reklamówkami, aktorów i celebrytów ociekających pogardą i nieogarniających swoimi rozumkami, że rodacy na granicy bronią także ich, dla tych wszystkich ludzi pojęcia: „interes państwowy", „interes narodowy", „racja stanu" – to wyrazy ze „Słownika Wyrazów Obcych".

Patrząc na to wszystko, przypominają mi się słowa Stanisława Wyspiańskiego wykrzyczane w „Weselu": „Polska to jest wielka rzecz/ podłość odrzucić precz". Oby sił starczyło, by podłość, przemysł pogardy – odrzucić. Ale przecież ci, którzy zatruwają „Wierną rzekę", nie wyemigrują. Dalej będą szydzić z bohaterów, a z małości czynić dukat złoty, który wiele drzwi otworzy.

Gdy piszę o polityce międzynarodowej – piszę chłodno, emocje chowam do szuflady. Gdy piszę o obrońcach polskich granic, z jednej strony godzonych nożami, obrzucanych kamieniami, a z drugiej poddawanych medialnemu linczowi, który może zranić, może zabić, a na pewno zohydzić – to nie mogę tych emocji uwięzić. Sprzeciw wobec tej, powtórzę, „hańbie domowej" jest dziś najbardziej elementarnym odruchem przyzwoitości. Czymś, co odróżnia NAS od NICH – w wymiarze cywilizacyjnym, kulturowym i moralnym. Trawestując Kartezjusza: „Różnię się od nich, więc jestem". ■

eprasa.pl aca4cd9bff



Piotr Grochmalski



Granice kłamstw Tuska i degradacji Polski

Śmierć generałów w Smoleńsku i śmierć broniącego polskiej granicy 21-letniego sierżanta Mateusza Sitka. Jest coś, co przeraża w obu tych dramatach. W sposób oczywisty łączy je osoba Tuska.

Niemal każdego dnia czujemy się głęboko upokorzeni kolejnymi informacjami ukazującymi rozkład i degradację Polski. 14 czerwca niemiecka policja przerzuciła nielegalnie migrantów do naszego państwa. Okazało się, że jest to nagminne.

Testament dla każdego Polaka

Gdy fakt został ujawniony, Donad Tusk stwierdził, że rozmawiał o tym incydencie z Olafem Scholzem, ale biuro kanclerza Niemiec temu zaprzeczyło. Jeszcze formalnie nie weszło nowe prawo migracyjne, które jest zabójczo niebezpieczne dla Polski, a już Niemcy zaczęli wpychać do nas migrantów. Przypomniano przy tym słynną unijną dyrektywę 2024/1346, niezablokowaną przez Tuska, zgodnie z którą musimy zagwarantować takim osobom równe finansowe warunki pobytu, takie same na terenie całej UE. W praktyce mają dostawać bezterminowo zasiłek ponad 2455 zł, a więc radykalnie większy od tego, jaki otrzymuje nasz obywatel w Polsce (1622 zł na pół roku), plus mieszkanie powyżej 50 metrów kwadratowych, a na każdą kolejną osobę z rodziny migranta od 10 do 15 metrów kwadratowych.

Zaledwie osiem dni wcześniej, 6 czerwca, doznaliśmy kolejnego szoku, który wstrząsnął Polską. Zmarł sierżant Mateusz Sitek, który został śmiertelnie ranny 28 maja przez bandytów próbujących wtargnąć do naszego państwa. Był pierwszym żołnierzem od 1945 roku, który został zamordowany, broniąc naszej granicy. Jego matka wypowiedziała podczas pogrzebu słowa, które będą towarzyszyć Donadowi Tuskowi do końca jego życia: „Niech Mateusz jako żołnierz Wojska Polskiego, będzie symbolem walki o nasze bezpieczeństwo. Mateusz pozostawił testament każdemu Polakowi: dbałość o niepodległą i bezpieczną ojczyznę, dbałość o Polskę". Zginął. Bo bał się użyć broni w obronie własnej.

To efekt zastraszania żołnierzy. Bowiem ludzie Adama Bodnara powołali 15 kwietnia specjalne komando, które miało zbadać od początku wojny hybrydowej prowadzonej przez Rosję i Białoruś wobec Polski, a więc od lata 2021 roku, zachowanie polskich funkcjonariuszy i żołnierzy na granicy wobec obcokrajowców, którzy nielegalnie, ze wsparciem agentów Rosji i Białorusi, próbowali wtargnąć do naszego państwa. Trzy dni później po tym szokującym fakcie, który musiał sparaliżować i zastraszyć polskie służby na granicy, 18 kwietnia 2024 roku, szef Bundeswehry gen. Carsten Breuer stwierdził publicznie, iż to „Niemcy przejmują nadzór nad bezpieczeństwem Polski". Był to kolejny jaskrawy przykład niebezpiecznej degradacji Polski w relacjach z Niemcami do pozycji państwa kompradorskiego.

Totalna degradacja polskiego bezpieczeństwa

A przecież do niedawna w trakcie setek dni trwającej wojny hybrydowej prowadzonej przez Rosję i Białoruś dochodziło do tysięcy incydentów. Tylko jednego dnia, 8 listopada 2021 roku, kilka tysięcy agresywnych mężczyzn przypuściło szturm na przejście graniczne Kuźnica–Bruzgi. Jednak wówczas żołnierze, Policja i Straż Graniczna czuły jednoznaczne, twarde wsparcie państwa. Od dojścia do władzy koalicji 13 grudnia w sytuacjach ekstremalnych służby boją się zdecydowanie interweniować na granicy. Przypomnijmy, że tuż po październikowych wyborach parlamentarnych w Polsce Łukaszenka nie ukrywał satysfakcji: „Polacy spisali się naprawdę dobrze. Nie spodziewałem się takiego wyniku. Po prostu odmówili udziału w tej grze z PiS. Kibicuję Polakom. Dobra robota!". Ostro skrytykował obronę naszej granicy i dodał, że „Polska nie będzie już taka sama". To przerażająca pochwała dla Tuska z ust dyktatora, który stosuje transgraniczny terroryzm, wykorzystując do niego bojówki szkolone i organizowane przez rosyjsko-białoruskie służby. Fakty pokazują, że Łukaszenka miał za co dziękować. To przerażający kontrast – jego pochwały i słowa matki sierżanta Mateusza Sitka, które padły na jego pogrzebie.

To chęć obrony ojczyzny pchnęła śp. Mateusza do Wojsk Obrony Terytorialnej, a 18 grudnia 2023 roku, pięć dni po zaprzysiężeniu ekipy Tuska, rozpoczął służbę w 1. Warszawskiej Brygadzie. Dzień po tym jak został ugodzony nożem i rannych zostało też dwóch funkcjonariuszy Straży Granicznej, Donald Tusk, w ramach kampanii wyborczej, z Kosiniakiem-Kamyszem i Siemoniakiem pojawili się w Dubiczach Cerkiewnych, gdzie doszło do tamtego dramatu. Stojąc na tle żołnierzy 1. Warszawskiej Brygady, świadomie okłamywał ich, twierdząc: „Macie pełne prawo, żeby nie powiedzieć, że wręcz też obowiązek, używać wszystkich dostępnych wam metod. A naszym zadaniem jest, żebyście mieli poczucie bezpieczeństwa prawnego i pełnej akceptacji wszystkich Polaków, wtedy kiedy będziecie bronili nie tylko granicy, ale i swojego życia". Co myśleli koledzy Mateusza Sitka, który wówczas walczył o życie? To ta sama smoleńska bezczelność. Ale przede wszystkim skrajny brak wiarygodności. Tusk, którego polityczne sumienie obciąża współudział w agresywnych działaniach wymierzonych w obrońców polskiej granicy od 2021 roku, gdy rozpoczynała się ta faza wojny hybrydowej Rosji i Białorusi przeciw Polsce, przekonywał też żołnierzy w Dubiczach Cerkiewnych: „Będziecie przez nas także w takich sytuacjach w pełni wspierani. Nie będziemy się też wahać, jeśli chodzi o pomoc we wszystkich aspektach, także dla tych, którzy będą musieli decydować się na działania najtwardsze. Nikt was nie opuści w tej sytuacji. Osobiście będę w to zaangażowany całą dobę, jeśli będzie trzeba".

FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI / GAZETA POLSKA

eprasa.pl aca4cd9bff

Szybko okazało się, że była to jedynie operacja socjotechniczna przeprowadzona pod kątem wyborów do europarlamentu. Ten sam Tusk 4 czerwca na placu Teatralnym krzyczał ze skrajną nienawiścią do milionów rodaków, że „Listy wyborcze PiS do Parlamentu Europejskiego są tak naprawdę listami gończymi". Przekonywał, że zbliżające się wybory „to jest także bój o to, aby wojna nie wkroczyła w nasze granice". Zaledwie dwa dni później, 6 czerwca, wypłynęły fakty, które radykalnie podważyły wiarygodność premiera. Nagle okazało się, że kierowane przez niego służby dwa miesiące wcześniej skuły w kajdanki trzech żołnierzy z 1. Warszawskiej Brygady. Żandarmeria Wojskowa, na oczach ich kolegów, potraktowała ich jak bandytów, bo oddali strzały ostrzegawcze do terrorystów forsujących granicę. Przerażające jest, że premier państwa, za granicą którego toczy się największy konflikt w Europie od zakończenia II wojny światowej, z pełnym wyrachowaniem kłamał, gdy przemawiał do żołnierzy i do narodu. Bo musiał wiedzieć, co się stało z tymi żołnierzami, którzy oddali strzały ostrzegawcze wobec grupy, która ich zaatakowała. To, co z nimi zrobiono, wywołało furię, wściekłość i bezsilność w wojsku. Bo ono wie, że nie może ufać ekipie 13 grudnia, która prowadzi podwójną grę – z jednej strony na potrzeby kampanii wyborczej zapewniała, że bezpieczeństwo jest najważniejsze. A z drugiej strony szły naciski, aby żołnierze na granicy nie sięgali po broń. To też efekt wysadzenia w powietrze i zmasakrowania przez Adama Bodnara całej prokuratury.

Speckomando Bodnara

Przeraża, że ci trzej żołnierze nie tylko zostali potraktowani w tak skandaliczny sposób, lecz także pozostawieni sami sobie wobec machiny bodnarowców. Doszło do tego, że ich koledzy z jednostki, spontanicznie, za swoje prywatne pieniądze, wynajęli adwokatów, aby ich bronić przed bodnarowcami. Włos się jeży na głowie. Tusk i Bodnar winni podać się do dymisji. Wspólnie prowadzą Polskę do katastrofy, która swoimi rozmiarami przebije mord elity narodu polskiego w zamachu Putina na Tu-154M. Rzecz w tym, iż Tusk po Smoleńsku jest w wiecznej pułapce historii. Ale Bodnar chciał uchodzić za porządnego człowieka, który nie przekroczy pewnych granic moralnych. Dziś wiemy, że jest równie „kreatywny" jak Siergiej Fridrinski, wieloletni putinowski zaufany naczelny prokurator wojskowy. Zasłynął umorzeniem w 2004 roku śledztwa w sprawie Katynia. Jak zauważało Stowarzyszenie „Memoriał", rozwiązane przez Putina 5 kwietnia 2022 roku: „W ten sposób Stalin i członkowie Politbiura, którzy podjęli decyzję o masowej egzekucji polskich obywateli, zostali uznani za niewinnych zbrodni katyńskiej. […] A sam mord, który został popełniony z polecenia kierownictwa ZSRR i który faktycznie był aktem państwowego terroryzmu, teraz kwalifikowany jest jako nadużycie władzy przez pojedynczych urzędników kierowniczej rangi szczebla resortowego". Tusk w Smoleńsku 7 kwietnia 2010 roku przyklepał taką interpretację Putina-Fridrinskiego.

Bodnar jest pojętnym uczniem Tuska. Postanowił w nowym świetle spojrzeć na wojnę hybrydową Rosji i Białorusi wobec Polski i wyręczyć Mińsk i Moskwę w ewentualnym ściganiu tych żołnierzy i funkcjonariuszy, którzy poważnie brali rotę przysięgi: „Ja, żołnierz Wojska Polskiego, przysięgam służyć wiernie Rzeczypospolitej Polskiej, bronić jej niepodległości i granic. Stać na straży Konstytucji, strzec honoru żołnierza polskiego, sztandaru wojskowego bronić. Za sprawę mojej Ojczyzny w potrzebie krwi własnej ani życia nie szczędzić". To z woli Bodnara powstało prokuratorskie speckomando. Jak czytamy w oficjalnym komunikacie: „W dniu 15 kwietnia 2024 r. Prokuratura Okręgowa w Siedlcach wszczęła śledztwo w sprawie przekroczenia uprawnień i niedopełnienia obowiązków przy wykonywaniu czynności związanych z ochroną granicy państwa przez funkcjonariuszy Straży Granicznej, Policji i innych służb w okresie od września 2021 r. do marca 2024 r. w Białowieży, Bobrownikach i innych miejscach przy granicy polsko-białoruskiej, między innymi poprzez podejmowanie wobec ustalonych i nieustalonych cudzoziemców przybywających we wskazanym wyżej okresie z Białorusi do Polski, działań polegających na zawracaniu ich do linii granicy (tzw. procedura push-backu), pomimo zgłoszenia przez te osoby woli uzyskania ochrony międzynarodowej, a także zawracania do linii granicy państwa uchodźców, którzy znajdowali się w stanie zagrażającym w sposób bezpośredni ich zdrowiu i życiu, tj. o czyny z art. 231 § 1 kk i inne".

Bodnar – „Szczęśliwej Polski już czas"

Dowiadujemy się też, iż „Śledztwo zainicjowane zostało zawiadomieniem złożonym przez dziennikarza i aktywistę działającego przy granicy polsko-białoruskiej. W sprawie tej zarządzeniem prokuratora regionalnego w Lublinie z dn. 17 kwietnia 2024 roku powołany został zespół śledczy, którego celem będzie zebranie i karnoprawna ocena materiału dowodowego dotyczącego zachowań funkcjonariuszy podejmowanych wobec cudzoziemców, którzy przekroczyli granicę białorusko-polską". Jak czytamy: „prokuratorzy zespołu badać będą nie tylko okoliczności dotyczące zdarzeń wynikających z zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa, ale dokonają także analizy zakończonych już postępowań przygotowawczych, których przedmiotem były działania podejmowane przez funkcjonariuszy

eprasa.pl aca4cd9bff

Straży Granicznej, Policji i innych służb we wskazanym wyżej okresie wobec cudzoziemców, którzy przekroczyli granicę białorusko-polską". A więc za plecami żołnierzy i oficerów spuszcza się ze smyczy grupę bodnarowców, mającą uderzyć w żołnierzy, którzy z narażeniem życia bronili polskiej granicy. A z drugiej strony premier Tusk jakby nigdy nic jedzie nad granicę i mówi do żołnierzy i narodu: „Nie mamy tutaj do czynienia z żadnymi azylantami, mamy do czynienia ze zorganizowaną, bardzo sprawną na wielu poziomach akcją łamania polskiej granicy i próbą destabilizacji państwa. [...] Nikt tu, przynajmniej wśród nas, nie ma wątpliwości, z jakim charakterem działań mamy tu do czynienia i że nieprzypadkowo ta agresja jest coraz większa".

Za Tuska zginęło całe dowództwo polskiej armii

Tusk w książce „Wybór" doskonale ukazał dylemat moralny milionów Polaków. Stwierdził na stronie 177. tej książki wydanej w 2021 roku: „Kiedy idę ulicą, myślę czasami, że co piąta osoba, którą mijam, uważa, że być może to ja do spółki z Putinem zabiłem prezydenta". A więc także co piąty żołnierz, co piąta matka żołnierza. Dramat Polski polega na tym, iż Tusk ma rację. Wie, że miliony obywateli tak go postrzegają. A jak mogą mu ufać armia i wojsko po tym, jak rękoma Kosiniaka-Kamysza przywrócił rosyjską wersję raportu smoleńskiego, co zostało entuzjastycznie przyjęte przez Kreml. Ten sam, który prowadzi przeciwko nam brutalną wojnę hybrydową. Ten sam, który ćwiczy terrorystów na granicy z Polską, jak zabijać naszych żołnierzy. A powrót do smoleńskiego kłamstwa to przyjęcie warunków Moskwy. W długiej historii NATO żadne państwo Sojuszu nie doświadczyło większej katastrofy. Przypomnijmy – śmierć wówczas ponieśli: „czterogwiazdkowy" gen. Franciszek Gągor, szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, gen. dyw. Tadeusz Buk, dowódca Wojsk Lądowych RP, gen. broni pil. Andrzej Błasik, dowódca Sił Powietrznych RP, wiceadmirał Andrzej Karweta, dowódca Marynarki Wojennej RP, gen. dyw. Włodzimierz Potasiński, dowódca Wojsk Specjalnych RP, gen. broni Bronisław Kwiatkowski, dowódca Operacyjny Sił Zbrojnych RP. Ale polegli także trzej inni generałowie: gen. bryg. Kazimierz Gilarski, dowódca Garnizonu Warszawa, bp. gen. dyw. Tadeusz Płoski, katolicki biskup polowy WP, abp gen. bryg. Miron Chodakowski, prawosławny ordynariusz WP. Zostali zamordowani także ks. płk Adam Pilch, p.o. ewangelickiego biskupa wojskowego, i ks. ppłk pil. Jan Osiński, ordynariat polowy WP. Być może to syndrom smoleński spowodował decyzję o akcji SKW wymierzonej w gen. Gromadzińskiego. Jest w tym ręka losu, że to właśnie 18. Dywizja, którą tak przeorali ludzie Bodnara, i Żandarmeria Wojskowa – to wielkie dzieło Gromadzińskiego. A fakt, że patronem tej formacji jest gen. Tadeusz Buk, który został zamordowany w Smoleńsku, musi podwójnie frustrować Tuska.

Niszczenie naszego bezpieczeństwa

A więc Bodnar, który myśli Tuskiem, stworzył bicz na tych wszystkich, którzy walczyli o bezpieczeństwo także jego i jego trzech synów. Trzeba być człowiekiem pozbawionym wszelkich hamulców moralnych, aby jechać na granicę i mówić żołnierzom, że mogą liczyć na wsparcie ze strony państwa, a jednocześnie wysyłać do akcji grupę prokuratorów, którzy mają cofnąć się do początku wojny hybrydowej. Dla tysięcy obrońców ojczyzny jest to plunięcie im w twarz, bo odbierają to jako szukanie haków na nich. To ich zastraszenie ma służyć bezpieczeństwu Polski? Ale to zbrukanie polskiego munduru przez bodnarowców nie byłoby możliwe, gdyby nie gigantyczna skala niszczenia i demontażu polskiej armii, które szokują. W sposób spektakularny odwołano 14 lutego 2024 roku doświadczonego szefa Żandarmerii Wojskowej gen. Tomasza Połucha i jego zastępcę gen. Roberta Jędrychowskiego. Za ich czasów taka sytuacja byłaby nie do pomyślenia. Ale nowi nominaci, płk Tomasz Kajzer i jego zastępczyni ppłk Edyta Korolczuk, muszą się wykazać wobec nowej ekipy. Rozpoczęło się prawdziwe szaleństwo rotacji i zmian, a także powrót z emerytury starych sprawdzonych kadr.

To szaleństwo dotyczy wszystkich kluczowych elementów armii. Ale zaczęto od zastraszania kadry i od powołania 19 grudnia 2023 roku jako pełniącego obowiązki szefa Służby Kontrwywiadu Wojskowego gen. Jarosława Stróżyka, protegowanego gen. Mirosława Różańskiego, założyciela i szefa powstałej w 2017 roku Fundacji Bezpieczeństwa i Rozwoju Stratpoints, przechowalni wielu oficerów z rodowodem sięgającym Wojskowych Służb Informacyjnych. Rozbito też struktury regionalne SKW na kierunku wschodnim. Cały system działał dotąd świetnie. Armia i formacje Straży Granicznej otrzymywały cenne informacje od lojalnych struktur SKW. Rozbito też Służbę Wywiadu Wojskowego, stawiając na jej czele płk Dorotę Kawecką, którą ściągnięto z Londynu, gdzie była w tamtejszej polskiej ambasadzie attaché obrony. Człowiek Tuska u boku Kosiniaka-Kamysza – wiceminister Cezary Tomczyk – przekonywał przy tej okazji, że „To na pewno nie są ostatnie zmiany w Wojsku Polskim, one są potrzebne dla prawidłowego funkcjonowania Wojska Polskiego. Minister obrony narodowej ma prawo dobierać sobie współpracowników". A 18 grudnia 2023 roku odwołano szefa Inspektoratu Kontroli Wojskowej gen. broni Krzysztofa Radomskiego. Jest coś, co przeraża w obu tych dramatach – śmierci generałów w Smoleńsku i śmierci sierżanta Mateusza Sitka. W sposób oczywisty łączy je osoba Tuska. ■

eprasa.pl aca4cd9bff



Dawid Wildstein

Liberałowie chcą krwi

eprasa.pl aca4cd9bf



ILUSTRACJA RAFAŁ ZAWISTOWSKI

Do dziś szeroko pojęta lewica i liberałowie lubią przedstawiać prawicowca bądź konserwatystę jako jednostkę, którą kieruje strach. Lęk przed obcymi, przed zewnętrznym światem, zmianami. W ich narracji ów „prawicowiec" okazuje się być przerażonym człowiekiem, niezdolnym zmierzyć się z rzeczywistością, szukający więc schronienia w oklepanych formułkach i mantrach ideologicznych. Cały dowcip polega na tym, że opisują oni w ten sposób tak naprawdę siebie.

To współczesny liberał jest jednostką wręcz sterroryzowaną. Żyje on w skrajnym napięciu, w przeświadczeniu, że apokalipsa czai się tuż za rogiem. Jego świat zasiedlają stwory rodem z najgorszych koszmarów, nie tylko jego status materialny, lecz nawet życie jest w ciągłym zagrożeniu. Można byłoby mu właściwie współczuć, gdyby nie to, że przenikający go strach, wciąż pompowany i podtrzymywany przez zblatowane z liberalnymi politykami media, powoduje u niego akceptację zbrodni, usprawiedliwianie rozlewu krwi. Widzieliśmy to jak na dłoni w reakcjach tzw. polskiej strony liberalnej po zamachu na premiera Słowacji Fico. Warto więc w tym kontekście przyjrzeć się imaginarium typowego polskiego liberała (mając świadomość tego, że nie różni się on jakoś zasadniczo od swoich zachodnich odpowiedników) i temu, jakie demony w nim tkwią.

Fico sam sobie winien

W teorii wydarzenie takie jak zamach na Fico powinno wywołać wstrząs. Przecież doszło do niego w kraju członkowskim Unii Europejskiej, życia zaś omal nie straciła głowa państwa. Tymczasem, obserwując relacje najważniejszych mediów europejskich, można było odnieść wrażenie, że właściwie nic specjalnego się nie stało, że nie ma co drążyć tematu, ot, błahostka, jakich wiele. Skąd taki „dystans" do tak gorącej sprawy? Odpo-

...asa.pl ...a4cd9bff

wiedź jest prosta. Wyobraźmy sobie, co by się działo, gdyby zamachowiec nie był zwolennikiem UE, a eurosceptykiem, zaś ofiara byłaby reprezentantem liberalnego establishmentu politycznego. Możemy śmiało założyć, że przez Unię przetaczałyby się marsze milczenia, wydarzenie to stałoby się nie tylko wielotygodniowym tematem medialnym, lecz także jednym z filarów kampanii wyborczej do europarlamentu a, z czasem, może nawet trwałym symbolem tego, jak „zagrożone są unijne wartości". Ofiara zaś natychmiast zostałaby wciągnięta do panteonu najważniejszych bohaterów i twórców UE. Skoro jednak – z racji politycznych afiliacji tak zamachowca, jak i Roberta Fico – nie udało się tego zamachu wykorzystać do bieżącej walki politycznej czy symbolicznej, uznano, że sprawę najlepiej jak najszybciej zamieść pod dywan.

Trzeba było jednak ową obojętność wobec tego zamachu, wręcz jego bagatelizowanie, jakoś usprawiedliwić. Spójrzmy, jaką zastosowano więc w tym celu narrację. Pozwolę sobie tu przytoczyć dwie reakcje ludzi będących członkami czegoś, co można nazwać medialno-politycznym środowiskiem polskich liberałów wspierających obecną władzę, na portalu internetowym i w gazecie, które wprost działają na rzecz PO. Tak zamach na Fico skomentował na portalu Onet niejaki Ziemowit Szczerek, związany z Gazetą Wyborczą: „[…] należy więc, oczywiście, potępić przemoc polityczną […] Ale pamiętać trzeba również, jak wygląda specyfika słowackiej polityki […] Członkowie Smeru [partii premiera Fico] już próbują ugrać na postrzeleniu premiera kapitał polityczny […] najprawdopodobniej nadal będą uprawiać demontaż słowackiej praworządności". Za to członek Ośrodka Studiów Wschodnich poszedł nawet dalej i w zamieszczonym w „Rzeczpospolitej" wywiadzie stwierdził, że Robert Fico powinien… przeprosić za to, że sprowokował (nakręcając nienawiść w narodzie słowackim) ten zamach na siebie. Nie, to nie żart, proszę sprawdzić wypowiedź Krzysztofa Dębca z OSW dla „Rzeczpospolitej" (16 maja 2024 roku).

Zero litości dla populistów

Tego typu „mądrości" było wiele, nie ma sensu przytaczać tu ich więcej, ponieważ opisane powyżej dwie wypowiedzi są po prostu reprezentatywne, jeśli chodzi o „refleksję" polskich środowisk liberalnych po zamachu na Fico. Przy tej okazji warto polecić tekst Remigiusza Okraski pt. „Liberalny zamach w Słowacji i jego przyczyny", który opisał konkretniej całą, wielowątkową sytuację samej Słowacji i tego, w jak zakłamany sposób przedstawiany jest ten kraj przez propagandę prounijnych środowisk. Dostępny jest on w internecie na stronie Nowego Ładu (nlad.pl). Wracając do naszych liberałów. Ich reakcje (zauważmy zresztą, że dokładnie w ten sposób wypowiadała się reszta unijnego liberalnego mainstreamu) można skrócić do jednego zdania: „Fico sam sobie jest winien". Jednocześnie są one wyraźnym komunikatem dla odbiorcy, jak mają tę sytuację i jej uczestników oceniać. Fico więc nie należy się żadne współczucie, to nadal wróg. Nie może być mowy o żadnej refleksji, przemyśleniu własnego zachowania czy retoryki, bo tego właśnie oczekuje Fico i jemu podobni. Liberałowie – to jest podstawowy przekaz tych komunikatów – nie mogą się cofnąć ani o krok, bo ich wrogowie tego chcą. Co ciekawe, legitymizując taką postawę, nasi „liberałowie" właściwie powtarzają „argumenty" samego zamachowca, za pomocą których uzasadniał on swój atak na Fico. Zresztą nie ukrywajmy, między tezą „zasłużył" a stwierdzeniem „dobrze się stało" droga jest bardzo krótka. Warto w końcu zauważyć, że refleksja o tym, że taki zamach to coś niewłaściwego, jest u naszych liberałów absolutnie marginalna, a nawet jak się pojawia, to jej główna część odwołuje się do tego, że może to tym strasznym od Fico „pomóc". Jak już zostało napisane, dokładnie w ten sposób jak Szczerek czy Dębiec zareagowała reszta „liberalnych mediów" w Polsce. Zrobiła to jednak, warto ten „szczegół" zauważyć, dopiero wtedy, gdy wyszła prawda o prounijnych poglądach zamachowca, wcześniej bowiem próbowano zrobić z Fico kolejnego Adamowicza i użyć do ataku na PiS. Ot, kolejny asumpt do tego, jak zdegenerowane jest środowisko medialne wspierające obecną władzę.

Patrząc więc na reakcję polskiego salonu liberałów, możemy też być pewni kolejnej rzeczy. Gdyby do podobnego zamachu doszło w Polsce za rządów PiS, zachowałby się dokładnie tak samo. Moglibyśmy usłyszeć, że „kto sieje wiatr, ten zbiera burzę", przeczytać, że teraz tym mocniej trzeba „pamiętać o tym, jak PiS łamał praworządność". Jakakolwiek próba refleksji nad tym wydarzeniem, zastanowienia się nad tym, jak skrajny jest hejt, który popycha ludzi do tego typu działań, na ile odpowiedzialne są za niego liberalne media – byłaby natychmiast zbywana argumentem, że tego „właśnie chcą polscy populiści".

Liberalni męczennicy

Ta ledwo ukrywana akceptacja dla przemocy, nawet skrajnie drastycznej, tak ostra nienawiść do oponenta politycznego, że prowadzi ona do zaakceptowania każdej formy walki z nim, nie powinny nas dziwić, jeśli chodzi o polskie środowiska „lewicowo-liberalne". Nie trzeba było czekać na reakcje po zamachu na Fico, żeby móc tę patologię dostrzec. Wystarczy bowiem przypomnieć, co działo się po śmierci tzw. szarego człowieka. Wtedy bowiem nasze liberalne środowiska w pełni pokazały, w co, jeśli zaistnieją odpowiednie okoliczności polityczno-społeczne, potrafią się przemienić. W ideologicznych fundamentalistów, akceptujących terroryzm i męczeństwo w imię „wiary". Jedno to tragedia, jaka

eprasa.pl aca4cd9bff

spotkała tzw. szarego człowieka, który zdecydował się popełnić samobójstwo, bo uwierzył w propagandę PO, „GW" i TVN. Jeszcze bardziej przerażające okazały się reakcje na jego śmierć.

Otóż zdaniem polskich środowisk liberalno-lewicowych, czyn „szarego człowieka" okazał się właściwą formą sprzeciwu wobec „zła". Doszło do czegoś niebywałego w dziejach III RP (a zapewne – nawet uznając histeryczność liberalnego dyskursu w innych krajach UE – w Europie). Nie tylko usiłowano wykorzystać samobójczą, okrutną śmierć chorego psychicznie człowieka (sam „szary człowiek", czyli Piotr Szczęsny, przyznał się do choroby); pokazywano ją jako wzór do naśladowania. Zewsząd sypały się perwersyjne „gratulacje", opowieści o jego heroizmie, tłumaczenie, że tak, to właściwa walka nie tyle nawet z PiS-em, ile z populizmem, faszyzmem, po prostu „złem". „Szary człowiek" okazał się herosem, bohaterem. Publicyści „liberalnych mediów" wprost stwierdzali, że oni sami są po prostu zbyt „tchórzliwi", by na tak godny czyn się zdobyć. Ich komunikat był jednoznaczny – wolno zabić (w tym wypadku siebie, niemniej życie to życie), jeśli wskutek tego ci potworni prawicowi populiści stracą politycznie. Narracja PO i jej mediów opisywała ówczesną Polskę jako świat tak zbrukany, odrażający i zły, że zabicie samego siebie po to, by przypomnieć o wartościach, by pokazać swoją wiarę, okazywało się właściwe, przynosiło dobro.

Czym się to różni od fanatyzmu islamskich mułłów, usiłujących przekonać wyznawców islamu, że ich męczeństwo przybliży tylko zwycięstwo właściwej wiary? Przekonujących, że to, z czym walczą, jest tak odrażające, że nie można liczyć na pokonanie tego w wyniku działań politycznych, jakie umożliwia system demokratyczny? „Szary człowiek" okazał się udanym mordem nie tyle politycznym, ile wręcz religijnym, który skrajnie histeryczny dyskurs środowisk liberalnych wywołał; śmiercią, za którą – do czego sami się przyznali (w przeciwieństwie do mordu dokonanego przez Cybę) – są odpowiedzialni.

▶ Obcy rodak

Opisywana powyżej reakcja liberalnych mediów na „szarego człowieka" wypływała nie tylko z skrajnego cynizmu oraz iście hienowatego oportunizmu politycznego. Była też kulminacyjnym efektem wojny polsko-polskiej. Nie chodzi tu o aktualną awanturę polityczną, tylko o głębokie pęknięcie kulturowe w polskim społeczeństwie, na którym aktualnie pasożytuje PO, jednak wcześniej inne partie odgrywały tę samą rolę co ugrupowanie Tuska. Obserwując to, co dziś dzieje się w Unii, widzimy, że pomimo kilku różnic wynikających chociażby z odmienności ekosystemów polityczno-kulturowych, co do zasady podobne zjawisko ma miejsce w większości krajów UE.

W Polsce przykładów mamy aż nadto, ma ono charakter nieprzerwany. Niedawno wspomniany już Szczerek, bądź co bądź jeden z autorytetów „GW", pisarz, a przy okazji publicysta tej gazety, raczył opisać swoje doświadczenie spotkania się z katolicką pielgrzymką. Skracając, podstawową refleksją naszego „postępowca" było zadziwienie, że takie coś może w ogóle występować w normalnym, cywilizowanym kraju. Sam rytuał, który obserwował, okazał się pretekstem do jednego – elaboratu mającego tak wyraźnie jak się da zaznaczyć dystynkcję względem tych ludzi (których, jak pokazują badania, nadal w Polsce jest większość) tak durnych, że nadal wierzących w Chrystusa. Nie pasują oni, zdaniem naszego „autorytetu", do współczesności, są dowodem na zacofanie tego kraju. Ich przywiązanie do zabobonów świadczy o niskim potencjale intelektualnym i wąskich horyzontach, nie powinni chodzić po ulicach, tylko siedzieć w skansenie. Dominującym uczuciem, przebijającym z tego żenującego tekstu Szczerka, była obcość. Ci ludzie, co narrator wyraźnie zaznacza, nie mają z nim nic wspólnego (skądinąd warto zauważyć, że taka postawa mówi wszystko o „otwartości" tych środowisk. To, że nie opisują one w podobny sposób innych wspólnot religijnych czy tradycji, czyli 90 proc. populacji tego świata, wynika tylko z aktualnych potrzeb politycznych. Możemy być jednak pewni, że żywią oni dokładnie ten sam typ pogardy wobec nich także). Jego rodacy są mu więc zupełnie obcy kulturowo, z tej obcości tworzy wręcz podstawę swojej tożsamości. Naturalną konsekwencją takiej postawy jest skrajna pogarda wobec tych ludzi.

Szczególnie mocno uwidoczniła się ona w czasie kryzysu na granicy. Wtedy wręcz w dobrym tonie było plucie na własnych rodaków i rozpaczanie nad ich agresją i prymitywizmem, przedstawianie ich jako wręcz odrębnej rasy psychopatów i prymitywów, z którymi rzecz jasna nasi światli i postępowi liberałowie nie mają nic wspólnego. Sytuacja ta, mimo powierzchownej zmiany narracji ze strony władz PO i jej mediów, trwa nadal. Ostatnio jeden z ważniejszych dziennikarzy współpracujących z najistotniejszą grupą aktywistów, działającą obecnie przy granicy, czyli „grupą Granica", publicznie, zdecydował się podzielić swoją opinią na temat obecnego kryzysu. Co ciekawe, o samych migrantach było w jego elaboracie stosunkowo mało. Za to mogliśmy się od niego dowiedzieć, że Polacy (poza malutką grupą takich jak on) to współcześni szmalcownicy. W swoim moralnym wzburzeniu nie tylko sugerował, że Polacy to psychopaci lubujący się w przemocy, jego opis zaczął zahaczać także o kwestie kulturowo-estetyczne. Oświadczył bowiem, że nasz naród to osobniki przyzwyczajone do zapachu gnojówki, dlatego usiłują jej smrodem odstraszyć migrantów. Jak więc widać, stopień obrzydzenia, jaki żywi współczesny liberał do swojego rodaka, jest czymś naprawdę niesamowitym. ■

eprasa.pl aca4cd9bff

Gdyby nie ten cholerny wrzesień 1939 roku, a później PRL, o jego odkryciach nie trzeba by pisać w comiesięcznym piśmie dla intelektualistów, bo znalibyśmy go ze szkół, z nazw ulic, a i więcej niż połowa współczesnych poradnikówww, coachów i psychologów rozpoczynałaby swoje wywody od słów: „Według Kazimierza Dąbrowskiego...". Tymczasem ten warszawski psycholog stworzył wielką teorię dezintegracji pozytywnej, która dziś pobrzmiewa u wielu autorów, niewiedzących nawet, że z niej korzystają.

Jakub Augustyn Maciejewski



Dezintegracja pozytywna Kazimierza Dąbrowskiego

eprasa.pl aca4cd9bff

Należał do tego pokolenia badaczy ludzkiej natury, którzy przeżyli niemiecką okupację, toteż na własne oczy obserwował najbardziej wybujałe teorie przedwojennej psychiatrii. Kazimierz Dąbrowski (1902–1980) już w 1935 roku założył Instytut Higieny Psychicznej, wzorując się na amerykańskim odpowiedniku. Jeszcze przed wybuchem wojny zdołał otworzyć kilka filii placówki w różnych częściach Polski, gdzie zajmowano się dziećmi z nerwicami i innymi dolegliwościami psychicznymi. Dzieci tam leczono, układano, ale obszerne ankiety, jakie realizowano podczas terapii, zaczęły Dąbrowskiemu przynosić nieoczekiwane wnioski. Zanim jednak pan od psychologii je przepracował, łobuzy od historii zniszczyły Polskę, Europę i ówczesny świat. Kadry Dąbrowskiego mocno ucierpiały. Doktor Kazimierz Niemirowicz-Szczytt, psychiatra i oficer Wojska Polskiego i zastępca Dąbrowskiego w Instytucie, został zamordowany w Katyniu. Doktor Jadwiga Kobierska, psycholog i etyk, zginęła w obozie koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau, psycholog Ludwik Goryński został rozstrzelany na ulicy okupowanej Warszawy. Lekarz i kryminolog doktor Stanisław Batawia co prawda wojnę przeżył, ale do Instytutu Higieny Psychicznej już nie wrócił – zajął się badaniem zbrodni niemieckich, zaś wielu innych współpracowników Dąbrowskiego przepadło bez wieści w wojennej zawierusze. Odbudowując po wojnie Instytut, działał w zupełnej izolacji od międzynarodowego środowiska naukowego, a jako wcześniejszy stypendysta amerykańskiego Harvardu czy wykładowca w Austrii czuł się osamotniony i przytłoczony totalitarnym komunizmem, w którym ostatecznie w 1949 roku zlikwidowano i jego instytut. Profesor Dąbrowski odnalazł się co prawda w pracy w Zakładzie Higieny Psychicznej i Psychiatrii Dziecięcej Polskiej Akademii Nauk, a później dostawał także zgody na zagraniczne wyjazdy, ale w warunkach jedynie ograniczonej wolności nie mógł do końca rozwinąć skrzydeł i swoją teorię wzmocnić interakcjami z zachodnimi instytucjami naukowymi. Do dziś, choć jego prace są znane wśród naukowców i wykorzystywane w terapiach, nie zostały opracowane i przetworzone wyniki jego wszystkich badań, nie powstała też jego biografia. A był on, oprócz wielu dzieł naukowych, twórcą nowatorskiej i odkrywczej teorii: dezintegracji pozytywnej.

Teoria dezintegracji pozytywnej

To co dziś wielu ludzi może i czuje intuicyjnie, a wielu psychologów i psychiatrów wykorzystuje w relacjach z pacjentami, Dąbrowski dogłębnie zbadał i rozłożył na części pierwsze. Ujmując rzecz w największym skrócie, „dezintegracja pozytywna" jest po prostu stanem kryzysu psychicznego, któremu często towarzyszą objawy chorób, nerwic czy lęków, ale kryzysem, z którego człowiek może wyjść zwycięsko, nie tyle wracając do poprzedniego stanu, ile stając się lepszą wersją siebie, „lepszym człowiekiem", tj. człowiekiem, którego struktura psychiczna jest bardziej twórcza, moralna i rozwijająca swój potencjał. Jednym z przykładów, jakie dla rozjaśnienia teorii podaje psychiatra, jest chociażby śmierć bliskiej ukochanej osoby, która doprowadza kogoś do psychicznego rozsypania się, by później jednak poskładać się w lepszy sposób, na przykład poprzez empatię, otwarcie się na innych ludzi, większą wrażliwość i wchodzenie w życzliwe interakcje z otoczeniem.

Cierpienie jest potrzebne

Słowem: kryzys może być drogą do błyskawicznego rozwoju. Teoria dezintegracji pozytywnej jest przy tym wpisana w katolicką naukę społeczną, skoro Kościół od dawna, wskazując na przykład Ewangelii, pokazuje, że cierpienie ma sens, że z bólu Krzyża przychodzi dobro, jeśli podejdzie się do tego we właściwy sposób. Dąbrowski nie odnosił się do chrześcijaństwa, a jednak zbiegał się w swoich wnioskach z nauczaniem Kościoła. Oprócz lektur naukowych i indywidualnych terapii oraz konsultacji z lekarzami z kraju (a przed wojną także z Zachodu) Dąbrowski dysponował tysiącami teczek leczonych przed wojną i w czasie wojny dzieci, a więc swoje spostrzeżenia mógł oprzeć na liczbach i statystykach. Stwierdzał na przykład, że na 150 dzieci i młodzieży, którzy prezentowali wysoki poziom zdolności (inteligencji, przywództwa, empatii), aż 85 proc. z nich cierpiało na depresje, stany lękowe, a nawet obsesje. Słowem: zdolne dzieci cierpiały, a ich rozwój w większości opierał się na przezwyciężaniu kryzysów psychicznych. Dość brutalnie brzmią też wyniki i takich badań, że dzieci upośledzone umysłowo takich psychonerwic nie doświadczały. Co więcej, Dąbrowski stwierdził, że te dzieci, które leczono z psychozy za pośrednictwem leukotomii przedczołowej, traciły część swoich twórczych zdolności. Nie można z tego wyciągać zbyt prostych wniosków, że warunkiem rozwoju jest cierpienie, a ludzie szczęśliwi są głupi, jednak bezsprzecznie oznacza to, że mądre podejście do trudnych życiowych chwil może przynieść człowiekowi zaskakujący i wielopoziomowy rozwój. Tak więc jak struktura psychiczna człowieka się rozpada (dezintegracja), tak może się ona później poskładać w lepszej wersji (dezintegracja pozytywna). Co więcej, przy odpowiednim poprowadzeniu i samo-

fot. Ala Pixx/Mirosław Stankiewicz/PAP

eprasa.pl aca4cd9bff

świadomości, można wręcz dojrzeć zaskakującą metamorfozę człowieka, którzy przemienia się w wyobrażenie ze swoich marzeń.

W skrócie ujmując, sama dezintegracja „oznacza [...] proces chorobowy, dyssolucyjny i inwolucyjny, a więc zejście na niższy poziom aktywności". Zamykamy się w sobie, odcinamy od świata, zaczynamy działać mniej i na gorszym poziomie.

Momenty dezintegracji

Niekoniecznie musi to być związane z kryzysem psychicznym, skoro przynajmniej trzy razy w życiu stajemy w obliczu dezintegracji pozytywnej – mamy tu dziecięcy okres przekory, nastoletni okres dojrzewania i późniejszy okres przekwitania. Wszystko to można porównać do zrzucania starej skorupy jestestwa i wykluwania się nowej wersji osobowości – z dziecka w nastolatka, z nastolatka w osobę dorosłą, z człowieka w pełni sił w babcię czy dziadka i seniora w swojej rodzinie. Jest to związane z przejściem przez trudniejszy okres pełen napięć i zwątpienia, by później dostosować się do nowej rzeczywistości (nowej roli społecznej, nowej szkoły itd.). Okres dezintegracji oznacza nie tylko rozbicie „wewnętrznego środowiska jednostki ludzkiej", lecz także stosunku do otoczenia – czasem jest to agresja, nadpobudliwość, innym razem wycofanie i zwątpienie. Struktura psychiczna się rozluźnia i zaczyna nas samych zaskakiwać, tracimy panowanie nad sobą. W zwykłym trybie człowiek później się ponownie zintegruje, pytanie jednak dotyczy tego, czy zdoła zintegrować się na wyższy poziom. Może dojść bowiem do integracji prymitywnej, w której człowiek zachowa swoje kłopotliwe cechy, a być może rozwinie kolejne złe nawyki i autodestrukcyjne myśli. Może jednak dojść też do dezintegracji pozytywnej wielopoziomowej, z której człowiek wyjdzie wzmocniony skłonnościami do poświęceń, zaangażowania i empatii.

W ogóle rodzaje nerwic Dąbrowski dzielił na takie, które zamykają nas w sobie i prowokują do koncentracji na wyłącznie swoich problemach – jest tym na przykład hipochondria, w której martwimy się tylko o to, czy nie złapaliśmy jakiejś choroby, albo też nerwice polegające na (czasem przesadnym) otwarciu się na inne osoby, z czego może wyjść uspołeczniony człowiek, potrafiący czynić dobro wobec swojego otoczenia. Wielu proces takiej dezintegracji pozytywnej może przejść nieświadomie – stają się kimś lepszym, ale nie wykonując ku temu zaplanowanych kroków. Dąbrowski pisał, że „jednostki takie sytuują się na zautomatyzowanym, dobrze zorganizowanym, nieświadomym poziomie ewolucji. W spotęgowanych trudnych warunkach takie indywidua wykazują bardzo słabe formy dezintegracji, i to okresowo: gdy tylko ostry stan stresowy mija, powracają do stanu poprzedniego, tzn. do postawy prymitywnej adaptacji. Nie są zdolne zrozumieć znaczenia zmieniającego rzeczywistość przepływu czasu. Ograniczają się do rzeczywistości bezpośredniej, wąskiej, zarówno w znaczeniu intelektualnym, jak i uczuciowym. Nie są zdolne ani do oceny i doboru (czy eliminacji) wpływów otoczenia, ani do zmiany swojej postawy".

Świadoma przemiana

Można też zdać sobie sprawę z procesu dezintegracji (wielopoziomowej zorganizowanej) i z pomocą bliskich, specjalistów, przeżyć duchowych czy pracy nad sobą świadomie przejść metamorfozę. Przypomina to trochę ludzi, którzy w czasie wojny doświadczyli traumy okrucieństwa, by potem zdać sobie sprawę, że ze złem trzeba walczyć mądrze i z determinacją. Z dezintegracji pozytywnej biorą się więc liczne przykłady bohaterstwa żołnierzy, ratowników medycznych czy strażaków oraz lekarzy. Nieprzypadkowo zbiega się to z wiedzą milczącą twórców wielkopokoleniowej kultury – Mickiewiczowski Gustaw czy Krasińskiego Henryk budzą się jako Konrad czy Hrabia, którzy chcą już zajmować się nie tylko sobą i swoim zakochaniem, lecz także wspólnotą swojego pokolenia, narodu czy cywilizacji.

Gdzie jednak w tych kryzysach znajdujemy klucz do skoku rozwojowego? Wbrew ówczesnym wyobrażeniom o depresji jako chorobie ludzi słabych Dąbrowski widział w niej – nazwijmy to metaforycznie – bolesne okulary, przez które można lepiej i głębiej zrozumieć ludzką naturę. „Stany depresyjnie nie są wyłącznie wynikiem egocentryzmu, własnych trudności, hipochondrii, ale stają się niejako depresjami społecznymi, powstają na tle współprzeżywania z innymi ich smutków i dramatów. Obsesje wykraczają poza krąg przeżyć egocentrycznych, stając się obsesjami walki o dobrą sprawę, o zmienianie rzeczywistości, obsesjami pomocy innym w życiu codziennym i realizacji wyższych dążeń, przeciwdziałania krzywdzeniu i poniżaniu. W ten sposób ból własny pogłębia się przez rozumienie bólu innych, obsesja własna rozszerza się na obsesje innych, depresja, lęki, niepokoje własne pogłębiają się o przeżycia tej samej treści u innych. Nerwice i psychonerwice są zatem dość typowym przykładem wnikania w stany psychiczne własne i innych poprzez rozluźnienie i rozbicie własnej struktury psychicznej, a zatem i coraz lepsze widzenie wielopłaszczyznowości i wielopoziomowości całej skali ludzkich problemów". Z odpowiednią determinacją, pomocą otoczenia i specjalisty oraz z odpowiednim poziomem świadomości możemy podźwi-

eprasa.pl aca4cd9bff

gnąć się na wyższy poziom, by spełniać się jako człowiek. Człowiek w kryzysie może zrozumieć niepełność swojego wcześniejszego życia (bo skoro cierpi, to coś poszło nie tak), by poszukać lepszej drogi, pełniejszego siebie. Nie są to tanie porady współczesnych „coachów" i autorów poradników dobrego życia, lecz podróż w głąb ludzkiej niezbadanej natury i poszukiwanie sensu, którym parało się wielu intelektualistów, którzy doświadczyli dramatu II wojny światowej – jak na przykład więzień obozu koncentracyjnego, austriacko-żydowski psychiatra Viktor Frankl, który moc człowieka dostrzegał w poszukiwaniu wyższego sensu.

W trudnym stanie psychicznym, jeśli człowiek zdoła przełamać tendencję do patrzenia tylko na siebie, może dokonać wnikliwych obserwacji, kogoś na kształt matriksowego Neo, który w pewnym momencie zaczął dostrzegać cyfrowe kody, które tworzą otaczającą go rzeczywistość, i nauczył się nad tymi kodami panować. Dąbrowski opisuje to tak: „W tych obserwacjach jednostka ludzka próbuje rozejrzeć się filozoficznie w otaczającym świecie, w jego zmienności i trwaniu, w zasięgu jego praw i dynamizmów. Zaczyna ona wyróżniać wielostronność i wieloaspektowość, a także wielopoziomowość świata [...] zaczyna dostrzegać, że podejście do rzeczywistości w sposób horyzontalny i wertykalny – łącznie – daje jej rozumienie własnych możliwości poznawczych".

Teoria nie na te czasy

Dąbrowski mógł co prawda liczyć w PRL na wydawanie swoich prac i prowadzenie ograniczonych badań, ale nie mógł liczyć na uznanie władz i przywileje dostępne dla „prawomyślnych" naukowców. Psychiatra stwierdzał, że filozofia materialistyczna – a to na niej opierał się marksizm – nie dostarcza obserwatorom wiedzy na temat ludzkiej natury i nie pomaga tego człowieka wspierać i kształtować. Dodatkowo Dąbrowski był antyutylitarystą, uważał, że takie podejście człowieka, w którym rozważa on wszystko przez pryzmat tego, „co się opłaca", *de facto* zuboża psychikę, rozwój i całość człowieka. W czasach PRL, ale i dzisiaj w dobie rozkręconego konsumpcjonizmu, odrzucenie przyjemnego życia jako podstawy funkcjonowania było nie do zaakceptowania. Tymczasem autor „Dezintegracji pozytywnej" twierdził, że „możemy uzyskać wyższy poziom rzeczywistości i wartości poprzez ciężkie doświadczenia i rozbicia, poprzez psychonerwice, poprzez wielopoziomową dezintegrację, i że ta droga jest korzystna dla indywiduum ludzkiego". Tutaj trzeba podkreślić ten ostatni zwrot – cierpienie może być korzystne dla człowieka, co psychiatra zaobserwował w rozwoju tysięcy swoich pacjentów.

Także z punktu widzenia medycznego tezy Dąbrowskiego były rewolucyjne, skoro opisywały psychoneurozy nie jako choroby, lecz jako możliwy stan przejściowy, który staje się niekiedy warunkiem koniecznym do dalszego rozwoju i samospełnienia. W dobie unikania trudności, bólu, cierpienia i poświęcenia, w czasach gdy podziwianą wartością staje się rezygnowanie nawet z tak drobnego wysiłku jak robienie prac domowych po zajęciach szkolnych, człowiek może nabędzie pewnego spokoju i pozbawi się różnych psychicznych stanów kryzysowych oraz napięć, ale tym samym będzie skupiony na sobie, niechętny do rozwoju i niezdolny do czynienia dobra dla innego człowieka. To takie społeczeństwo chce wychować współczesny lewicowy nurt na Zachodzie, do którego dołącza obecna minister edukacji narodowej. W USA już zaobserwowano, że młodzież pozbawiona bolesnych bodźców, takich jak krytyka czy konfrontowanie się z odmiennymi poglądami, czyni z nich ludzi wsobnych, wątpliwych moralnie i egoistycznych, ale też w ich własnych kryteriach ludzi pozbawionych pasji, sukcesu i szczęścia.

Teoria Dąbrowskiego zdaje się być zgodna z mądrością pokoleń, z legendami, tradycjami, a nawet współczesnymi heroicznymi fabułami ilustrującymi moment, który uczony nazwał dezintegracją pozytywną. Herkules żył kiedyś dla siebie, póki nie postawiono go przed wyborem drogi łatwej albo stromej, lecz szczytnej, po czym stał się herosem pomagającym innym. Mezopotamski Gilgamesz po utracie przyjaciela wybiera się do krainy śmierci (dezintegracja), lecz nie odzyskawszy swojego towarzysza, staje się mądrym wojownikiem o lepszy świat. Każdą szansę na dezintegrację pozytywną daje nam – praktykowana w mądrej tradycji katolickiej – sakrament spowiedzi, gdzie dokonujemy rozpadu (wiwisekcji swoich grzechów), po czym otrzymujemy szansę na zintegrowanie siebie w lepszej wersji. Nie inaczej niż o dezintegracji – lecz nie pojedynczego człowieka, lecz całej cywilizacyjnej wspólnoty – pisał Arnold Toynbee w swoim „Studium historii", zakładając, że rozwój może się dokonać tylko w konfrontacji z wyzwaniem i groźbą upadku. Oczywiście największym przykładem dezintegracji pozytywnej był Jezus Chrystus, który z cierpienia Ukrzyżowania przeobraził się w Zbawiciela całego świata. Jest więc teoria Kazimierza Dąbrowskiego odpowiedzią na wiele współczesnych problemów i tylko brak ludzi tego formatu, którzy mieliby odwagę i determinację wprowadzić tę pozytywną receptę dla ludzi zagubionych w szaleństwach współczesności. ■

eprasa.pl aca4cd9bff

W demograficznym „punkcie zwrotnym”

Małgorzata Matuszak



Według badań przeprowadzonych w tym roku przez Centrum im. Adama Smitha, aż 35 proc. młodych Polek i Polaków deklaruje, że nie chce mieć dzieci. Dane GUS-u pokazują, że liczba urodzeń w Polsce systematycznie spada. Jakie czynniki wpływają na spadek dzietności?

eprasa.pl aca4cd9bff

Według danych Głównego Urzędu Statystycznego w Polsce w 2023 roku zarejestrowano 272 tys. urodzeń, czyli około 33 tys. (11 proc.) mniej niż w roku poprzednim. To najniższa liczba odnotowana w całym okresie od zakończenia II wojny światowej. Przyrost naturalny wyniósł minus 137 tys., a dzietność zaledwie 1,158. W 2017 roku współczynnik dzietności wynosił 1,45 i z każdym kolejnym roku systematycznie spada, od 2020 roku coraz szybciej. Dane te niepokoją, jak jednak odwrócić te negatywne trendy? I czy w ogóle można to zrobić?

To tendencje światowe

Problem niskiej dzietności dotyczy nie tylko Polski. W 2022 roku średni współczynnik dzietności wyniósł w Europie 1,46 (w 2021 roku – 1,53). Najwyższy odnotowano we Francji (1,79), na drugim miejscu była Rumunia (1,71), a na trzecim – Bułgaria (1,65). Na drugim końcu zestawienia znalazły się: Malta (1,08), Hiszpania (1,16) i Włochy (1,24). W Polsce w 2022 roku współczynnik ten wyniósł 1,29. Przypomnijmy, że współczynnik dzietności określa przeciętną liczbę dzieci, które urodziłaby kobieta w ciągu całego okresu rozrodczego (15–49 lat). Zakłada się, że dla prostej zastępowalności pokoleń współczynnik ten winien utrzymywać się na poziomie 2,1– 2,15. Kiedy średnia liczba urodzeń w danym kraju spada poniżej poziomu 2,1, jego populacja zaczyna się zmniejszać.

W 2023 roku we Francji, kraju zatem z najwyższym wskaźnikiem dzietności w roku 2022 i najlepszą sytuacją demograficzną w Europie, współczynnik ten wyniósł 1,68, obniżył się więc znacznie. Podobnie w innych europejskich krajach i nie inaczej w rozwiniętych krajach na całym świecie. Wskaźniki urodzeń choćby w najbardziej rozwiniętych państwach Azji Wschodniej w ubiegłym roku również spadły do rekordowo niskiego poziomu, pomimo kosztownych programów rządowych mających nakłonić rodziny do posiadania większej liczby dzieci. W Japonii sytuacja demograficzna oceniana jest jako „krytyczna", a prezydent Korei Południowej Yoon Suk-yeol ogłosił niedawno „stan nadzwyczajny" z powodu drastycznie niskiego wskaźnika urodzeń i ostrzegł, że jego poziom budzi obawy o „samo przetrwanie Korei Południowej". W pierwszym kwartale 2024 roku wskaźnik ten osiągnął poziom 0,76 i jest najniższy na świecie, a szacuje się, że jeszcze w tym roku spadnie do poziomu 0,68.

Powodów takiego stanu rzeczy jest wiele. W każdym kraju – inne, choć wiele można znaleźć wspólnych. Kwestie dzietności uzależnione są w dużej mierze od czynników społeczno-ekonomicznych, te zaś determinowane są uwarunkowaniami kulturowymi i historycznymi. Nasze dziedzictwo jest unikatowe, nie możemy więc wprost porównywać naszej sytuacji w tym względzie z sytuacją w innych krajach.

Jakie czynniki wpłynęły na tak duży spadek dzietności w Polsce? Dlaczego sytuacja demograficzna, od długiego już czasu niezapewniająca zastępowalności pokoleniowej, tak drastycznie się obniżyła? Do pewnej poprawy w 2017 roku doprowadziły: wprowadzenie programu 500+, wzrost wynagrodzeń, dynamiczny rozwój gospodarczy i większa dostępność mieszkań. W latach 1018–2019 nastąpił delikatny spadek, który przyspieszył po roku 2020. W dużej mierze przyczyniły się do tego pandemia COVID-19, a później wojna na Ukrainie. Pogorszył się stan gospodarki, nastąpiła inflacja i wzrost stóp procentowych. Problem demograficzny doskwiera nam jednak już od dawna, a wymienione czynniki tylko go pogłębiły. Sytuacja w kraju stała się niepewna, więc miało to wpływ na demografię. Jednak nie tylko to.

Dzieci to wydatki

Według badań przeprowadzonych w tym roku przez Centrum im. Adama Smitha, aż 35 proc. młodych Polek i Polaków deklaruje, że nie chce mieć dzieci. Najczęściej wymienianym powodem (16 proc.) takiego przekonania była „sytuacja finansowa i koszty utrzymania dzieci", dalej uplasowały się: „wiek, brak takiej potrzeby, odpowiedzialność i obowiązki", a także to, że „nie lubi się dzieci, stan świata, wolność, wygoda i spokój". Aż 15 proc. ankietowanych nie wymieniło żadnego z sugerowanych powodów, a 14 proc. stwierdziło, że powody są inne.

Eksperci Centrum wyliczyli także koszt związany z wychowaniem dzieci – oszacowali, że za wychowanie jednego dziecka w Polsce w 2024 roku (do osiągnięcia pełnoletności) zapłaci się 346 tys. zł, czyli 1602 zł miesięcznie, a w przypadku dwójki dzieci wydatki rosną do 579 tys. W 2023 roku koszty te szacowane były odpowiednio na 30 tys. i 61 tys. mniej. Kwoty te wyliczono w oparciu o minimum socjalne podane przez Instytut Pracy i Spraw Socjalnych, czyli o tzw. górną granicę ubóstwa, zapewniającą zaspokajanie potrzeb na godziwym, choć skromnym poziomie. Prawie 80 proc. tych kosztów to wydatki związane z żywnością, mieszkaniem, transportem i edukacją, szczególnie dotkliwe dla rodzin większych. Dlatego, jak stwierdzają eksperci z Centrum, liczba większych rodzin bardzo spadła, przecież na nich, dzisiaj i w przeszłości, opiera się wzrost demograficzny. Koszt można oczywiście ograniczyć – jeśli obliczylibyśmy go w oparciu o minimum egzystencjalne, wyniósłby w 2024 roku 179 tys. zł (829 zł miesięcznie), czyli około połowy poprzednio wyliczonych kosztów. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że minimum egzystencjalne zapewnia jedynie przeżycie biologiczne.

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl aca4cd9bff

Cieszy jednak podsumowanie tego raportu dokonane przez ekspertów Centrum. Ich zadaniem w debacie publicznej nie ma zrozumienia, że posiadanie dziecka nie sprowadza się do kosztów jego wychowania. Przekonują, że wychowanie dzieci to inwestycja w przyszłość, strategiczna inwestycja w kapitał ludzki, który będzie decydował o poziomie i jakości życia tak obecnych, jak przyszłych pokoleń Polaków. Anna Gołębicka z Centrum im. Adama Smitha tak podsumowuje ten raport: „Tak wysoko wywindowaliśmy oczekiwania, jaki ma być idealny rodzic, że coraz więcej ludzi nie chce powiedzieć »sprawdzam«, nie chce mieć dzieci. Jest to widoczne szczególnie w dużych miastach, gdzie obserwujemy niemal »wyścig zbrojeń« na lepszą szkołę czy dodatkowe zajęcia. Najwyższy czas spojrzeć na temat zupełnie inaczej. Ekonomicznie rzecz ujmując porozmawiać o »zyskach«, a nie nakładach sił i środków. Pokazać to, czego w tabelkę nie da się włożyć, co dzieci ze sobą niosą: szczęście, wspólnotę, rodzinę, uczucia. Przebić plusy minusami".

Ujmowanie dziecka jako „koszt", który da się określić w złotówkach, samo w sobie wydaje się jednak również znakiem naszych czasów, w którym wszystko musi być skalkulowane, zbilansowane i – jeśli się nie opłaca – zaniechane bądź wyjątkowo mocno uzasadnione, jeśli mimo wszystko podejmowane. Czy tym winny być dla nas dzieci?

Pieniądze to nie wszystko

Koszty wychowania dzieci rosną, bo rosną koszty życia w ogóle. Czy jednak to główna przeszkoda w planowaniu potomstwa? Poważniejszy z pewnością jest problem mieszkaniowy, choć tu już wkraczamy w kwestię polityki mieszkaniowej, której ograniczenia mają charakter strukturalny, stąd też niełatwo na tym gruncie o proste i szybkie rozwiązania, podobnie jak w przypadku wszystkich ograniczeń społeczno-ekonomicznych. Musimy jednak zauważyć, że deklaracje o braku chęci posiadania dzieci składają także ci, którzy nie borykają się z problemami finansowymi czy mieszkaniowymi, czy też ich problemy w tym względzie są łatwo-usuwalne.

Dochodzimy w tym miejscu do dość smutnej konkluzji: współczesny człowiek zapatrzony jest w siebie. Jesteśmy społeczeństwem mocno indywidualistycznym. Nawet wielu z tych, którzy deklarują, iż najważniejsza dla nich jest rodzina, swój czas poświęcają głównie pracy i swoim aktywnościom, nie zaś budowaniu rodzinnych więzów. Istnieją dwa modele łączenia pracy zawodowej i życia rodzinnego: familizm i workizm. Pierwszy hołduje życiu rodzinnemu kosztem kariery zawodowej, drugi – odwrotnie. Młodzi Polacy i młode Polki, choć deklarują nawet dużą wartość relacji rodzinnych, wybierają raczej workizm, co ma istotny wpływ na kolejne wybory w życiu.

Dla młodych ludzi, zwłaszcza z pokolenia Z, najważniejsze jest poczucie spełnienia. Cenią swój dobrostan, stawiają na samorozwój, chcą podróżować i poznawać świat. Albo nie robią nic, zatracając się w hedonizmie. Młode kobiety wyemancypowały się i odkładają decyzję o macierzyństwie na bliżej nieokreśloną przyszłość. Pozostawianie macierzyństwa na późniejszy wiek nie jest jednak tak do końca dobrym rozwiązaniem, o czym boleśnie przekonują się kobiety, które taką decyzję podjęły.

Z drugiej strony urodzenie dziecka przez młodą kobietę jest postrzegane jako świadectwo jej braku ambicji, rezygnacji z osiągnięcia sukcesu i skutkuje obniżeniem jej statusu społecznego. Bo przecież „miała jeszcze czas", mogła najpierw „coś w życiu osiągnąć". Największa stygmatyzacja dotyczy zaś matek, które w relatywnie młodym wieku mają więcej niż jedno dziecko. One określane są jako beneficjentki 500+ (aktualnie 800+) i budzą ogólną społeczną niechęć. I nie mam tu na względzie rodzin i sytuacji patologicznych. Posiadanie dzieci uważane jest za coś, co blokuje rozwój, definiuje jako „madkę" (to określenie często pojawiające się w naszej pop-kulturze), świadczy o braku większych aspiracji kobiety, która zdecydowała się na większą rodzinę. Wiąże się to z kolejnym aspektem macierzyństwa – postrzeganiem go jako coś ograniczającego, zmuszającego do rezygnacji z życia, wyrzeczenia się, a nawet „męczeństwa", co skutecznie może zniechęcać młode kobiety do decyzji o urodzeniu dziecka. Co ciekawe, mężczyzn, ojców tych dzieci, takie opinie zwykle nie dotyczą, a przynajmniej dotyczą rzadziej. I to kolejny powód, dla którego kobiety rezygnują z bycia matkami – nie wierzą, że ojcowie ich dzieci zaangażują się w wychowanie ich wspólnego dziecka. Współcześni mężczyźni jednak coraz częściej pragną aktywnie uczestniczyć w procesie wychowania dziecka.

Błogosławieństwo czy przekleństwo?

Do tego, że bycie rodzicem jest piękne, nie trzeba przekonywać nikogo, kto w piękny sposób rodzicem jest. Nikogo także z tych, kto rodzicem chciałby być, a z jakichś względów być nie może. Wiele osób rezygnuje jednak z tego doświadczenia w sposób świadomy. Oczywiście dzieci ograniczają w jakiś sposób wolność rodziców, a ta jest dla współczesnego człowieka coraz ważniejsza. Utrudniają też robienie kariery, pracę w ogóle, szczególnie wtedy, gdy dzieci są małe. Wielu rodzicom udaje się jednak wszystko pogodzić. Czy spadek dzietności to cena, jaką płacimy za cywilizacyjny sukces? Współczesne społeczeństwa muszą odnaleźć się w tej nowej sytuacji, w demograficznym „punkcie zwrotnym". ■

eprasa.pl aca4cd9bff



Ryszard Czarnecki

Wiatr od stepu, czyli w ojczyźnie Czyngis-chana

W tym wyjątkowym kraju jestem już trzeci raz. Wyjątkowym choćby dlatego, że, choć pięć razy terytorialnie większy od Polski, ma aż 12 razy mniej ludności. Lądуję na lotnisku Czyngis-chana, do którego Mongołowie w ostatnich kilkunastu latach odwołują się jak nigdy dotąd. Czyngis-chan tak naprawdę nazywał się Temudżyn i wtedy, kiedy Polska przeżywała rozbicie dzielnicowe, to ten genialny strateg wojskowy i bohater współczesnych Mongołów stworzył jedno z największych państw w historii świata. Imperium Mongolskie zaczynało się od Wielkiego Muru w Chinach i przez jezioro Bajkał od północy i Ałtaj na wschodzie wiodło do Azji Środkowej. Jego następcy dodali jeszcze Ruś, a także terytoria współczesnego Iraku, Iranu i Afganistanu.

Gdy wychodzę z lotniska, owiewa mnie wiatr ze stepu. Można się w nim zatopić tak bardzo, że stać się jego częścią. Jedziemy do stolicy Ułan Bator i mijamy po prawej stronie wypasane na wzgórzach owce, konie, bydło. A ponieważ step jest rozległy, a zwierzyny upilnować trzeba, pasterz… jeździ na motorowerze i na nim zagania stado.

Mongolia to drugie w historii komunistyczne państwo na świecie – po Związku Sowieckim. Jednak nawet w czasie komuny miała swoją specyfikę. Przywódca tamtejszych komunistów, premier Peldżidijn Genden, odmówił Stalinowi eksterminacji buddyjskich mnichów: sam był praktykującym buddystą! No to aresztowano go pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Japonii! Podzielił los jednego ze swoich poprzedników Dogsomyna Bodoo, który chciał uniezależnienia od ZSRS. Sowieci aresztowali go i skazali na śmierć.

Jakieś jeszcze porównania z Polską? Rosyjska armia wyszła stąd rok wcześniej niż od nas, bo w 1992 r.! Dodajmy jeszcze, że łączą nas niesłychanie trudni sąsiedzi: my mamy Niemców i Rosję, a oni Rosję i Chiny.

Jest tu bardzo wielu absolwentów polskich uczelni, jeszcze z czasów PRL, oraz – choć w mniejszym stopniu – III RP. Dziś wielu z nich zajmuje odpowiedzialne stanowiska rządowe. Regularnie się spotykają. Polskie lobby?

To też kolejny kraj postsowiecki, w którym komuniści przemalowali szyld swojej partii i dalej rządzą jako socjaldemokraci. Postkomuniści mają tu aż 62 mandaty w 76-osobowym parlamencie (mongolski Wielki Chural zostaje poszerzony do 126 posłów). Mają swojego premiera i swojego prezydenta (wcześniej był on premierem).

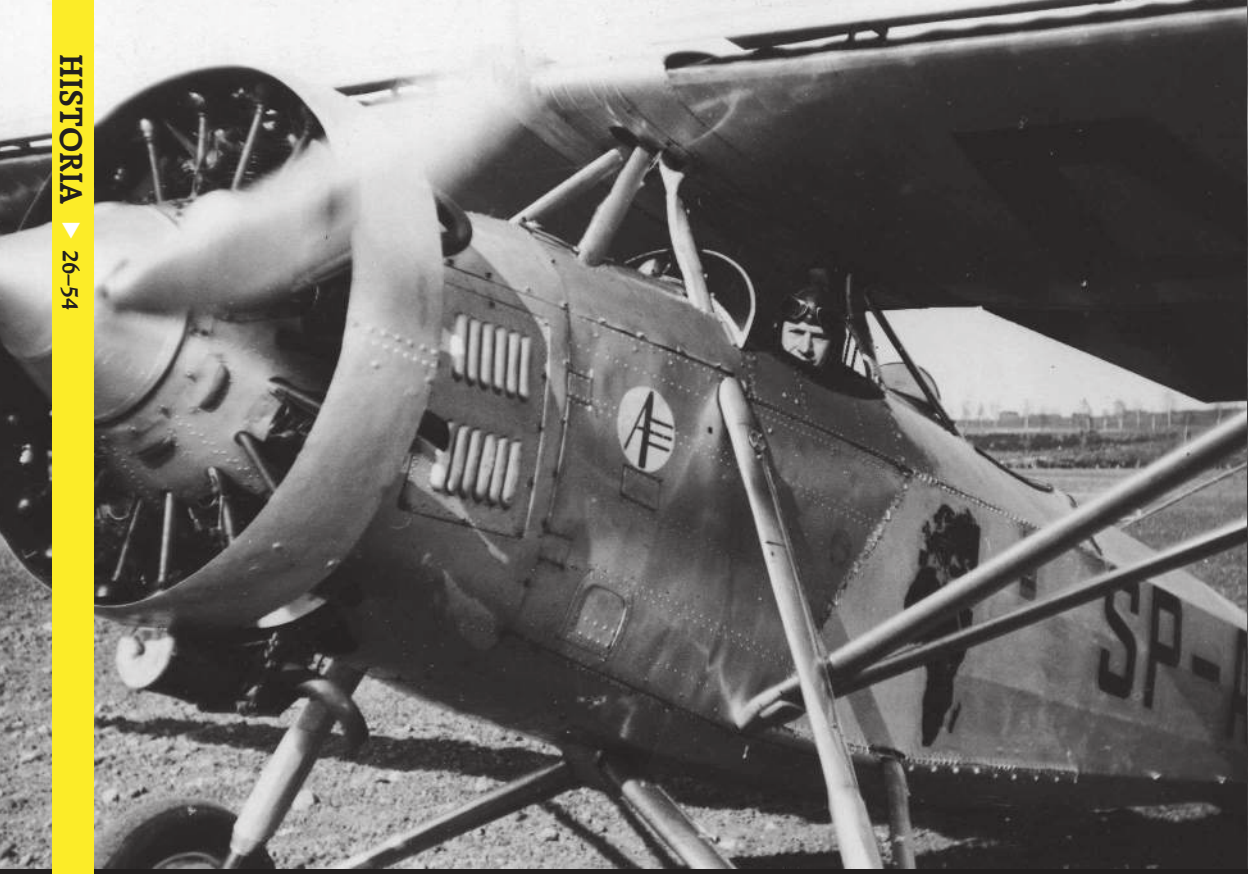
Kiedy tu jestem, finiszuje kampania wyborcza. Dość gwałtowna, skoro zamordowano znanego działacza opozycji demokratycznej, samorządowca.

Mając rosyjskiego niedźwiedzia pod bokiem, i to jeszcze historycznie co nieco mu zawdzięczając, zwłaszcza wsparcie w walkach z Japończykami i Chińczykami, polityka zagraniczna Ułan Bator musi być więcej niż ostrożna. To dlatego Mongolia oficjalnie zadeklarowała neutralność po napaści Rosji na naszego wschodniego sąsiada. Z drugiej strony Sowieci panoszyli się tu w sposób szczególny: tuż przed II wojną światową komuna zniszczyła 800 świątyń buddyjskich tylko w samej stolicy (łącznie ze zbiorami sztuki) i trzy z czterech pałaców religijnych przywódców Mongolii.

Kraj ten, choć geograficznie należy do Azji Środkowej, ma poczucie silnej odrębności na tle dawnych republik sowieckich, jak Kazachstan, Uzbekistan, Turkmenistan czy Kirgistan. „Nie byliśmy nigdy republiką sowiecką – a tamci byli" – dźwięczy mi w uszach. Jest faktem, że tamte państwa po upadku Związku Sowieckiego rządzone były po dyktatorsku, a w Mongolii w tym czasie przeprowadzano autentyczne, demokratyczne wybory. Ponadto sąsiedzi z Azji Środkowej poza Tadżykistanem, który wyrósł na tradycji perskiej, mają korzenie (język, kultura, historia) tureckie. A Mongolia dzięki Czyngis-chanowi ma poczucie historycznej wielkości i teraźniejszej odrębności.

To moja ostatnia podróż w imieniu Parlamentu Europejskiego poza Stary Kontynent. Czas na nowe wyzwania…

eprasa.pl aca4cd9bff





Piotr Lisiewicz

Szalony lot Kondora z Polski

8 maja 1933 roku kierownik radiostacji na lotnisku w Maceio w Brazylii zadał pilotowi małej awionetki standardowe pytanie, skąd przyleciał. Usłyszał zdumiewającą odpowiedź: „Z Afryki". Nie uwierzył, dopóki nie uzyskał depeszy z lotniska w Saint-Louis w Senegalu, która potwierdziła, iż lotnik mówi prawdę. W Brazylii wybuchła sensacja. „Bravos Estanislau Skarżyński!", „Bravas Aviacao de grande Nacao Poloneza!" – głosiły czołówki gazet, w których Stanisław Skarżyński został nazwany „Condoro Silencieso", czyli Milczącym Kondorem. Z pierwszym Polakiem, który przeleciał nad Atlantykiem i pobił rekord świata w długości lotu – 3582 kilometry – spotkali się wkrótce prezydenci Brazylii i Argentyny. Zaś sam bohater wysłał z lotniska krótki telegram do swojego dowódcy z wojska: „Przepraszam. Skarżyński". Nie miał bowiem zgody zwierzchników na swój wyczyn. Co nie zmieniło faktu, że na lotnisku w Warszawie czekali na niego premier z całym rządem i wiwatujące tłumy mieszkańców stolicy.

FOT. NAC (4)

eprasa.pl aca4cd9bff







Ale wcześniej w Ameryce Południowej wszyscy, a najbardziej tamtejsza liczna Polonia, chcieli zobaczyć, jak wygląda, jak mówili Argentyńczycy, „muchacho completamente loco", czyli „kompletnie zwariowany chłopak", który przeleciał nad Atlantykiem „w pudełku od zapałek". Sensację wzbudził także strój, w jakim Polak przeleciał nad oceanem – zamiast uniformu pilota… popielaty garnitur spacerowy. Z niedowierzaniem pisano też, że pilot jest osobą niepełnosprawną, utykającą, bo został ranny w bitwie pod Radzyminem, gdzie w 1920 roku odpierał dzielnie napadających na jego kraj bolszewików.

▶ Czuwał nade mną św. Stanisław biskup

Sam Skarżyński, choć nie miał zgody dowódców ani żadnych zabezpieczeń na wypadek awaryjnego lądowania na oceanie, bo kazał wymontować z maszyny kapoki i łódź ratunkową, twierdził, że miał dużo lepszego opiekuna: „Jestem wierzącym katolikiem. Dlatego wybrałem sobie na przelot przez Atlantyk dzień mego Patrona, św. Stanisława biskupa – męczennika 8 maja i mocno jestem przekonany, że głęboka wiara doprowadziła mnie do celu". Jedna z wersji spotykanych wśród dostępnych relacji z tego wydarzenia głosi, że Skarżyński oprócz błogosławieństwa św. Stanisława uzyskał też po cichu zgodę nie bezpośredniego, a wyższego zwierzchnika, gen. Gustawa Orlicz-Dreszera, który akcję, jeśli się powiedzie, chciał wykorzystać dla reklamy Polski.

Z czasem wychodziły na jaw kolejne szczegóły lotu. Otóż Skarżyńskiego próbowano odwieść od szalonego pomysłu także w Saint-Louis, we francuskim Senegalu. „Oczy poczciwego Francuza zrobiły się okrągłe ze zdumienia i przerażenia. Zaniemówił na chwilę, a potem wybuchnął: – Mais vous etes fou!… Jak można w takiej łupince lecieć przez ocean?… Jak się Pan będzie orientował w locie bez sekstansu, bez radioaparatu?… Nie ma Pan spadochronu ani łodzi ratunkowej na wypadek katastrofy!… To szaleństwo!… Zupełne szaleństwo" – tak relacjonowało zdarzenie czasopismo „Ku Wolnej Polsce: tygodnik Wojska Polskiego na Środkowym Wschodzie" (1942.09.27).

▶ Tłum Polaków śpiewa „Rotę" i prowadzi bohatera do prezydenta Argentyny

Lot z Saint-Louis do Maceió trwał 20 godzin i 30 minut, z czego 17 godzin i 15 minut pilot spędził nad samym Atlantykiem. Maszyna RWD-5bis, którą kierował, faktycznie była najmniejszym i najlżejszym aeroplanem, który pokonał Ocean Atlantycki.

Po tym, jak stało się o nim głośno w Ameryce Południowej, Skarżyński objechał wszystkie skupiska Polaków, by zachęcać ich do działania na rzecz Polski. „W czasie pobytu swego w Rio de Janeiro kapitan Skarżyński złożył wizytę prezydentowi Argentyny. Podczas drogi do pałacu prezydenta towarzyszył mu olbrzymi pochód. Tłumy Polaków-emigrantów śpiewały z entuzjazmem Rotę, a Argentyńczycy wiwatowali z zapałem. Nie było kolonii polskiej, która by nie przysłała daru dla »kapitana Stasia«. I tak jedna z kolonii ofiarowała mu srebrną blachę z wyrytym orłem, lecącym przez ocean; inna – piękną tykwę, oprawioną w srebro i ozdobioną orłem polskim" – opisywało w artykule „Powrót Polskiego Orła" czasopismo „Młody Gryf" (1933, R. 3, nr 33).

W innym artykule na tych samych łamach zatytułowanym żartobliwie „Spacerek Kapitana Stasia" czytamy: „Kapitan Skarżyński zwyciężył Atlantyk. Pobił rekord Mollisona – znakomitego angielskiego lotnika i poleciał ustanowić nowy rekord: 2400 kilometrów jednym tchem z Maceio do Rio de Janeiro, a stamtąd – do Kurytyby, bo tam – powiada – kolega jego z czasów wojny jest konsulem polskim! Bodajby się tacy koledzy na kamieniu rodzili, skoro dla ich odwiedzenia towarzysz z frontu waży się na takie »spacerki« poprzez oceany. Mało tego. Kapitan Skarżyński wybiera się jeszcze na swej malutkiej awionetce do Chicago, by tam na wystawę światową przywieść tryumf Polski i pokazać go światu całemu: Patrzcie na skrzydła Polski Niepodległej I. Patrzcie na nasze własne maszyny – R. W. D.".

Jak czytamy w artykule Mateusza Będkowskiego z portalu histmag.org, Skarżyński działał już na rzecz Polski w sposób zalecony mu przez zwierzchników: „Podróżnik został ugoszczony przez posła RP w Brazylii, Stanisława Grabowskiego, w jego willi. Odwiedził też m.in. samego prezydenta Brazylii, Getúlio Vargasa. 29 maja polski awiator opuścił Rio de Janeiro. Przez pierwsze 100 km jego RWD-5bis eskortowany był przez trzy samoloty brazylijskie. Zgodnie z wcześniejszą instrukcją od generała Gustawa Orlicz-Dreszera, prezesa Ligi Morskiej i Kolonialnej, a także nową od polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Skarżyński miał odwiedzić największe skupiska Polonii w Ameryce Południowej, której pokazywać miał swój samolot i opowiadać o odrodzonej, silnej Polsce. Miał w ten sposób przyczynić się do wzrostu dumy narodowej wśród emigrantów".

A w Polsce czekała na Skarżyńskiego cała stolica. „W niezapomniany dzień 2 sierpnia przyleciał do Warszawy. Wielotysięczne tłumy zgromadziły się na lotnisku. Trybuny dla przedstawicieli rządu i dostojnych gości wypełniły się szczelnie. Wszyscy patrzą w niebo. Niebawem ukazują się na horyzoncie punk-

eprasa.pl aca4cd9bff

ciki... rosną... zbliżają się... Oto malutka zwycięska awionetka, pudełko od zapałek, chluba polskiej techniki awiacyjnej R.W.D. 5" – pisał „Młody Gryf". Jak relacjonował, trybuna rządowa była pełna: „Wita go premier Jędrzejewicz, a następnie wiceminister gen. Fabrycy przy dźwiękach hymnu państwowego przypina do piersi order Polonia Restituta". Później był objazd po Warszawie, gdzie wszędzie wiwatowały tłumy.

Spadkobierca Żwirki i Wigury

Żeby zrozumieć ten fenomen popularności Stanisława Skarżyńskiego w przedwojennej Polsce, trzeba wyjaśnić, czym było dla odrodzonej ojczyzny lotnictwo. Otóż Polacy stworzeni zostali do latania w przestworzach, w takim samym stopniu jak do husarii czy ułańskich wyczynów. Świetnie rozumieli to zaborcy i dlatego Polaków trzymali jak najdalej od samolotów, traktowanych wówczas jako szczególnie niebezpieczny rodzaj uzbrojenia. Gdy wybuchła wolność, marzenie o skrzydłach mogło zostać wreszcie zrealizowane.

Film „Epitafium dla Orłów" Adama Sikorskiego rozpoczyna się od ważnych słów: „Lotnictwo wybuchło w odrodzonej Polsce wraz niepodległością. Porwało tysiące młodych, marzycielskich natur syntezą przygody, wiedzy tajemnej i nowoczesności, zerwaniem z niewolniczym przywiązaniem człowieka do dwóch wymiarów".

Wystarczyło dziesięciolecie, by Polacy wdarli się na lotniczy szczyt. W 1932 roku Franciszek Żwirko i Stanisław Wigura pokonali wszystkie lotnicze potęgi Europy i zwyciężyli w Challenge 1932. R.W.D. to były litery, które znał każdy Polak, wyznacznik polskiego awansu, a pochodziły one od nazwisk twórców tej rodziny samolotów – wspomnianego Wigury oraz Rogalskiego i Drzewieckiego.

„Niech żyje lotnictwo Polskie! Jakże pragnę, aby ten mój okrzyk usłyszała i zrozumiała cała Polska, jak długa i szeroka – od fal Bałtyku po Karpat szczyty!" – to były słowa pilota Franciszka Żwirki po wygranych zawodach w Berlinie. Nieprzeliczone tłumy wyległy na ulice Poznania, Warszawy i Wilna, by witać tych, którzy pokonali Niemców. Inżynier Stanisław Wigura – uczestnik wojny polsko-bolszewickiej – i porucznik Żwirko – żołnierz Dowbora-Muśnickiego – znaleźli się w 1932 roku na ustach całego świata. A potem wydarzyła się niewyobrażalna tragedia. Żwirko i Wigura dwa tygodnie później zginęli w wypadku. 300 tysięcy ludzi na czele z marszałkiem Piłsudskim odprowadziło ich na Powązki.

„R. W. D.! Te trzy litery jakże drogie są sercu Polski! Wyryły się w naszych duszach złotemi, słonecznemi blaskami tryumfu. Brzmią w nich tony polskiego hymnu państwowego, odegranego po raz pierwszy pod Berlinem w Tempelhofie po zwycięstwie Żwirki. Drży na nich jeszcze brylantowa rosa łez całej Ojczyzny, która jak wdowa-żałobnica płakała pod Cierlickiem nad mogiłą skrzydlatych swych synów" – tak widział to autor „Młodego Gryfa".

Ale nie minął rok i oto kolejny Polak dokonał lotniczego wyczynu, o którym mówił cały świat. I po raz kolejny, tak jak w przypadku Żwirki i Wigury, był to polski oficer, członek Polskiej Organizacji Wojskowej POW i bohater wojny polsko-bolszewickiej, kawaler Orderu Virtuti Militari. „Stolica Niepodległej Rzeczypospolitej w uniesieniu witała zwycięzcę Atlantyku spadkobiercę Żwirki i Wigury, kapitana Stanisława Skarżyńskiego" – pisał „Młody Gryf".

Szlachta z Łomżyńskiego

Jaka droga przywiodła nowego bohatera Polaków do szaleńczej przygody? Stanisław Skarżyński urodził się 1 maja 1899 roku w Warcie, miasteczku w województwie łódzkim. Był synem Władysława i Wacławy z Kozłowskich, miał siostrę Zofię. „Moi przodkowie wywodzą się z rodziny szlacheckiej w Łomżyńskiem. Rodzice moi posiadają aptekę w miasteczku Warcie, matka moja jest także szlachcianką" – mówił w gazecie „Dzień Pomorski".

Po ukończeniu szkoły powszechnej rozpoczął naukę w Kaliskiej Szkole Handlowej, a następnie we Włocławskiej Szkole Handlowej. Tęsknoty, które skierowały go w kierunku lotnictwa, kiełkowały w nim już w czasach szkolnych. Po latach wspominał: „Zaczęło się od tego, że w moim gabinecie wisiała wielka mapa świata. Ten barwnie zadrukowany arkusz papieru wywołuje w każdym, począwszy już od lat szkolnych, nostalgię za przestrzenią: otwiera perspektywy na ogromne nieznane lądy i oceany i wabi kusicielsko".

„W czasach szkolnych udzielał się w organizacjach niepodległościowych, interesował się też modelarstwem i lotnictwem. W latach 1916–1917 należał do Polskiej Organizacji Wojskowej. Mimo że latem 1918 r. rozpoczął studia na Wydziale Chemii Politechniki Warszawskiej, w listopadzie wstąpił do Wojska Polskiego" – piszą autorki książki „Sportowcy dla Niepodległej". Wiadomo, że w 1918 roku jako 19-latek dowodził akcją rozbrajania żołnierzy niemieckich i przejmowania od Niemców władzy w Warcie, był też komendantem wojskowym swojego miasta.

Utykający kapitan zostaje lotnikiem

W grudniu już jako sierżant sztabowy trafił do 29. Pułku Strzelców Kaniowskich w Kaliszu. Odbył sze-

eprasa.pl aca4cd9bff

ściotygodniowy kurs uzupełniający dla podchorążych z POW. A w czerwcu 1919 roku został wysłany przeciwko bolszewikom. Już w lipcu awansował na podporucznika. Pod koniec 1919 roku został ranny w plecy. Z powodu kuli doznał okresowego paraliżu nóg. Ale po leczeniu, już w lutym 1920 roku, powrócił na front. 16 sierpnia 1920 roku, w czasie bitwy pod Radzyminem, po raz kolejny został ranny – tym razem odłamki granatu wbiły mu się w kolano. Zakażona rana wymagała długiej i uciążliwej rekonwalescencji. „Podczas wojny bolszewickiej byłem dwukrotnie ranny, raz pod Płockiem w r. 1919. oraz drugi pod Radzyminem w r. 1920. Wyszedłszy z tego wszystkiego z sztywną lewą nogą, nie mogłem pełnić nadal służby wojskowej w piechocie i dlatego zgłosiłem się do lotnictwa" – opowiadał o tym w gazecie „Dzień Pomorski" (1933.08.17).

Leczony był aż do stycznia 1923 roku, jednak nie odzyskał już pełnej sprawności i do końca życia utykał. W czasie rekonwalescencji, w sierpniu 1922 roku awansował na porucznika. „Nie mogę chodzić, może będę mógł latać" – te słowa Skarżyńskiego przytacza „Młody Gryf". „Twardo musi walczyć z komisją lekarską o przyjęcie go do szkoły pilotów. Dwa razy zostaje zdyskwalifikowany: zawsze to nieszczęsne kolano! Wreszcie marzenie zostaje spełnione. Kpt. Skarżyński kończy w roku 1925 szkołę pilotów w Bydgoszczy i rozpoczyna skrzydlatą służbę na chwałę lotnictwa polskiego" – czytamy.

Uzyskał przydział do 1. pułku lotniczego w Warszawie. 12 kwietnia 1927 roku został mianowany kapitanem ze starszeństwem. Od czerwca 1928 do stycznia 1930 roku dowodził 12. eskadrą liniową. W tym czasie odbył również staż w lotnictwie rumuńskim. To wtedy jego ideą stały się dalekie przeloty sportowe.

Słonie, hipopotamy i rajd wokół Afryki

Szalony lot nad Atlantykiem nie był pierwszą lotniczą awanturą Skarżyńskiego. Lotnikiem znanym nie tylko w Polsce, lecz takze na świecie stał się po tym, jak pomiędzy 1 lutego a 5 maja 1931 roku wraz z por. Andrzejem Markiewiczem wykonał rajd dookoła Afryki, pokonując dystans 25 770 kilometrów. Trasa obejmowała Warszawę, Belgrad, Ateny, Kair, Chartum, Kisumu, Abercon, Elisabethville, Luebo, Léopoldville, Lagos, Abidżan, Bamako, Dakar, Port Etienne, Agadir, Villa Cisneros, Casablancę, Alicante i wreszcie Paryż.

Afryka to była wówczas dla Polaka totalna egzotyka, pobudzająca wyobraźnię. „Afryka specjalnie pociągała mnie dlatego, gdyż spośród wszystkich części świata, leżących w pobliżu Europy, przedstawia największą rozmaitość warunków klimatycznych, meteorologicznych i terenowych. Po wybraniu trasy przepracowaliśmy obaj projekt szczegółowo, wybierając drogę tak, by przebiegała przez tereny mniej znane" – pisał Skarżyński w książce „25.770 kilometrów ponad Afryką".

O kolorycie tej wyprawy tak czytamy w cytowanym czasopiśmie „Ku wolnej Polsce": „Rajd wokół Afryki… obfitował w szereg poważnych wydarzeń, którym sprostać musiała niezłomna wola Skarżyńskiego, i łańcuch wydarzeń drobnych, które uczyniły z tej sprawy jedno wielkie pasmo egzotyczności. Koło obozowisk krążyły szakale przy wtórze chichotliwego wycia hien. Gdzie indziej, jak w Dżubie, nawet słonie chętnie odwiedzały lotnisko, trzymając się na razie w przyzwoitej odległości, ale kiedy indziej, w nocy »ocierają« się już niemal o biwak lotników, tym razem są w towarzystwie opasłych hipopotamów".

Polska to miasteczko w stanie Texas

Sam Skarżyński pisał w cytowanej książce: „Skierowaliśmy się wzdłuż Nilu na południe. Po godzinie mgliste opary rozwiały się i zapanowała piękna pogoda. Tuż za stolicą żyzna dolina delty rzecznej zwęża się gwałtownie, pas urodzajnych pól przypada niemal do samego Nilu, a poza wąską wstęgą zieleni po obu stronach, jak okiem sięgnąć, rozpościera się pustynia. Z lotu ptaka doskonale widzi się prawdziwość odwiecznego powiedzenia: – Bez Nilu nie ma Egiptu. Tu w kraju, gdzie nie ma nawet sześciu dni deszczowych w ciągu roku nad wszystkim musi dominować troska, aby nie zmarnowała się ani jedna kropla drogocennego płynu ze świętej rzeki".

„Z przyczyn propagandowych – ich celem było m.in. rozsławienie Polski i jej osiągnięć technicznych – Skarżyński i Markiewicz od początku zdecydowani byli na wyprawę aeroplanem stworzonym w kraju" – pisze wspomniany Mateusz Będkowski z portalu histmag.org.

Gdy z powodu kłopotów z silnikiem musieli lądować w należącej do Sudanu Atbarze, doszło do zabawnego sporu z pracownikami poczty, który Skarżyński opisał w swojej książce: „W Atbarze, na samym wstępie, napotkaliśmy trudności przy wysłaniu pierwszej depeszy do Warszawy. Urzędnik pocztowy zapewniał nas z całym przekonaniem, że się mylimy i że Polska (Poland) to nie jest państwo w Europie, ale miasteczko w stanie, nie pamiętam już Texas czy Massachusetts w USA. Twierdzenie swoje udowodnił nam książką pocztową na rok 1931 ze spisem państw. W książce tej Polska zupełnie nie figuruje!".

eprasa.pl aca4cd9bff

4 maja dotarli do Poznania, skąd następnego dnia w asyście czterech samolotów polecieli do Warszawy. Zakończyli swą podróż o 11:05 na lotnisku mokotowskim. O tej wyprawie Skarżyński napisał wspomnianą tu książkę „25.770 km ponad Afryką", która została wydana po raz pierwszy przez Aeroklub RP w Warszawie w 1931 roku.

Szef sztabu Armii Pomorze

1933 rok był czasem opisanej na początku najbardziej sensacyjnej wyprawy Skarżyńskiego nad Atlantykiem. Za ów wyczyn Skarżyński otrzymał Medal Louisa Blériota za rekord odległości.

W marcu 1934 roku został awansowany na stopień majora ze starszeństwem. Ukończył później Wyższą Szkołę Lotniczą w Warszawie i dowodził dywizjonem liniowym. W 1938 roku został zastępcą dowódcy 4. pułku lotniczego w Toruniu. Zajmował się w tym czasie także organizacją lotnictwa sportowego. Na stopień podpułkownika został mianowany ze starszeństwem z 19 marca 1939 roku. 26 kwietnia 1939 roku został prezesem Aeroklubu Rzeczypospolitej Polskiej. W sierpniu 1939 roku, w czasie mobilizacji alarmowej, objął stanowisko szefa sztabu w Dowództwie Lotnictwa i OPL Armii „Pomorze". Jeszcze w sierpniu 1939 roku został skierowany do Rumunii jako zastępca attaché lotniczego, gdzie po klęsce wrześniowej przyszło mu organizować przerzuty polskich lotników do Francji.

W 1940 roku sam się do Francji przedostał i brał tam udział w organizowaniu lotnictwa polskiego. Po upadku Francji kierował ewakuacją polskich pilotów z Saint-Jean-de-Luz do Wielkiej Brytanii. Tam został mianowany komendantem Polskich Szkół Pilotów w Hucknall i następnie w Newton. Otrzymał numer służbowy RAF P-1252. W 1940 roku sprowadził do Anglii żonę Julię i 6-letniego syna Macieja.

Chciał za wszelką cenę latać

Z uwagi na zaawansowany wiek i zmniejszoną sprawność nogi oraz wysoki stopień wojskowy, został skierowany przez Brytyjczyków na stanowisko naziemne, zamiast do walki w powietrzu. „Trudności piętrzyło dowództwo polskie i Brytyjczycy. Po długich staraniach ktoś w dowództwie w końcu przymknął oko na stan jego zdrowia – jako kombatant z dwudziestego roku był inwalidą wojennym, mając niesprawną lewą nogę – i zgodę w końcu otrzymał, choć z warunkiem, że latanie nie będzie kolidować z jego obowiązkami jako komendanta lotniska" – pisał Wojciech Krajewski w „Polsce Zbrojnej". Na prośbę Skarżyńskiego polskie dowództwo skierowało go do odbycia tury 30 lotów bojowych jako pilota w polskim 305. Dywizjonie Bombowym. W kwietniu 1942 roku został komendantem polskiego personelu bazy lotniczej RAF Lindholme. Od maja do czerwca odbył pięć nocnych lotów bojowych jako drugi pilot, na bombardowanie Nantes, Hamburga, Kolonii, Essen i zrzutu ulotek nad Paryżem.

Ostatni zszedł z pokładu

W nocy z 25 na 26 czerwca 1942 roku wziął udział w locie bojowym Dywizjonu 305 nad Bremą. Ze względu na awarię silnika Vickers Armstrong „Wellington", na którym leciał, musiał wodować na Morzu Północnym. Czterech z pięciu lotników po opuszczeniu aeroplanu zajęło miejsce w pontonie i zostało uratowanych przez brytyjską łódź motorową. Ale Skarżyński, który wyszedł jako ostatni z kabiny samolotu, został zmyty przez falę do morza. Jego ciało wyrzuciła woda na brzeg holenderskiej wyspy Terschelling. Pochowany został na cmentarzu komunalnym na tej wyspie. Ponowny pochówek z honorami zorganizowany został na tamtejszym cmentarzu żołnierzy alianckich. Naczelny Wódz gen. Władysław Sikorski awansował Skarżyńskiego do stopnia pułkownika. Prezydent RP Władysław Raczkiewicz odznaczył Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

W 2003 roku w Warcie odsłonięto pomnik Stanisława Skarżyńskiego. Od 19 września 2009 roku „dla zachowania i kultywowania tradycji oręża polskiego oraz dla upamiętnienia zasług w służbie dla Ojczyzny płk pil. Stanisława Jakuba Skarżyńskiego" 8. Baza Lotnicza w Krakowie-Balicach przyjęła imię patrona – płk. pil. Stanisława Skarżyńskiego. 18 września 2009 roku odsłonięto pomnik z popiersiem płk. Skarżyńskiego, dłuta prof. Czesława Dźwigaj.

Ale jak pisał w „Polsce Zbrojnej" Wojciech Krajewski, syn lotnika Maciej Skarżyński pozostał po wojnie wraz z matką w Anglii, gdzie skończył studia i „dorastał w kręgach powojennej polskiej emigracji". „Zachował do dziś gorące wspomnienie o swoim Ojcu i bardzo pragnął, by w Polsce o nim nie zapomniano… W 2018 roku przekazał szereg pamiątek rodzinnych do zbiorów Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Niestety, nie wszystkie z marzeń Macieja Skarżyńskiego udało się spełnić. Jednym z tych niezrealizowanych jest pomnik upamiętniający jego słynnego ojca i innych polskich lotników-rekordzistów, który mógłby stanąć na terenie portu lotniczego na Okęciu, gdzie przewijają się tysiące pasażerów z całego świata". ■

eprasa.pl aca4cd9bff



Dariusz Jarosiński



Niemieccy zbrodniarze z Powstania Warszawskiego pozostali bezkarni

eprasa.pl aca4cd9bff



„Każdego mieszkańca należy zabić, nie wolno brać żadnych jeńców. Warszawa ma być zrównana z ziemią i w ten sposób ma być stworzony zastraszający przykład dla całej Europy" – taki rozkaz wydał Adolf Hitler na wiadomość o wybuchu powstania w Warszawie 1 sierpnia 1944 roku. Zadanie stłumienia zrywu Hitler powierzył nie dowódcom Wehrmachtu, do których tracił zaufanie, a Heinrichowi Himmlerowi, Reichsführerowi SS, ministrowi spraw wewnętrznych, nadzorującemu wszystkie wewnętrzne i zewnętrzne siły policyjne i bezpieczeństwa, w tym Gestapo, czyli specjalistom od mordowania.

FOT. WIKIPEDIA (2)

W Powstaniu Warszawskim zginęło prawie 180 tys. cywilnych mieszkańców Warszawy, z czego około 60 tys. stanowili mieszkańcy dzielnicy Wola. Zbrodnia nazwana przez historyków rzezią Woli, była w istocie, według definicji prawnika Rafała Lemkina, zbrodnią ludobójstwa. Do dzisiaj znajdowane są prochy ludzkie w różnych miejscach tej warszawskiej dzielnicy. Rzeź Woli jest uznawana przez historyków za największą jednostkową masakrę ludności cywilnej dokonaną w Europie w czasie II wojny światowej, a zarazem największą w historii jednostkową zbrodnią popełnioną na narodzie polskim. Oprawcy mordowali także wziętych do niewoli powstańców, pomimo iż nosili biało-czerwone opaski na rękawach i powinni być traktowani jak żołnierze zgodnie z konwencją haską. Po kapitulacji powstania, do ostatnich dni obecności Niemców w Warszawie, miasto było systematycznie, dom po domu, palone i burzone.

Tylko czterech skazanych…

Każda rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego to wciąż powracające pytanie o to, dlaczego sprawcy tych zbrodni, częstokroć niewyobrażalnych i niemających precedensu w dziejach ludzkości, nie ponieśli kary za swoje czyny? Dlaczego zbrodnie popełnione przez Niemców w stolicy Polski nie zostały rozliczone, podobnie zresztą jak i inne w całej Polsce? Nasze poczucie sprawiedliwości nie pozwala nam na zachowanie spokoju, na pogodzenie się z potworną niegodziwością, bezkarnością. To m.in. ta bezkarność powoduje, że dzisiaj Niemcy chcą ponownie, jak przed kilkudziesięciu laty, panować nad Europą.

Za zbrodnie podczas powstania zostały ukarane cztery osoby. To nie pomyłka. Za śmierć tysięcy warszawiaków i zrównanie miasta z ziemią odpowiedziało przed sądem jedynie czterech Niemców. Dwie osoby dostały po siedem lat więzienia, a dwie po pół roku. Tak jak za włamanie do piwnicy czy pobicie.

Po II wojnie światowej w zachodnioniemieckim kodeksie karnym brakowało przepisów odnoszących się bezpośrednio do zbrodni ludobójstwa, zbrodni przeciwko ludzkości czy też zbrodni wojennych. Z tego powodu osoby oskarżone o udział w najcięższych przestępstwach narodowego socjalizmu mogły być sądzone wyłącznie z artykułu 211 (morderstwo). Zbrodnie nazistowskie, które były motywowane nienawiścią rasową, były zazwyczaj kwalifikowane jako „morderstwo z niskich pobudek". Sam fakt służby w obozie zagłady nie wystarczył do wydania wyroku skazującego – oskarżonemu należało udowodnić, iż

eprasa.pl a4a4cd9bff

osobiście dokonywał zbrodni. Wielokrotnie nie brano pod uwagę zeznań świadków, często uznając je za mało wiarygodne.

Niemcy do dzisiaj nie uporali się z ponurym dziedzictwem, jakim był okres narodowego socjalizmu, II wojny światowej. Przerażający jest ich brak poczucia winy. Mało tego – kreują się na moralne mocarstwo, które udziela innym narodom, również Polakom, lekcji. Jak pokazują przeprowadzone niedawno badania, 70 proc. Niemców uważa, że ich naród jest wzorem dla innych w kwestii tego, jak rozliczyć się z przeszłości, choć jedynie 10 proc. załogi obozu Auschwitz-Birkenau stanęło po wojnie przed sądem.

Ludzie, o których wiedziano, że mają na sumieniu zbrodnie, żyli sobie w Niemczech często spokojnie, a czasem nawet zajmowali wysokie stanowiska. Czuli się na tyle bezkarni, że nie uciekali do Ameryki Południowej.

„Moim honorem jest wierność"

SS-Gruppenführer Heinz Reinefarth dowodził oddziałami SS i policji niemieckiej, które w dniach 5–7 sierpnia dokonały eksterminacji mieszkańców warszawskiej dzielnicy Wola. Z wykształcenia prawnik, przedwojenny adwokat, od roku 1932 członek NSDAP. Nie miał żadnych osiągnięć na froncie, ale był uważany za pewnego ideologicznie. Zbrodniarz zza biurka, nie brudził sobie rąk krwią ofiar. W ciągu dwóch dni, 4 i 5 sierpnia, podległe mu oddziały policyjne – zasłużone w krwawych pacyfikacjach i zbrodniach na cywilach – zamordowały w zbiorowych i indywidualnych egzekucjach około 60 tys. cywilnych mieszkańców – mężczyzn, kobiet, dzieci, w tym pacjentów i personel trzech wolskich szpitali. Rzezi towarzyszyły gwałty na kobietach, grabieże, podpalenia. Aby oszczędniej gospodarować amunicją, nie marnować jej do rozstrzeliwania Polaków, niemieccy oprawcy palili mieszkańców Woli żywcem w domach, mordowali bagnetami, wieszali na latarniach, zakopywali żywcem, rozbijali kolbami karabinów główki dzieci, zgromadzonych w piwnicach rozrywali granatami, wykorzystywali jako żywe tarcze, pędząc przed czołgami na powstańcze barykady.

Po masakrze Woli oddziały Reinefartha zostały przerzucone do rozprawienia się z powstańcami walczącymi na Starym Mieście, a we wrześniu prowadziły walki z żołnierzami AK na Powiślu i Czerniakowie. Zbrodniarze Reinefartha, zgodnie z dyspozycją Hitlera i Himmlera, nikogo nie oszczędzali – mordowali jeńców wojennych, rannych w powstańczych szpitalach. Ogółem liczba zamordowanych warszawiaków przez Reinefartha i jego zbirów mogła sięgnąć 100 tys. Himmler i Hitler docenili zbrodnicze umiejętności Reinefartha – 30 września otrzymał on Liście Dębowe do swojego Krzyża Rycerskiego. Krzyż Rycerski był najwyższym odznaczeniem wojskowym III Rzeszy. W swoim założeniu Waffen-SS miało być formacją elitarną, nawiązującą do średniowiecznych zakonów rycerskich. Niemieccy „rycerze" mieli być ślepo wierni i posłuszni Hitlerowi i III Rzeszy. „Moim honorem jest wierność" – brzmiała dewiza wygrawerowana na esesmańskich sztyletach.

Reinefarth miał na sumieniu (o ile je w ogóle posiadał) dużo więcej istnień ludzkich niż wymordowanych warszawiaków w powstaniu, a jednak po wojnie nie zamierzał ukrywać się, uciekać jak część jego kolegów zbrodniarzy do Argentyny czy Urugwaju. Kiedy przebywał w niewoli, amerykańskie służby specjalne zwerbowały go jako informatora, w związku z tym był chroniony, wystąpił nawet jako świadek na procesie norymberskim. W 1948 roku zamieszkał na wyspie Sylt w brytyjskiej strefie okupacyjnej. Pozytywnie przeszedł przed sądem niemieckim procedurę denazyfikacyjną. Wyrok zapadł jedynie na podstawie zeznań Reinefartha. W uzasadnieniu wyroku sądu podkreślono – uwaga! – honorowe zachowanie SS-Gruppenführera. Zapewne chodziło o ten honor zgodny z dewizą wygrawerowaną na sztylecie esesmana.

Reinefarth jawił się jako człowiek kulturalny, elokwentny, taktowny. Opowiadał o sobie, iż jest niemieckim patriotą, że jako funkcjonariusz policji został przyjęty do SS automatycznie, że nie miał zamiaru służenia w SS. W czasie wojny spełniał jedynie swój obywatelski obowiązek, walcząc „za ojczyznę".

Na wyspie Sylt rodzina żony Reinefartha miała od dawna dom letniskowy, on sam także tutaj co roku spędzał urlop od lat 20. XX wieku. Znany był mieszkańcom wyspy i traktowany jako „szanowany prawnik, obywatel", udzielał im bezpłatnie porad prawnych. W roku 1951 został wybrany na burmistrza tego pięknego kurortu z ramienia partii Blok. Raczej tajemnicą poliszynela była wiedza mieszkańców o wojennej przeszłości ich burmistrza, ale wszyscy milczeli. Wyborcom to nie przeszkadzało. „Pokolenie, do którego należał także Reinefarth i które samo przeżyło traumę wojny, milczało ze względu na samoobronę, a może także ze wstydu z powodu własnej wspólnej odpowiedzialności, której nie chcieli stawić czoła" – mówił w roku 2014, w 70. rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego, Christoph Bornemann, pastor z Westerland, mieszkający na wyspie Sylt.

W 1958 roku Reinefarth uzyskał mandat deputowanego do parlamentu krajowego w Szlezwiku-Holsztynie, a po zakończeniu kadencji, w 1967 roku, podjął pracę jako prawnik, adwokat. Mimo licznych wezwań władz polskich do ekstradycji zbrodniarza, władze Re-

eprasa.pl aca4cd9bff

publiki Federalnej Niemiec konsekwentnie odmawiały i nawet przyznały Reinefarthowi rentę generalską.

Niemiecka precyzja

W latach 70. Krzysztof Kąkolewski, dziennikarz, reportażysta, przeprowadził rozmowy z byłymi funkcjonariuszami III Rzeszy, którzy dopuścili się zbrodni na terenie Polski w okresie II wojny światowej. W przedmowie do zbioru reportaży zatytułowanych „Co u pana słychać?" napisał: „W trzydzieści lat od popełnienia przez nich ich czynów, w momencie, kiedy uzyskali ostateczną pewność, że tamto jest historią, że nawet Polacy o wszystkim zapomnieli, postanowiłem pojechać, żeby przypomnieć im pewne zdarzenia i nazwiska, zadać im pewne pytania, z których pierwsze będzie brzmiało: »Co u pana słychać?«. Pojadę obejrzeć z bliska tych, do których kiedyś zbliżenie było niemożliwe, bo równoznaczne ze śmiercią. Pojadę ich zobaczyć, póki żyją, okazy, jakie może widzieć jedno pokolenie na tysiąclecia".

Krzysztof Kąkolewski odwiedził również Heinza Reinefartha mieszkającego w Westerland na wyspie Sylt, „najbardziej ekskluzywnej wyspie na północy Europy", jak pisarz określał to miejsce. Były generał SS i policji przyjął polskiego dziennikarza w swoim eleganckim gabinecie adwokata. Ze spokojem, bez zakłopotania, w sposób cyniczny odpierał zarzuty dziennikarza dotyczące zbrodni popełnionych przez podległe mu oddziały w Powstaniu Warszawskim na dzieciach i kobietach. Nie poczuwał się do jakiejkolwiek winy. Dziennikarz, być może sądząc, że zrobi to wrażenie na byłym esesmanie, wspomniał mu o historii Wandy Lurie. „Pani Lurie była w ciąży. Pańscy podkomendni zapędzili ją w grupie kilku tysięcy na podwórze fabryki na Woli wraz z trojgiem małych dzieci. Trzymając się za ręce podeszli do ściany. Dzieci zginęły od salwy. Ona, ranna, wygrzebała się w nocy spod stosu trupów. Potem urodziła dziecko, które przeżyło w jej łonie śmierć rodzeństwa". Historia ta nie zrobiła żadnego wrażenia na niemieckim zbrodniarzu Reinefarthcie. Nie zareagował nawet słowem, umiejętnie zmieniając temat rozmowy. Wyznaczył polskiemu dziennikarzowi dwie godziny czasu na rozmowę i nie pozwolił nawet o minutę jej przedłużyć. Niemiecka precyzja. Z taką precyzją wykonywał też rozkazy Hitlera i Himmlera.

Krzysztof Kąkolewski nie dodał w tekście, że Wanda Lurie, postrzelona w szczękę i kark, przeleżała trzy dni pod stosem trupów. Kiedy poczuła ruch nienarodzonego dziecka w łonie, zrozumiała, że musi je ratować. Otrzymała jakąś nadprzyrodzoną siłę od Boga. W nocy wydostała się spod trupów. Niestety została wkrótce ponownie schwytana przez Niemców i była świadkiem kolejnych zbrodni. Dopiero po kilku dniach trafiła do obozu przejściowego w Pruszkowie. Tam 20 sierpnia urodziła syna, któremu dała na imię Mścisław. Po wojnie złożyła zeznania obciążające Heinza Reinefartha, który dowodził masakrą na Woli. Co prawda jej zeznania znalazły się w protokołach procesów norymberskich, ale nie uzyskała pozwolenia na wyjazd z Polski na proces. Za przynależność do Armii Krajowej była wraz z mężem prześladowana po wojnie przez komunistów. Syn Mścisław, kiedy ukończył 14 lat, poznał od matki historię z Powstania Warszawskiego.

Niemieccy rycerze – zdobywcy lazaretów

Jednym z oddziałów pacyfikujących Powstanie Warszawskie dowodził SS-Oberführer Oskar Dirlewanger, zwyrodnialec, alkoholik, zboczeniec seksualny, który przed wojną odsiadywał karę dwóch lat więzienia za molestowanie nieletniej; dowódca specjalnej jednostki karnej SS złożonej z kryminalistów, niesubordynowanych żołnierzy, przeznaczonej do zwalczania partyzantów. W czasie przeprowadzania akcji antypartyzanckich dokonywał potwornych zbrodni. Przed przybyciem do Warszawy spalił na Białorusi kilkaset wsi i zamordował 120 tys. cywilów. Wbrew obiegowej opinii dirlewangerowcy mieli jedynie niewielki udział w rzezi na Woli, gdyż 4 sierpnia wieczorem w stolicy zjawiła się tylko część ich oddziału. Sam Dirlewanger dotarł do Warszawy z pozostałymi swoimi oprawcami 8 lub 9 sierpnia, czyli po zakończeniu rzezi Woli. Reinefarth i Erich von dem Bach-Zelewski po wojnie zrzucili winę za mordowanie mieszkańców Warszawy na nieżyjącego Dirlewangera, aby uniknąć odpowiedzialności.

Dirlewangerowcy, włączeni do zgrupowania Heinza Reinefartha, zostali rzuceni na początku do walki z silnymi oddziałami Armii Krajowej zgrupowania „Radosław". Po dwóch dniach walki z 365 żołnierzy zostało 41. Zdaniem dr Sorayi Kuklińskiej z IPN, autorki książki o Dirlewangerze, to jego żołnierze ponosili przez długi czas główny ciężar walki z powstańcami.

Dirlewangerowcy toczyli zacięte boje z powstańcami, ale też nie oszczędzali bezbronnych cywilów. Swoje przejście przez Powiśle czy Śródmieście znaczyli stosami trupów, zgwałconych kobiet. Mathias Schenk, żołnierz oddziałów szturmowych SS w Powstaniu Warszawskim, w swoich wspomnieniach opisał, w jaki sposób „zdobywany" był lazaret na terenie jednego z warszawskich klasztorów. W drzwiach budynku stanęła z białą flagą pielęgniarka, prosząc Niemców o darowanie życia. W łóżkach szpitalnych oprócz powstańców i ludności cywilnej leżeli też ranni w walkach

eprasa.pl aca4cd9bff

w powstaniu Niemcy. W szpitalu przebywało 15 sióstr z lekarzem i oficerem AK. W pewnym momencie do budynku wpadli dirlewangerowcy – najpierw zamordowali wszystkich Polaków, a później zgwałcili pielęgniarki. Tak wyglądało „zdobycie" lazaretu.

A to inna historia opowiedziana przez esesmana Mathiasa Schenka o tym, jak działali dirlewangerowcy: „Wysadziliśmy drzwi, chyba do szkoły. Dzieci stały w holu i na schodach. Dużo dzieci. Rączki w górze. Patrzyliśmy na nie kilka chwil, zanim wpadł Dirlewanger. Kazał zabić. Rozstrzelali je, a potem po nich chodzili i rozbijali główki kolbami. Krew ciekła po tych schodach. Tam w pobliżu jest teraz tablica, że zginęło trzysta pięćdziesięcioro dzieci. Myślę, że było ich więcej, z pięćset".

Brygada Dirlewangera, w której podczas powstania na ogólną liczbę około 2400 żołnierzy walczyło m.in. ponad 1600 przestępców uwolnionych z więzień, poniosła ogromne straty. Po powstaniu stopniała do zaledwie 650 osób. Przyczyną tego stanu rzeczy było słabe wyszkolenie żołnierzy, którzy atakując, zazwyczaj nie zachowywali elementarnych zasad taktyki i bezpieczeństwa.

Za „zasługi" w tłumieniu powstania Dirlewanger otrzymał kolejny awans, a 30 września także Krzyż Rycerski Żelaznego Krzyża. 16 października 1944 roku gubernator Hans Frank wydał na jego cześć obiad na Wawelu, podczas którego wyraził mu „swą wdzięczność i uznanie za wzorowe operacje przeprowadzone przez jego grupę w toku walk w Warszawie".

Dirlewangerowcy nigdy nie zostali osądzeni za swoje zbrodnie. Po wojnie ich dowódca został schwytany przez Francuzów, którzy umieścili go w obozie w Altshausen. Tam pilnowali go polscy strażnicy, notabene późniejsi w Polsce funkcjonariusze UB, którzy pobili go tak dotkliwie, że zmarł. Najprawdopodobniej miało to miejsce 7 czerwca 1945 roku.

Bestia w ludzkiej skórze

Generał Waffen-SS Erich von dem Bach-Zelewski manipulował swoją biografią, trzykrotnie zmieniał nazwisko, podawał się za potomka krzyżackiego komtura oraz pruskiego junkra, po wojnie, wiadomo z jakich względów, dowodził, że w jego żyłach płynie słowiańska krew, bo w istocie pochodził z rodziny polskiej. Już jako piętnastolatek wstąpił do niemieckiej armii cesarskiej. Po I wojnie światowej zdobywał doświadczenie podczas tłumienia powstań śląskich. Od 1930 roku należał do NSDAP, a od 1931 roku – do SS. Bardzo szybko awansował. Miał uznanie samego Adolfa Hitlera.

Od 1939 roku współpracował ściśle z Adolfem Eichmannem, koordynując akcję umacniania niemczyzny na wschodzie – czyli wypędzania bądź eksterminacji ludności dotychczas zamieszkującej Górny Śląsk. Był jednym z inicjatorów założenia obozu koncentracyjnego w Auschwitz. Kierował grupami operacyjnymi odpowiedzialnymi za mordy ludności cywilnej.

1 sierpnia 1944 roku został mianowany przez Heinricha Himmlera dowódcą oddziałów SS do stłumienia Powstania Warszawskiego. Utworzono specjalną Korpsgruppe, liczącą 25 tys. zbirów, w skład której weszły oddziały SS i oddziały kolaboracyjne (brygada RONA Bronisława Kamińskiego, dwa bataliony Azerów, Ukraiński Legion Samoobrony). Do Warszawy dotarł wieczorem 5 sierpnia. Von dem Bachowi podporządkowane były wszystkie, dotychczas działające samodzielnie, jednostki Wehrmachtu, SS i policji niemieckiej na terenie miasta.

Z zadania stłumienia powstania wywiązał się, jak przystało na generała SS, sumiennie. Kontynuował rzeź ludności cywilnej na Woli i na Ochocie. Po wojnie podkreślał, że złagodził rozkaz Hitlera o wymordowaniu wszystkich mieszkańców Warszawy. Nie uczynił jednak tego z pobudek humanitarnych – jako fachowiec od pacyfikacji zdawał sobie sprawę z tego, że im większy będzie niemiecki terror, tym bardziej wzrośnie opór i determinacja powstańców. Pojawiły się też kłopoty z amunicją, obawiał się, że zużyta ona zostanie do masowych egzekucji ludności cywilnej i może jej zabraknąć do walk z powstańcami. Po 5 sierpnia kobiety i dzieci miały być kierowane do obozu przejściowego w podwarszawskim Pruszkowie. Obóz ten nie był jednak żadnym sanatorium. 12 sierpnia Bach wydał zakaz mordowania mężczyzn – cywilów, nadal jednak wzięci do niewoli powstańcy byli rozstrzeliwani. Należy jednak podkreślić, że Bach odpowiadał za wszystkie zbrodnie dokonane przez Niemców w trakcie tłumienia powstania i za złamanie postanowień układu kapitulacyjnego, zapewniających wolność i bezpieczeństwo ludności cywilnej.

W nocy z 2 na 3 października 1944 roku w dworku Reicherów w Ożarowie podpisał ze stroną polską akt zaprzestania działań wojennych w Warszawie. Po kapitulacji polskiej stolicy został odznaczony Krzyżem Rycerskim i wysłany jako dowódca X Korpusu SS w Budapeszcie, który na początku lutego 1945 roku doszczętnie rozbiła Armia Czerwona.

Po wojnie uniknął kary za zbrodnie wojenne. W zamian za zeznania przeciwko swoim dawnym nazistowskim przełożonym przed Trybunałem w Norymberdze otrzymał status świadka. Władze amerykańskie odmówiły jego ekstradycji do Polski. W 1949 roku został zwolniony z więzienia w Norymberdze, po czym przebywał jeszcze dwa lata w różnych obozach. W 1951 roku izba denazyfikacyjna w Monachium skazała go na 10 lat obozu pracy, jednak szybko

eprasa.pl aca4cd9bff

karę zamieniono na areszt domowy. Do 1958 roku von dem Bach mieszkał we wsi Eckersmühlen koło Norymbergi. W 1961 roku został ponownie aresztowany i skazany przez sąd za zamordowanie jednej osoby w trakcie „nocy długich noży" na cztery i pół roku pozbawienia wolności. W 1962 roku stanął ponownie przed sądem, tym razem został skazany na dożywocie za morderstwo sześciu niemieckich komunistów w 1933 roku. Zmarł w wieku 73 lat w szpitalu więziennym w 1972 roku. Nigdy nie odpowiedział za zbrodnie ludobójstwa popełnione w Polsce, w tym w Powstaniu Warszawskim.

Kat Warszawy

Ludwig Hahn studiował prawo, w 1932 roku obronił pracę doktorską na uniwersytecie w Jenie. W tym samym czasie wstąpił do NSDAP i zaczął robić karierę. Od 1935 roku pracował w Gestapo. Po inwazji na Polskę we wrześniu 1939 roku pełnił funkcję szefa Einsatzkommando odpowiadającego za mordy ludności cywilnej na Górnym Śląsku. Potem był szefem Policji Bezpieczeństwa i SD w Krakowie, gdzie koordynował tzw. Akcję AB, czyli eksterminację polskiej inteligencji – elity politycznej i intelektualnej, a od sierpnia 1941 roku do ostatnich dni okupacji niemieckiej w Warszawie pełnił funkcję szefa Policji Bezpieczeństwa i SD. W stolicy m.in. wydał zarządzenie o masowej egzekucji 32 tys. mieszkańców Warszawy, doprowadził do śmierci, kalectwa ludzi więzionych na Pawiaku. Nadzorował likwidację 310 tys. Żydów przewiezionych z warszawskiego getta do komór gazowych w Treblince.

2 sierpnia 1944 roku SS-Standartenführer Ludwig Hahn otrzymał od Heinricha Himmlera rozkaz stłumienia powstania z „wykorzystaniem wszelkich najbrutalniejszych metod" poprzez spalenie miasta i wymordowanie mieszkańców. Po odparciu ataków żołnierzy AK podlegli mu policjanci i gestapowcy przeprowadzali masowe rozstrzeliwania polskich cywilów. Rejon tzw. dzielnicy policyjnej, czyli okolice ulicy Bagatela, alei Szucha i Alei Ujazdowskich, był po Woli i Ochocie jednym z największych miejsc niemieckich zbrodni podczas Powstania Warszawskiego. Przyjmuje się, że zamordowano tam od 5 tys. do 10 tys. Polaków. Egzekucje przeprowadzano głównie w ruinach budynku Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych (GISZ) oraz w pobliskim ogródku jordanowskim przy ulicy Bagatela. Po wojnie odnaleziono w piwnicach budynku przy alei Szucha, siedzibie Ludwiga Hahna, prochy i kości ludzkie, które ważyły pięć i pół tony. W powojennym procesie niemiecki świadek zeznawał, że Hahn osobiście uczestniczył w egzekucjach i miał także zgwałcić oraz zastrzelić Polkę, studentkę medycyny.

Funkcjonariusze Sicherheitspolizei (Policji Bezpieczeństwa, w skrócie SiPo) Hahna nadal działali w powstańczej Warszawie, z Einsatzkommando (oddziałem specjalnym) Sicherheitspolizei pod dowództwem Alfreda Spilkera, który był uważany za największego specjalistę w walce z polskim podziemiem. Sztab Einsatzkommando SiPo znajdował się w budynku plebanii przy kościele św. Wojciecha na Woli. Grupa liczyła około 80 osób i zajmowała się brutalnym przesłuchiwaniem powstańców lub podejrzanych o udział w nim w celu pozyskiwania informacji, których następnie rozstrzeliwano. Efektem wywiadowczej i pacyfikacyjnej działalności Sonderkommando była śmierć ponad 1,5 tys. Polaków na zajętych przez Niemców terenach.

Za zasługi w tłumieniu Powstania Warszawskiego szef Policji Bezpieczeństwa i SD, Standartenführer dr Ludwig Hahn, został odznaczony Krzyżem Żelaznym I klasy.

Po 1945 roku Hahn ukrywał się pod przybranym nazwiskiem. W 1949 roku, wraz z powstaniem Republiki Federalnej Niemiec, wrócił do prawdziwej tożsamości. W latach 50. został prokurentem jednej z dużych hamburskich firm, w innej pełnił funkcję dyrektora. Bardzo dobrze powodziło się materialnie jemu i jego rodzinie. Czuł się na tyle bezpiecznie, że nie krył się ze swoją narodowosocjalistyczną przeszłością. Dopiero po procesie Adolfa Eichmanna, który zakończył się w Izraelu w 1962 roku, zachodnioniemiecka opinia publiczna zaczęła się baczniej przyglądać dr. Hahnowi. Prawie rok spędził w areszcie, ale został wypuszczony z powodu „braku dowodów".

W 1965 roku został ponownie aresztowany, ale dwa lata później znów wypuszczono go na wolność – tym razem z „przyczyn zdrowotnych". Najprawdopodobniej wolność zawdzięczał protekcji swojego szwagra, gen. Johannesa Steinhoffa, niemieckiego asa myśliwskiego, a w tym czasie dowódcy lotnictwa Bundeswehry i wpływowego oficera NATO.

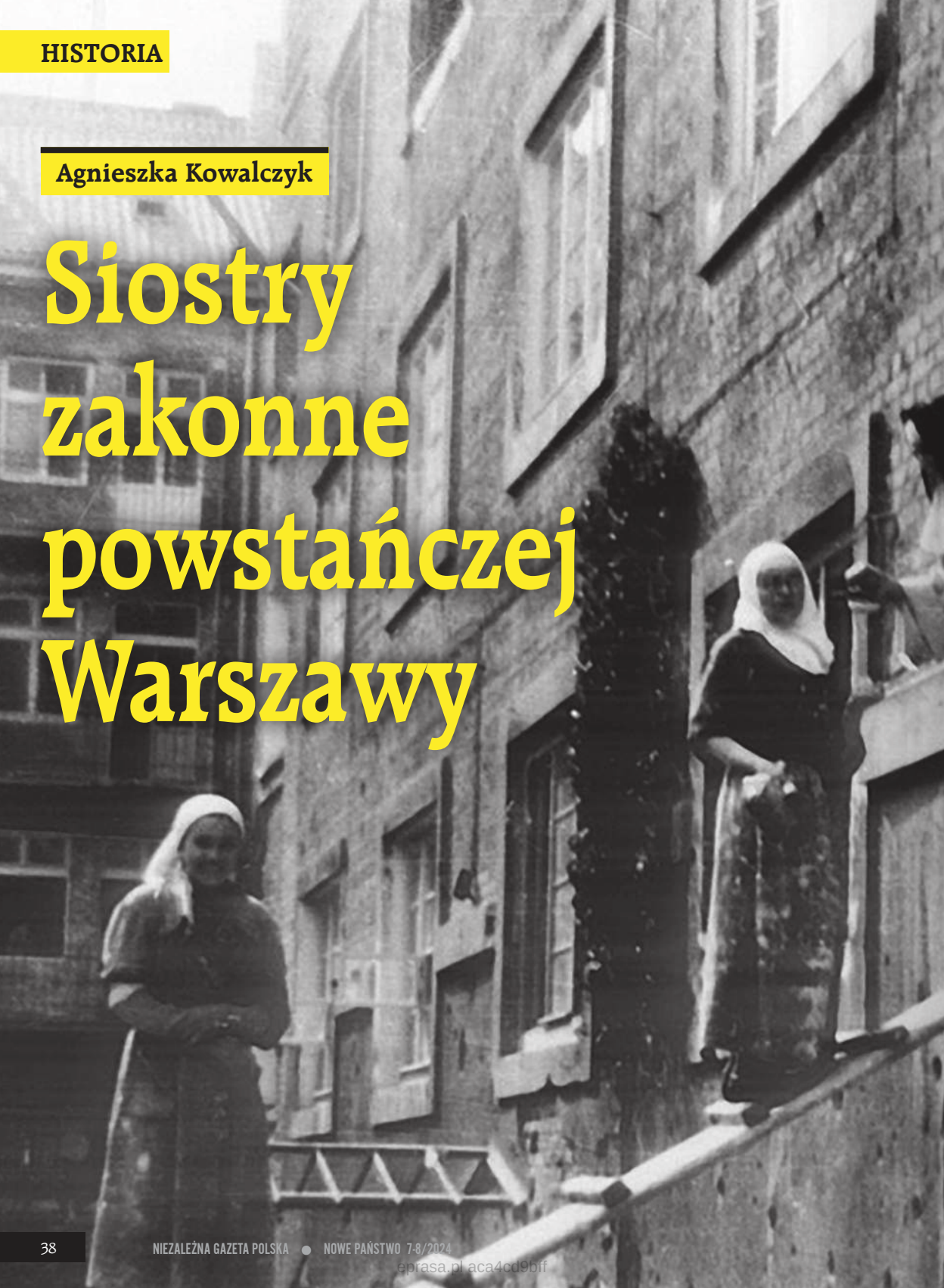
Pierwszy proces sądowy Hahna zaczął się przed Sądem Krajowym w Hamburgu w 1972 roku. W procesie zajmowano się kilkoma wątkami – zbrodniami popełnionymi w getcie warszawskim, na Pawiaku, w Powstaniu Warszawskim. Przesłuchano dziesiątki świadków. Sąd uznał, że Hahnowi można udowodnić jedynie udział w zamordowaniu 100 więźniów Pawiaka w lipcu 1944 roku i wymierzył mu karę 12 lat pozbawienia wolności.

W 1974 roku rozpoczął się drugi proces Hahna w Hamburgu. Dotyczył on deportacji warszawskich Żydów do obozu w Treblince. Tym razem sąd skazał zbrodniarza na karę dożywotniego więzienia. 30 września 1983 roku Hahn został zwolniony z więzienia z przyczyn zdrowotnych. Zmarł 10 listopada 1986 roku we własnym domu jako człowiek wolny. Za popełnione zbrodnie na Górnym Śląsku, w dystrykcie krakowskim i w czasie Powstania Warszawskiego nigdy nie został osądzony. ■

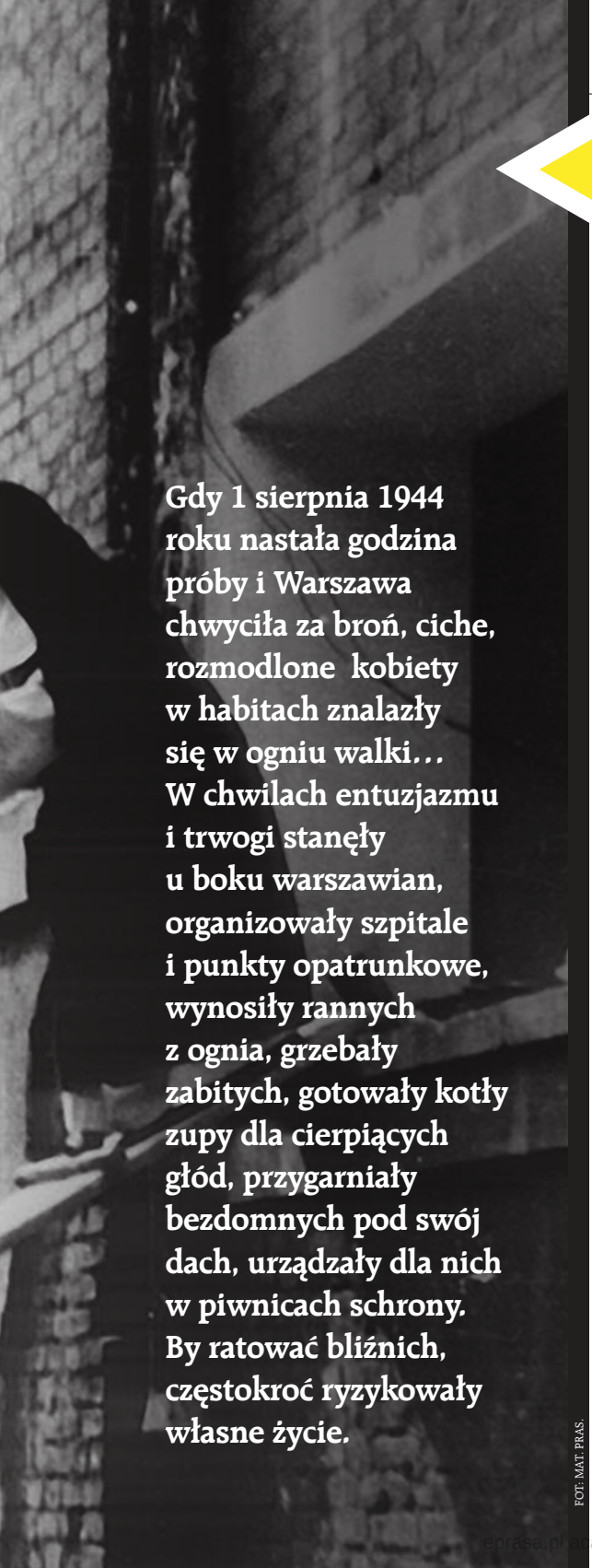
eprasa.pl aca4cd9bff

Agnieszka Kowalczyk

Siostry zakonne powstańczej Warszawy



eprasa.pl aca4cd9bff



Gdy 1 sierpnia 1944 roku nastała godzina próby i Warszawa chwyciła za broń, ciche, rozmodlone kobiety w habitach znalazły się w ogniu walki… W chwilach entuzjazmu i trwogi stanęły u boku warszawian, organizowały szpitale i punkty opatrunkowe, wynosiły rannych z ognia, grzebały zabitych, gotowały kotły zupy dla cierpiących głód, przygarniały bezdomnych pod swój dach, urządzały dla nich w piwnicach schrony. By ratować bliźnich, częstokroć ryzykowały własne życie.

FOT. MAT. PRAS.

Przyjechały do Warszawy z niemal wszystkich zakątków Polski, ale i z różnych stron świata. […] Pochodziły z przeróżnych środowisk: z biednych wiejskich domów, z dworków, z pałaców hrabiowskich. Jedne były rolniczkami, drugie nie miały formalnego wykształcenia, a jeszcze inne były doktorami filozofii czy lekarkami. […] Historia postawiła przed wszystkimi ważne zadanie do wypełnienia: ratować, wspierać bezbronnych i opiekować się nimi, walczyć o wolność i godność człowieka wszelkimi dostępnymi sposobami" – tak rozpoczyna się książka „Siostry z powstania. Nieznane historie kobiet walczących o Warszawę" (2020). Jej autorka Agata Puścikowska uczyniła swoimi bohaterkami zakonnice służące najbardziej potrzebującym w okupowanej stolicy, a potem w czasie Powstania Warszawskiego. Stworzyła przy tym jedyny w swoim rodzaju przewodnik po klasztorach Warszawy czasów II wojny światowej, ukazując nieznaną dotąd historię sióstr z 24 żeńskich wspólnot zakonnych, które w nieludzkiej rzeczywistości niosły pomoc osieroconym dzieciom, niedołężnym starcom, chorym, ociemniałym i niepełnosprawnym, wykluczonym społecznie…

Ich klasztory były bastionami wolności, azylem dla walczących o wolną Polskę żołnierzy AK i innych podziemnych organizacji niepodległościowych. Co najmniej setka z nich za swe poświęcenie w czasie powstania zapłaciła cenę najwyższą. Inne skazane zostały na tułaczkę i piekło obozów koncentracyjnych. O czynach tych świątobliwych kobiet nie mówiło się dotąd zbyt wiele. One same wolały milczeć o swej powstańczej działalności, nie chcąc narażać własnej wspólnoty ani ludzi podziemia na prześladowania ze strony władz komunistycznych. Sylwetki ofiarnych sióstr, których w Warszawie 1944 roku było około tysiąca, wydobyła z mroków zapomnienia Agata Puścikowska, czerpiąc z nieznanych relacji wojennych – spisanych przez nie pamiętników, poczynionych notatek i zapisków kronikarskich będących bezcennym źródłem wiedzy o roli, jaką odegrały w Powstaniu Warszawskim. Spośród tak licznych historii „kobiet, które widziały w każdym człowieku cały świat", warto odwołać się do przykładów służby sióstr franciszkanek ze zgromadzeń Rodziny Maryi oraz Służebnic Krzyża i w 80. rocznicę wybuchu powstania 1944 roku uczynić je przewodniczkami po walczącej Warszawie.

„Każdy człowiek to błogosławieństwo Boże"

Wieść o rozpoczęciu powstania dotarła do domu franciszkanek przy ulicy Żelaznej 1 sierpnia o godzinie 14. Trzy godziny później znalazły się w samym centrum walk, wśród burzy pocisków i ogłuszającego bombardowania. Wkrótce klasztor został opanowany przez powstańców. Strzelali z okien i rzucali butelkami z benzyną w stronę Niemców zajmujących szpital św. Zofii. Placów-

eprasa.pl a4cd9bff

ki wroga nie udało zdobyć, więc 6 sierpnia żołnierze AK wymaszerowali na Starówkę. „Niemcy w tym czasie bombardowali, niszczyli, palili dom za domem przy ul. Chłodnej, Żelaznej i Wroniej. 7 sierpnia o godzinie trzynastej samoloty niemieckie obrzuciły domy sióstr bombami fosforowymi. Nie było mowy o ratunku, wszystkie budynki od razu stanęły w płomieniach. Siostry z wychowankami skryły się więc w ogrodzie. Jednak i tu nie było bezpiecznie. Kule i pociski latały im nad głowami, samoloty krążyły nisko, dodatkowo Niemcy strzelali z karabinów maszynowych. Padł granat. Zginęła wychowanka sióstr Ania Zielińska. Franciszkanki pochowały ją w ogrodzie". Ranne zostały także zakonnice – s. Walentynę Brzyską dosięgła seria z karabinu maszynowego, postulantkę Marię Marszalik – zranił granat, a nowicjuszkę Damianę Mikulską – trafił w głowę odłamek pocisku. Dwa dni później Niemcy nakazali im opuszczenie klasztoru na Żelaznej wraz z podopiecznymi. Trafiły najpierw do obozu przejściowego w Pruszkowie, skąd wywiezione zostały do Ravensbrück. „Na dworcu oczekiwali nas gestapowcy z psami i ausjerki [strażniczki obozowe] z batogami rzemiennymi – opowiadały ss. Urszula Sobolewska i Alfonsa Tausiewicz o rozpoczynającej się gehennie. – Ustawili nas piątkami, krzyk, popychanie, reflektory, psy i gestapowcy. Po obydwu stronach pędzili nas jak zwierzęta, bez wytchnienia. Trzeba było iść równo w rzędzie, inaczej psy chwytały nas za nogi, a ausjerki biły tymi rzemieniami po plecach".

Ten oto wojenny dramat stał się udziałem Franciszkanek Rodziny Maryi, którym przewodziła matka Matylda Getter, zwykła mawiać, że „każdy człowiek to błogosławieństwo Boże, a błogosławieństwo trzeba przyjąć". Dlatego też na wieść o mającym wybuchnąć powstaniu natychmiast przybyła do Warszawy, choć niedawno przeszła zawał serca i była w trakcie rekonwalescencji. Czuła jednak, że jej miejsce jest w stolicy przy setkach osieroconych dzieci i bezbronnych starców, nad którymi franciszkanki roztaczały swą opiekę od 1857 roku, kiedy to metropolita warszawski abp Zygmunt Szczęsny Feliński doprowadził do powstania ich wspólnoty.

Na pomoc dzieciom

Gdy wybuchła II wojna światowa, swój dom zakonny przy ulicy Hożej 53 otwarły dla wszystkich uciekinierów wojennych. Przyjęły wówczas pod swój dach kilkuset potrzebujących, a każde dziecko otuliły w szlafrok, który służył za koc i kołdrę. Zorganizowały u siebie punkt medyczny, a dla głodnych tułaczy piekły ciemny chleb bądź ryzykując życie, próbowały zdobyć go w mieście. W 1940 roku w samej tylko prowincji warszawskiej prowadziły 22 sierocińce, a później otworzyły jeszcze dziewięć kolejnych. Latem 1944 roku w stolicy pod opieką franciszkanek znalazło się około 350 dzieci w wieku od 2 do 18 lat, a ponadto osoby starsze i niepełnosprawne z pięciu warszawskich zakładów. Przez cały czas okupacji wydawały kilkaset posiłków dziennie. Ponadto zajmowały się tajnym nauczaniem i prowadziły kursy pielęgniarskie i wychowawcze.

Ich wielką zasługą było ratowanie żydowskich dzieci z warszawskiego getta, z którym sąsiadowały franciszkańskie domy zakonne przy ulicach Żelaznej i Wolności. „Matka Matylda wraz z setkami sióstr rozpoczęły […] tajną współpracę z Radą Główną Opiekuńczą, Radą Pomocy Żydom przy Delagaturze Rządu RP na Kraj pod kryptonimem »Żegota« i Wydziałem Opieki Społecznej miasta stołecznego Warszawy. Dzieci były przemycane do zakładów prowadzonych przez zakonnice najróżniejszymi sposobami – tajnymi przejściami, przez mury getta, wykusze i wyłomy, w koszach z brudami czy w beczkach. Losy najmłodszych były różne i dramatycznie przedziwne, a jedynym punktem wspólnym była troska sióstr, które małych uciekinierów i tułaczy przyjmowały do siebie". W ten sposób ocaliły życie 500 żydowskich dzieci i 200 dorosłych Żydów.

Wymarsz 12 sierpnia

Jednocześnie wspierały działania podziemia niepodległościowego. W należących do nich kilkunastu domach zakonnych rozsianych po całej Warszawie znajdowali swój azyl konspiratorzy z kręgów AK. Tajne zebrania odbywali przy ulicy Chełmskiej, gdzie siostry prowadziły sierociniec dla 160 dzieci, w zakładzie opieki dla starców przy Belwederskiej oraz w internacie przy Hożej, gdzie swą główną siedzibę miało dowództwo VII Obwodu AK „Obroża" na powiat warszawski. Franciszkanki włączyły się również w działania podziemnej organizacji „Ojczyzna", której członkiem był dr Józef Morawski, kierownik Instytutu Higieny Psychicznej przy ulicy Wolności 14. Było to miejsce ich codziennej pracy, w którym opiekowały się 45 upośledzonymi dziećmi i ponad setką wychowanek wysiedlonych z Łomny nad Stryjem. W nocy z 1 na 2 sierpnia 1944 roku żołnierze AK zajęli gmach instytutu i urządzili w nim punkt sanitarny. Mimo odcięcia zakładu od wody i prądu siostry starały się wykarmić dzieci, powstańców i bezdomnych.

Gdy 6 sierpnia akowcy opuścili ośrodek, Niemcy rozpoczęli zmasowany atak na instytut: „Bezustannie ostrzeliwali bezbronne kobiety i dzieci. Zbliżali się do okolicznych domów, paląc budynek po budynku. Ludność ukryta w schronach musiała wychodzić z podniesionymi rękami. Wtedy Niemcy wrzucali do piwnic granaty". W końcu nakazali siostrom opuszczenie zakładu. Wymarsz nastąpił 12 sierpnia: „Wyprowadziły wówczas dzieci i zabrały rannych, którym w ostatnich dniach niosły pomoc sanitarną. Dzielnie wspierały też chorych. Niemcy patrzyli na grupę chłodno i bezwzględnie. Gdy

eprasa.pl aca4cd9bff

jeden z żołnierzy zauważył wśród dzieci kalekę, chwycił za pistolet i chciał malucha zastrzelić. Na szczęście uratowała go s. Tekla". I tak dzieci pod opieką zakonnic dotarły na Dworzec Zachodni, gdzie czekał już na nie pociąg do Grodziska Mazowieckiego, do którego franciszkankom udało się przemycić trzech nieznanych mężczyzn z Woli, ponadto ocalonego przed rozstrzelaniem ks. Kazimierza Koniecznego oraz kobietę z dwójką dzieci. Ostatecznie 200 małych uciekinierów z Warszawy znalazło bezpieczną przystań w domu sióstr franciszkanek z Kostowca.

Pół bochenka chleba i kawałek słoniny

Do wybuchu powstania sposobiły się też zakonnice z ulicy Hożej. Zgromadziły u siebie duże zapasy żywności, zorganizowały magazyn środków opatrunkowych, w bocznej oficynie urządziły główny punkt chirurgiczny, a sypialnie internistek przemianowały na sale szpitalne. „Na początku sierpnia lecznica była już przygotowana na przyjmowanie rannych […]. Ponieważ walki przebiegały zaledwie sto metrów od domu przy Hożej, siostry same wyruszały po rannych i wynosiły ich z linii ognia. W czasie nalotów zakładały na głowy mokre ręczniki i biegły tam, gdzie spadały bomby zapalające, by piaskiem gasić ogień". Cieszyły się, gdy w kaplicy pod osłoną nocy ks. Adam Śniechowski udzielał ślubu parom powstańców i gdy w ramach „przyjęcia weselnego" mogły podać kanapki z nasturcją i plasterkiem pomidora z klasztornego ogródka. Udzielały pomocy każdemu, kto tylko jej potrzebował. Tak było i w przypadku żołnierzy ze zgrupowania „Zaremba Piorun", którzy dostali się do domu klasztornego w opłakanym stanie, stając w obliczu nieuniknionej klęski powstania. Wtedy to „zakonnice mimo własnego ubóstwa i głodu zabiły ostatnią świnię, chowaną »na czarną godzinę«», i upiekły chleb, dzięki czemu każdy z żołnierzy idących już do niemieckiej niewoli, dostał pół bochenka […] i kawałek słoniny".

Z kolei przy ulicy Zakroczyńskiej 1 schroniły się franciszkanki wygnane z Wielenia nad Notecią. W Warszawie odnalazły tymczasowy dom dla siebie i kilku setek swoich podopiecznych, i tu też zaskoczył je wybuch powstania. Wspierały walczących, jak tylko potrafiły – karmiły głodnych, opatrywały rannych, dawały schronienie ludziom bez dachu nad głową, ciężko chorych znosiły do piwnic, a gdy w połowie sierpnia pożar ogarnął ich klasztor, bez wahania wyciągały z ognia niedołężnych pensjonariuszy. 29 sierpnia na zakład franciszkanek niemieckie samoloty zrzuciły pięć bomb. Z relacji s. Teresy Frącek wiadomo, że „olbrzymi gmach runął i pogrzebał staruszki zgromadzone w dużej piwnicy, w liczbie 210. Cały dom wraz z kaplicą uległ spaleniu. Spłonęła żywcem […] s. Sabina Kłakowicz. Jedna z sióstr została ranna. Ocalały tylko siostry i staruszki, które w tym czasie modliły się w małej piwnicy, gdzie był Najświętszy Sakrament". Wkrótce potem franciszkanki zostały wygnane ze spalonego domu. Staruszkami, które ocalały, Niemcy obiecali się zaopiekować. Po wojnie w podziemiach na Zakroczyńskiej zakonnice odnalazły ich spalone ciała. Zebrane ze czcią kości pomordowanych s. Kazimiera Maszewska pochowała w ogrodzie. Podobny los spotkał setkę starych, niedołężnych ludzi, którymi siostry opiekowały się na sąsiedniej ulicy. Okazało się, że po ich wyprowadzeniu przez Niemców, „żołnierze oblali starców leżących w łóżkach benzyną i podpalili. Potem obrzucili dom granatami".

Okno życia

Prawdziwy wojenny dramat przeżyły też franciszkanki z ulicy Chełmskiej, u których przez jakiś czas działał szpital wojskowy ewakuowany z Alei Ujazdowskich. Niemcy zrzucili na jego gmach bomby burzące i zapalające, które wywołały wielki pożar. Z relacji s. Teresy Frącek wiadomo, że „część chorych wyciągnięto z łóżkami, reszta spaliła się żywcem. Personel szpitalny i ludzie świeccy usiłowali uciekać oknami, ale Niemcy gęsto razili z broni pokładowej. […] S. Olga Szwarc, przełożona domu, naoczny świadek zdarzenia, podaje, że według obliczeń lekarskich i statystyki szpitalnej zginęło około tysiąca osób". Franciszkanki czyniły wszystko, by z tej masakry ocalić 160 swoich podopiecznych, z którymi uciekły na Sadybę i do Zalesia. Na Chełmskiej pozostało 17 zakonnic, które czuwały przy chorych i rannych, gdy personel medyczny został stamtąd ewakuowany. Siedem spośród nich zginęło podczas wrześniowych bombardowań.

Po wojnie franciszkanki Rodziny Maryi powróciły do Warszawy, by kontynuować tam swą misję w domach dziecka, ośrodkach wychowawczych, zakładach dla niepełnosprawnych. Agata Puścikowska podaje w swej książce, że „siostry z Hożej 53 od kilkunastu lat prowadzą okno życia. Zostało ono umieszczone w murach, które jeszcze niedawno chroniły żydowskie dzieci, polskie sieroty, walczących i rannych powstańców. Od otwarcia okna w roku 2008 do połowy 2020 roku siostry otrzymały siedemnaście błogosławieństw".

„Zburzą Laski? Nie zburzą. Będzie tak, jak Bóg chce…"

Tuż przed wybuchem powstania warszawskiego, w ustroniu pobliskich Lasek, w pełnej konspiracji ks. Stefan Wyszyński prowadził ożywioną rozmowę ze starszą kobietą w habicie franciszkanki. Była to niewidoma hrabianka Róża Czacka, a właściwie matka Elżbieta, założycielka Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża, które powstało 1 grudnia 1918 roku, by pomagając ociemniałym „wynagradzać Panu Jezusowi za ducho-

eprasa.pl aca4cd9bff

wą ślepotę ludzi". Sama Róża, straciwszy wzrok w wieku 22 lat (1898), nie załamała się, lecz podjęła szereg działań, by pomóc takim jak ona. W tym celu stworzyła Towarzystwo Opieki nad Ociemniałymi, założyła pierwsze schroniska dla niewidomych dziewcząt w Warszawie (1911), przyczyniła się do powstania Biura Przepisywania Książek, stanowiącego fundament biblioteki brajlowskiej. Najsłynniejszym dziełem Czackiej, którego dokonała już jako zakonnica, było powołanie do życia najnowocześniejszego w kraju ośrodka dla niewidomych dzieci w Laskach pod Warszawą. W czasie II wojny światowej przeobraził się on w kuźnię patriotycznego ducha, ostoję sił partyzanckich walczących z niemieckim okupantem. Obok matki Elżbiety Czackiej dobrym duchem tego miejsca był jego kapelan, ks. prof. Stefan Wyszyński, przewodnik duchowy żołnierzy AK.

Jeszcze przed wybuchem Powstania Warszawskiego w ośrodku dla niewidomych rozkwitła działalność konspiracyjna. Akowcy ukrywali tam stację nadawczą umożliwiającą kontakt z rządem polskim w Londynie, gromadzono broń i zakazaną prasę, a nawet zorganizowano produkcję min do wysadzania torów kolejowych. Wszystko to odbywało się pod okiem nieświadomych niczego Niemców, którzy zjeżdżali ciągle do Lasek na odpoczynek i kwaterowali w pobliżu zakładu. Zarówno siostry, jak i konspiratorzy znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie pod koniec 1943 roku, gdy do środowiska akowskiego przeniknął konfident gestapo Antoni Zychowski. Kiedy zimą 1944 roku hitlerowcy wpadli na podwórze zakładu, wymierzając w stronę franciszkanek lufy karabinów maszynowych, „matka Czacka, wsparta na laseczce, obeszła budynki i uspokoiła wszystkich: »Zburzą Laski? Nie zburzą. Będzie tak, jak Bóg chce, wszystko w Bożej mocy, nie w mocy Niemców«".

Zakonspirowana baza dowódcza „Szymona"

Gdy wieść o wybuchu powstania dotarła do Lasek, Róża Czacka nie wahała się ani przez chwilę, by stanąć po stronie walczących. Uważała, że niewidomym przysługuje takie samo prawo walki o ojczyznę jak ludziom widzącym. „Myślałem sobie – wyznawał po latach ks. Wyszyński – skąd w tej kobiecie taka odwaga, żeby wystawiać dzieło na wszelkie niebezpieczeństwa związane z czynnym zaangażowaniem się w powstanie? […] Był tutaj i ośrodek aprowizacyjny, i były łączniczki, i szpital cywilny, i wiele innych rzeczy. […] Odsłonił mi się wtedy zupełnie nowy obraz człowieka […]. Było w niej coś z Traugutta".

Gotując się do powstania, siostry zorganizowały w domu rekolekcyjnym szpital mogący pomieścić 70 ludzi. „Już po pierwszym ataku oddziałów kampinoskich na lotnisko bielańskie zaczęto przywozić pierwszych rannych […]. Siostry, lekarze, pielęgniarki świeckie, również mieszkanki Lasek ruszyły do pracy. Przełożoną zakonnic pracujących w szpitalu była s. Maria Stefania Wyrzykowska". Chorych wciąż przybywało, więc zakonnice zorganizowały dodatkowy punkt medyczny na trzecim piętrze domu dziewcząt, którym zarządzała s. dr Monika Bohdanowicz. Najciężej rannych kierowały do domu rekolekcyjnego, gdzie urządziły salę operacyjną, zmarłych zaś owijały w prześcieradła i chowały na pobliskim cmentarzu.

Wśród napływających do Lasek rannych cywilów ukrywali się potrzebujący natychmiastowej pomocy powstańcy z Warszawy – „tych ostatnich przewożono w ukryciu, pod stertami jarzyn, na wozach zaprzężonych w parę osłów, i pozostawiano w oddalonym od zakładu bezpiecznym miejscu. Wtedy ruszało swoiste pogotowie ratunkowe złożone z niewidomych i widzących. Rannych przynosiło kilku niewidomych chłopców i zwykle jeden widzący mężczyzna: ks. Wyszyński lub Henryk Ruszczyc. Zwozili rannych porzuconych w lesie. Siostry pomagały nocą, by nie wzbudzać podejrzeń strojem zakonnym. Mundury i broń odbierano rannym już w lesie i przywożono ich w samej bieliźnie". Wzruszające w swej ofiarności były też ociemniałe dzieci z Lasek, które „przynosiły dla powstańców pledy, czekoladki, papierosy. Ofiarowywały swoją pomoc". Razem z siostrami prały i cerowały rzeczy powstańców, opiekowały się rannymi. Gdy podczas braku prądu nie działała piekarnia, niewidomi chłopcy całymi nocami wyrabiali chleb, by nikt nie cierpiał głodu.

Wśród powstańców ukrywających się w Laskach znalazł się dowódca grupy „Kampinos" mjr Józef Krzyczkowski „Szymon". By nie wpadł w ręce wroga, przed jego salą franciszkanki ustawiły łóżka z chorymi na czerwonkę dziećmi i umieściły ostrzegawczy napis: „Choroba zakaźna", który skutecznie odstraszał Niemców. I tak przez trzy tygodnie Laski pełniły funkcję dobrze zakonspirowanej bazy dowódczej „Szymona", który uziemiony z powodu strzaskanej nogi przyjmował w ośrodku swych podkomendnych, przedzierających się do niego z warszawskiej Starówki z pilnymi meldunkami. Siostra Rajmunda Jarocińska natomiast przepisywała na maszynie tajne raporty majora Krzyczkowskiego.

Jakby na powrót stawali się ludźmi

W samej zaś ogarniętej powstańczym wrzeniem Warszawie walczących wspierały siostry franciszkanki mające swą siedzibę w domu przy ulicy Elektoralnej 9, gdzie działał internat dla niewidomych licealistów oraz zakład szczotkarski, w którym pracowali absolwenci Lasek. Z chwilą wybuchu zrywu wolnościowego dom sióstr przeistoczył się w filię Szpitala Maltańskiego, który ratował życie rannym powstańcom. Pieczę nad lecznicą objęła Alicja Go-

eprasa.pl aca4cd9bff

ścimska, przyjaciółka matki Czackiej, znana tyfloložka, której władze powstańcze powierzyły funkcję blokowej na Elektoralnej. Odmówiła przyjęcia rewolweru, twierdząc, że „do ludzi strzelać nie będzie, a polecenia i tak zostaną wykonane". „W ciągu sześciu pierwszych dni sierpnia najbliższa okolica Elektoralnej znajduje się w rękach polskich – opowiada Agata Puścikowska. – Na ulicach panuje nastrój radości. Młodzi ludzie przechadzają się beztrosko, z bronią na ramieniu. Z daleka słychać odgłosy walk, nocami widać łuny pożarów. […] Wkrótce przekopami trafiają do sióstr osoby starsze, które zaskoczone przez powstanie zostają bez dachu nad głową. W klasztorze znajdują schronienie do końca powstania […]. Do franciszkanek tajnymi przejściami przebiegają też gońcy, łączniczki z innych dzielnic". Wszystkich tych ludzi trzeba wykarmić, więc Gościmska decyduje się zabić konia, któremu grozi śmierć głodowa. Siostry solą i peklują końskie mięso, a beczki z koniną zakopują w piwnicy. W podziemiach gromadzą również ciepłą odzież i pościel, ukrywają monstrancję i inne świętości z klasztornej kaplicy. Tak przygotowany schron będzie służył podczas nocnych bombardowań wszystkim tym, którzy szukali ratunku u franciszkanek z Elektoralnej. Musiały one chronić swych podopiecznych nie tylko przed śmiercionośnymi bombami, lecz także przed Niemcami przeprowadzającymi niespodziewane inspekcje w klasztorze. Siostra Stefana (Gabriela Hołyńska) dobrze pamiętała, jak „zaczęli wpadać Niemcy z ognia walki, straszni […], rozjuszeni, wyglądający jak szatany, […] czarni od sadzy i dymu, nieraz umazani krwią" i jak „wpadłszy do szpitalika cichego, czystego, gdzie mówiono głośno różaniec i gdzie mogli się rozmówić po niemiecku – momentalnie i nieoczekiwanie uspokajali się i jakby stawali się z powrotem ludźmi".

W końcu siostry z Elektoralnej zostały wygnane ze swojej siedziby. Kolaborujący z Niemcami Ukraińcy oblali benzyną piwnicę i parter ich kamienicy. Wyprowadzone na zewnątrz kobiety z przerażeniem patrzyły na szalejący ogień, który pochłaniał ich dom. „W pewnym momencie – jak wspominała Alicja Gościmska – dowódca wyciąga brutalnie stare, niedołężne kobiety i ustawia je rzędem pod murem podwórza. Zaczyna do nich celować. Podbiegam i oddaję mu bezcenną dla mnie rzecz – pamiątkowy zegarek, który dostałam od rodziców w dniu zdania matury. Proszę, żeby nie strzelał do starych kobiet. »Nu, nu, będzie dobrze« – mówi i strzela, trafiając w ścianę tuż ponad głową każdej ze staruszek. Bawi się. Zegarek napawa go widocznym zadowoleniem". Po tych wstrząsających przeżyciach siostry prowadząc starych, niewidomych i chorych, opuszczają zrujnowaną Warszawę. Wraz ze swymi podopiecznymi trafiają do obozu przejściowego w Pruszkowie, skąd udaje im się uwolnić dzięki przemyślności s. Adeli.

„Nieustanny cud rozmnożenia chleba"

W tym czasie podwarszawskie Laski wciąż dawały schronienie uciekinierom, a zwłaszcza kobietom z małymi dziećmi, które chroniły się u sióstr przed Niemcami i Rosjanami. Choć franciszkanki same przymierały głodem, dzieliły się z innymi wszystkim, co miały, tak iż w Laskach dokonywał się „nieustanny cud rozmnożenia chleba", jak mówiła bratanica matki Czackiej. W listopadzie 1944 roku Niemcy nakazali siostrom opuścić ośrodek wraz z dziećmi. Na jego straży pozostali m.in. matka Elżbieta i ks. Stefan Wyszyński.

Po wojnie Laski odrodziły się i nadal służyły niewidomym – najpierw ociemniałym weteranom wojennym, którzy pod opieką sióstr przechodzili rehabilitację i odzyskiwali wiarę w drugiego człowieka, a później dzieciom – niewidomym i słabo widzącym, do dziś znajdującym tam swój azyl. Dzieło matki Elżbiety Czackiej, która zmarła w opinii świętości 15 maja 1961 roku i została beatyfikowana wraz z kardynałem Stefanem Wyszyńskim 12 września 2021 roku, nieustannie się rozwija. Obok Ośrodka Szkolno-Wychowawczego dla Dzieci Niewidomych w Laskach, uważanego za jeden z najnowocześniejszych na świecie, podobne placówki działają w Rabce oraz Gdańsku-Sobieszewie. Założone przez Różę Czacką Towarzystwo Opieki nad Ociemniałymi ma obecnie pod swą pieczą 300 dzieci z całej Polski.

***

Historia franciszkanek Rodziny Maryi i Służebnic Krzyża uzmysławia, jak istotną rolę dla walczącej Warszawy odegrały w powstaniu 1944 roku siostry zakonne. I to nie tylko te należące do wspólnoty m. Elżbiety Czackiej czy m. Matyldy Getter, lecz także setki innych, wśród których były m.in. samarytanki, honoratki, benedyktynki, sakramentki, dominikanki, obliczanki, karmelitanki, urszulanki, pasjonistki, zmartwychwstanki, wizytki, niepokalanki, elżbietanki, szarytki… Agata Puścikowska, która w pasjonujący sposób odkrywa ich wojenne losy, porównuje siostry do wielkiej armii „walczącej nie orężem, lecz umiejętnościami, formacją, modlitwą, wytrwałością w pracy" i podkreśla, że ich powstańczy heroizm był efektem raz obranej drogi, której pozostały wierne nawet w obliczu śmierci, pod ostrzałem karabinów maszynowych i spadających z nieba bomb. Książka o „siostrach z powstania" stanowi hołd złożony tym „cichym, lecz wielkim duchem i czynem" kobietom, bez których nie byłoby możliwe uratowanie tylu ludzkich istnień w czasie wojennej Apokalipsy. ■

Źródło: Agata Puścikowska, „Siostry z postania. Nieznane historie kobiet walczących o Warszawę", Kraków 2020.

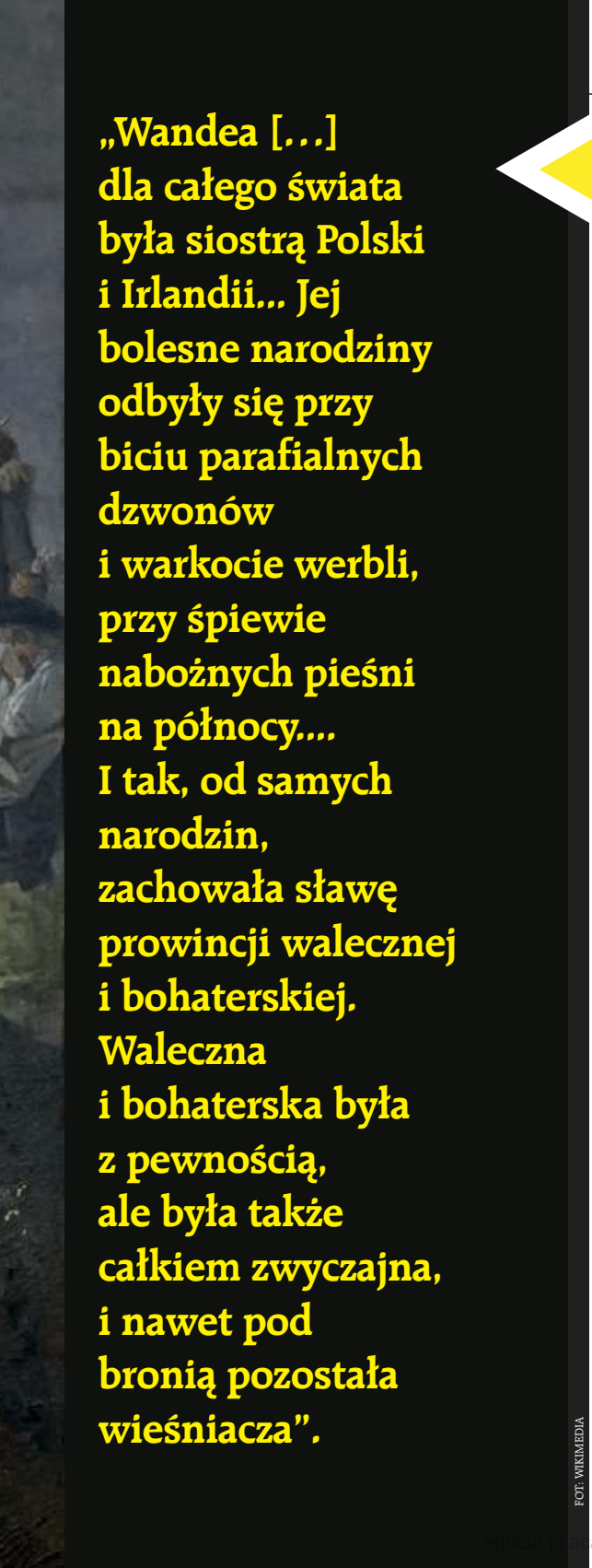
eprasa.pl aca4cd9bff

Ewa Polak-Pałkiewicz



Wandea, siostra Polski

„Wandea […] dla całego świata była siostrą Polski i Irlandii... Jej bolesne narodziny odbyły się przy biciu parafialnych dzwonów i warkocie werbli, przy śpiewie nabożnych pieśni na północy.... I tak, od samych narodzin, zachowała sławę prowincji walecznej i bohaterskiej. Waleczna i bohaterska była z pewnością, ale była także całkiem zwyczajna, i nawet pod bronią pozostała wieśniacza".



FOT. WIKIMEDIA

W wspomnieniach Francoisa-René Chateaubrianda znaleźć można wzmiankę o jego spotkaniu z wandejskim chłopem, w czasie gdy w Wandei trwało krwawe powstanie przeciw rewolucji francuskiej. Sam Chateaubriand był uciekinierem przed masakrą, jaka stała się udziałem jego najbliższej rodziny. Spotkanie miało miejsce w Londynie. Przybysz zza Kanału La Manche, skromny człowiek, rojalista, miał za zadanie odebrać ładunek w londyńskiej „ambasadzie", która organizowała zaopatrzenie armii wandejskiej w proch; prowadził ją francuski szlachcic parający się zawodowo chemią. Uderzony wyglądem owego wieśniaka pisarz zaczął rozpytywać o niego i ktoś z londyńskich sąsiadów, emigrant z arystokracji, stwierdził z uśmiechem: „Ach, to nikt, zero, wandejski wieśniak, dostarczyciel listu od swoich przywódców". Chateaubriand nie omieszkał uzupełnić po latach tej charakterystyki: „Ten człowiek, ten »nikt«, uczestniczył w dwustu walkach o wsie, miasta i bronione posterunki, w siedmiuset potyczkach i w siedemnastu regularnych bitwach; walczył z trzystutysięczną, regularną armią, sześcioma czy siedmioma tysiącami rekwirentów i narodowych gwardzistów; pomagał w transporcie pięciuset armat i stu pięćdziesięciu tysięcy strzelb: przedzierał się przez »piekielne kolumny«… był w samym środku oceanu ognia, który trzy razy przetaczał swe fale nad lasami Wandei; widział wreszcie, jak ginęło trzysta tysięcy tych Herkulesów pługa, towarzyszy jego trudów, i jak zmienia się w spopielałą pustynię sto mil kwadratowych żyznego kraju… Dwie Francje spotkały się na tej ziemi, którą zrujnowały do szczętu…".

Najwięksi przeciwnicy rewolucji

Gdy europejscy rolnicy zmuszeni są dziś demonstrować przeciwko decyzjom Brukseli, zapominamy często, że ludzie, którzy uprawiają własną ziemię, są zawsze (oprócz Kościoła!) największym wrogiem rewolucji. Ich protesty bierze się często za czysto partykularną obronę własnych interesów. Andrzej M. Cisek w książce „Kłamstwo Bastylii", poświęconej rewolucji francuskiej, przypomina, że tym, którzy znają wieś tylko z filmów, łatwo jest przypisywać jej mieszkańcom naiwność. „Chłop, w odróżnieniu od tego, co myślą o nim tak zwani ludzie z miasta, jest wielkim indywidualistą i wie dokładnie, czego chce. A chce bardzo niewiele, bo tylko żyć życiem swych przodków. Z własnego doświadczenia wie, że każda interwencja z zewnątrz, każda nowa idea może zagrozić jego istnieniu, odrzuca ją. Nie pozwala sobie dyktować, co ma robić i jak się zachowywać".

Jeśli utożsamia się inteligencję z gotowością do przyjmowania nowinek, łatwo oskarżać chłopów o głupotę, ograniczoność i zatwardziałość. Nazywać tępym uporem trwanie przy swoich przekonaniach. Nie przyjmować do wiadomości, że jest to obrona człowieka myślącego, który nie czuje się nigdy częścią stada, przed wykorzenieniem

egazeta.pl/a4cd9bff

i narzucaniem statusu niewolnika. Wolą uchodzić za kulturowy relikt, którego nikt z „ludzi nowoczesnych" nie rozumie i traktuje jak skamielinę. „Ten tępy upór", dodaje A.M. Cisek, „w odrzucaniu nowego pozwolił przechować tradycje narodowe. Gdyby nie on, to być może zniknęłyby na zawsze takie języki jak czeski, ukraiński czy litewski…". Upór oznacza u chłopów zawsze to, że nie dają się nikomu na nic nabrać. Potrafią walczyć o swoje.

Wandea wyparta z pamięci

Pierwsze ludobójstwo w czasach nowożytnych dokonane zostało w czasie rewolucji francuskiej przez jakobinów na chłopach z prowincji Wandea. Jego celem było „ostateczne rozwiązanie" kwestii obecności na tej ziemi tysięcy ludzi niepoddających się rewolucyjnej indoktrynacji. Powstanie wandejskie, które ogarnęło także dużą część tutejszego mieszczaństwa i które popierała szlachta, było inspirowane przez lud. Chłopi oczekiwali od „panów" w zasadzie tylko przywództwa militarnego. „Była to insurekcja ludowa, a nie »polityczna« ani nawet »społeczna«" – podkreśla Vittorio Messori – przeciw „próbom dechrystianizacji, którą wprowadzała drapieżna mniejszość w stolicy". Kilkadziesiąt lat wcześniej prowadził tu swoje słynne misje św. Ludwik Maria Grignion de Montfort (od niego zapożyczył Jan Paweł II zawołanie „Totus Tuus").

Historia wandejskiego zrywu nie cieszy się dziś ani szczególnym zainteresowaniem, ani uznaniem oficjalnych historyków, także ludzi posoborowego Kościoła. Jest czymś niewygodnym, nie bardzo wiadomo, co z nią zrobić w epoce, gdy ideologiczne zasady rewolucji przeniknęły nawet do nauczania Kościoła. Uważa się, że to, o co walczyli wandejscy chłopi, to anachronizm, skazana na przegraną obrona starego porządku przed światłą awangardą postępu. Całe szczęście, że obalone zostały wreszcie bastiony przedrewolucyjnego państwa, które było tak mocno związane z Kościołem, w myśl „przestarzałej koncepcji świata" – tak stawia się dziś sprawę Wandei w kręgach uniwersyteckich, artystycznych, wśród postępowego duchowieństwa.

Tematyką powstania bardziej wnikliwie zajmowali się we Francji głównie utalentowani historycy amatorzy, których nie zaliczano do poważnych autorów. Najbardziej ceniony w tym kraju XIX-wieczny historyk, Michelet, nie poświęcał mu większej uwagi, ale pozwalał sobie na wygłaszanie bezceremonialnych opinii typu: masowe topienie przez republikanów wandejskich kobiet i dzieci w Loarze to nic innego jak „filantropijna eutanazja".

Dziś „oficjalne traktowanie Wandei jest bardziej skuteczne i podstępne", zaznacza Pierre Chaunu, jeden z nielicznych naukowców francuskich z Sorbony zajmujących się historią powstania na serio. „Po tym, jak jej mieszkańców potopiono, okaleczono i rozszarpano (sadystyczna pomysłowość kolumn karnych Turreau równa jest pomysłowości SS, gułagów i Czerwonych Khmerów), zapomniano o nich…".

Vittorio Messori przypomina, że podczas uroczystego świętowania 200. rocznicy rewolucji francuskiej wielu katolików, a nawet niektórzy biskupi, zachowało „krępujące milczenie na temat trzech tysięcy zamordowanych księży, wielu zgwałconych zakonnic i setek chłopów poćwiartowanych w tych prowincjach, w których wzniecili powstanie, gdyż nie chcieli zrezygnować ze swojej religii".

Moja znajoma, Polka, doktor historii, która odwiedziła przed kilkoma laty lokalny uniwersytet w La Rochelle, nie spotkała tam nikogo, kto by chciał zamienić choćby parę zdań na temat Wandei; wszyscy udawali głuchych.

Powstanie wandejskie w obronie chrześcijaństwa było pierwszym przypadkiem radykalnego odrzucenia przez prostych ludzi jednej ze współczesnych ideologii. Chłopi odrzucili potem marksizm i faszyzm. Bez szemrania natomiast, jak podkreśla Messori, naród francuski „zgodził się na autorytaryzm napoleoński, który zdławił »nieśmiertelne« zasady 1789 roku".

Zacieranie śladów zbrodni

W 1986 roku ukazała się książka młodego historyka i politologa Reynalda Sechera pt. „Ludobójstwo francusko-francuskie. Wandea – Departament Zemsty", która wywołała we Francji konsternację, a wkrótce gwałtowne spory i polemiki (poprzedziło ją wydanie niewielkiego tomu Jeana Dumonta „Dlaczego nie świętujemy 1789", w którym autor prostował niektóre mity o rewolucji). Secher usiłował dotrzeć do dokumentacji wydarzeń z lat 1792–1799 i szybko zorientował się, że publiczne archiwa nie zawierają żadnych dokumentów potwierdzających masakrę wojsk rewolucyjnych na ludności Wandei oraz bilansu zniszczeń materialnych, które były częścią zaplanowanej zbrodni. W archiwach prywatnych, w urzędach małych miasteczek, na plebaniach znalazł jednak cenne dla wnikliwego badacza materiały, m.in. mapy rządowych geodetów, listy, raporty i szereg innych dokumentów. Wynika z nich, że z 50 tys. domów w Wandei 10 tys. zostało zrównanych z ziemią (20 proc.). Zagładzie uległo całe bydło, uprawy rolne zostały zdewastowane; program eksterminacji opracowany w Paryżu skazywał na śmierć głodową mieszkańców Wandei, którzy przeżyli, ukrywając się w lasach i niedostępnych jarach.

„Niech nam nie mówią o humanitaryzmie wobec tych bestii z Wandei, wszyscy zostaną wykończeni!" – wołał gen. Carrier do żołnierzy, którym rozkazano mordować wieśniaków. W Paryżu zapadła decyzja, by zamienić Wandeę – tę do niedawna kwitnącą prowincję, jedną z najbogatszych w kraju, słynącą z uprawy pszenicy i hodowli bydła szlachetnych ras – w „narodowy cmentarz Francji". Nie wahano się używać broni chemicznej, zatruwać wiejskie studnie; były próby wysyłania konwojów z wódką z dodat-

eprasa.pl aca4cd9bff

kiem arszeniku. Wodzowie rewolucji apelowali o bezwzględność w „oczyszczaniu ziemi ze złej rasy"; groźnej, bo nie zamierzała zaakceptować Deklaracji Praw Człowieka.

Źle uzbrojeni, ale niezwykle zaciekli Wandejczycy walczyli pod białymi sztandarami Najświętszego Serca Jezusa oraz chorągwiami, na których wyhaftowano burbońskie lilie.

Opisy bezwzględności i okrucieństwa, także wobec kobiet, dzieci i starców mogą dziś rywalizować z utrwalonymi zapisami najbardziej makabrycznych masowych zbrodni największych w historii morderców, w rodzaju Stalina i Hitlera. Reynald Secher użył pierwszy słowa „ludobójstwo" wobec metod rozprawienia się z Wandejczykami, którzy chcieli tylko jednego: by nie zmuszano ich do przyjmowania praw rewolucji. (Po publikacji książki droga do kariery akademickiej tego zdolnego naukowca, autora kilku książek, współautora pięciu filmów dokumentalnych, została zamknięta).

„Uznajemy tylko jeden honor…"

„Honor Naszego Pana / Uznajemy tylko jedną chwałę / Chwałę Naszego Pana..." – brzmiały słowa hymnu powstańców. Wandejczycy domagali się przywrócenia swobód Kościołowi, powrotu do parafii ich księży – tych, którzy nie złożyli przysięgi na wierność Republice i zostali wygnani z parafii; nierzadko wymuszano na nich wyjazd z kraju, a ci, którzy zostali, wkrótce stali się zwierzyną łowną rewolucyjnych szwadronów. Hasłem Wandejczyków była wierność Chrystusowi Królowi i obalonemu monarsze. Królewska władza w ich przekonaniu pochodziła od Boga i nie zamierzali z tym dyskutować, władza rewolucyjna – wręcz przeciwnie…

Sceptyczny wobec głównie religijnych motywów wandejskich chłopów prof. Jean Meyer, autor „Przedmowy" do książki Sechera, przyznaje, że „wierność religijna pozostaje istotą problemu wandejskiego", choć zaznacza, że „nie należy przesadzać z tą głębią żarliwości religijnej Wandejczyków sprzed 1789 roku". Dodaje, że kult Najświętszego Serca Jezusa – niechętnie przyjmowany przez cały religijny XVIII wiek wśród znaczącej części duchowieństwa francuskiego (w przeciwieństwie do duchowieństwa polskiego, bo to polscy biskupi zwrócili się do papieża o ustanowienie tego kultu) – stał się najważniejszym symbolem, wokół którego zgromadzili się powstańcy... Na to nałożyło się głębokie rozczarowanie skutkami rewolucji – choć początkowo, we wszystkich warstwach niższych, niosącej pewne nadzieje i wyobrażenia o bardziej sprawiedliwym ustroju społecznym – „poczucie, że zostało się oszukanym, wyszydzonym, zniesławionym zarówno przez miejscowe kadry społeczne, jak i przez państwo będące na drodze bezładnych przemian".

Jednym z czynników wybuchu społecznego była ustawa o rozwodach, a także dopuszczanie małżeństw księży. „Obiecano wam wolność, a narzucono księdza-bluźniercę. Obiecano wam równość, a narzucono cenzus…" – to fragment z wystąpienia jednego z niezaprzysiężonych księży do swoich parafian. W wielu podobnych dokumentach, do których dotarł Secher, cytowana jest nawet Deklaracja Praw Człowieka i Obywatela, wykazane jest łamanie konstytucji i unicestwienie prac Zgromadzenia Narodowego. To wszystko okazywało się tylko zasłoną dymną, a księża, którzy nie zdecydowali się wysługiwać władzom rewolucji, stali się wkrótce ich ofiarami traktowanymi z największym okrucieństwem. W kantonie Paimboeuf władza administracyjna powołała własne – obok oddziałów gwardii narodowej, które były nieliczne i nie miały tu szans w starciu z ludnością – brygady „z obywateli od dziewięciu do piętnastu lat" lub kompanie żandarmerii, których zadaniem było okazywać bezwzględność „wobec złoczyńców, opornych księży i innych włóczęgów". Do tych oddziałów wcielało się ludzi siłą. Za schwytanie księdza ustanawiono nagrodę – od 50 do 100 liwrów.

W odpowiedzi zawiązywały się lokalne wspólnoty solidarności z kapłanami – wielu wygnanych proboszczów wracało do parafian i sprawowało swą posługę w ukryciu – które utrwalały, jak podkreśla Secher, przywiązanie do praktyk i doktryny chrześcijańskiej. „Współcześni historycy", dodaje ten autor, „pod wpływem modnych doktryn systematycznie pomniejszali ów czynnik czysto ideologiczny w postawie wieśniaków zachodniej Francji. Animator represji jakobińskich, generał Turreau, pierwszy podkreślał wielki autorytet tych księży, wynikający z integralności ich obyczajów, wysokiej jakości ich formacji doktrynalnej i szczegółowej znajomości środowiska. Większość niezaprzysiężonego duchowieństwa mogłaby pójść na wygnanie, oczekując na lepsze dni. Zmusili się jednak do życia w heroicznych warunkach, nie tylko ze względu na posłuszeństwo władzom kościelnym, ale także dlatego, że byli pewni poparcia miejscowej ludności. Ta ze swej strony była gotowa uczynić wszystko dla księży ryzykujących życie, by trwać na swoim posterunku".

Jednym z pierwszych aktów terroru wobec Wandei był atak na nieuzbrojonych parafian w miasteczku Bressuire w sierpniu 1792 roku, którzy „nie chcieli dopuścić do eksmisji sióstr z pobliskiego klasztoru. Na miejscu zginęło około stu osób, a potem Gwardia Narodowa w bestialski sposób wymordowała większość z pięciuset wziętych do niewoli. Gwardia Narodowa [...] nie wahała się przed masakrą cywilnej ludności. Składała się z najgorszych elementów, głównie młodych opryszków z dużych miast [...], nawet regularne oddziały wojskowe miały ją w głębokiej pogardzie" (A. M. Cisek).

Bilans tej wojny to 120 tys. ofiar; ludzie ci zginęli w ciągu niecałych dwóch lat powstania, a właściwie zostali z premedytacją wymordowani.

eprasa.pl aca4cd9bff

Tutaj wiatraki zawsze stawiano na wzgórzach

Zorganizowani w oddziały według przynależności do parafii powstańcy wykazywali wyjątkową pomysłowość, refleks i talenty organizacyjne. W Wandei wiatraki stawiane były na wzgórzach, nie tylko po to, by zapewnić ich największą wydajność. To pozwalało „czuwać nad okolicą i ostrzegać ludność przed niebezpieczeństwem. Od dawna posługiwano się skrzydłami wiatraków, by obwieszczać śmierć młynarza lub któregoś z jego rodziny. W przypadku ciężkiej choroby skrzydła wiatraka zatrzymywano w pozycji wiatyku, później obracano ku domowi zmarłego. […] Oddziały porozumiewały się pomiędzy sobą za pomocą skrzydeł wiatraków ustawionych według przyjętego kodu" (Reynald Secher).

Pod bronią – często własnej produkcji – stanęli mężczyźni począwszy już od trzynastoletnich chłopców. Kobiety były sanitariuszkami – wiele z nich okazywało męstwo na polu bitew – i zajmowały się zaopatrzeniem; mali chłopcy byli posłańcami i doboszami. Dobrze wyposażone parafialne manufaktury pracowały na rzecz powstańców, wytwarzając odzież, akcesoria wojskowe etc. Chłopskiej armii nie brakowało niczego pod względem wyżywienia, żyzne pola, uprawy i winnice zapewniały obfite posiłki walczącym. Wsie położone nad Loarą utworzyły prawdziwy obóz warowny, miały własne armaty, niewielką flotyllę: lekkie barki rzeczne, na których „chłopcy z Loroux" prowadzili akcje dywersyjne, zapuszczając się na teren wroga. Ludność z brzegów Loary była zaprawiona w posługiwaniu się bronią, strzelbami i procą. Było tu wielu wytrawnych myśliwych, polowania były jednym ze źródeł zamożności tych wiosek. Co więcej, powstańcy mieli swoją służbę medyczną. Armii towarzyszyli chirurdzy. Ranni – zarówno rojaliści, jak republikanie – byli przewożeni do klasztoru sióstr służebniczek w Saint-Laurent-sur-Sèvre, gdzie znajdowali troskliwą opiekę.

Secher i inni autorzy podkreślają dobrą organizację i wielką dyscyplinę armii powstańczej. „Od narodzin powstania w marcu 1793 r. obserwuje się […] z jednej strony tworzenie prawdziwych oddziałów wojskowych przez mężczyzn zaprawionych już w żołnierce, z drugiej strony – obowiązkowe szkolenie dla wszystkich pozostałych. Odbywa się to w specjalnie przygotowanych do tego celu obozach, jak obóz w Louée, w Haute-Goulaine". Szlachta wspiera powstańców, oddając im swoją broń, czasem przymykając oczy na wykradanie jej z ich zamków. Wojskowe wyrobienie, podkreśla Secher, wyróżnia zryw Wandei na tle wszystkich innych powstań ludowych. Jeden z dowódców republikańskich musi przyznać: „Ci bandyci, z którymi mieliśmy do czynienia, biją się według pewnej metody, mają wielu pieszych i konnych strzelców oraz silną grupę piechoty, która maszeruje w porządnym szyku, z bębnami na czele. Kawalerzyści są prawie wszyscy bardzo eleganccy i dobrze się biją […]".

F.-R. Chateaubriand w „Pamiętnikach zza grobu" cytuje słowa Turreau, generała republikańskiego, który nie wahał się przyznać, że „Wandejczycy zajmą miejsce w historii w pierwszym rzędzie walecznych ludów. Inny generał napisał do Merlin de Thionville: oddziały, które pobiły takich Francuzów, mogą równie dobrze pokusić się o pobicie wszystkich innych ludów…".

Młody domokrążca z gminy Pin (region Moges), ojciec sześciorga dzieci, Jacques Cathelineau (1759–1793), zwany „świętym z Anjou", który cieszył się popularnością i uznaniem wśród chłopów jako człowiek głębokiej wiary, prawy, a zarazem rzutki, energiczny i przedsiębiorczy, został wybrany na przywódcę powstania i ogłoszony „generałem armii katolickiej i królewskiej". Ten syn prostego murarza i handlarz z zawodu okazał się genialnym wodzem. Miał naturalny dar przywódczy, co w połączeniu z inteligencją i talentem do prowadzenia działań bojowych sprawiło, że stał się legendarnym bohaterem Wandei. Powstańcy ufali mu i kochali go. Ranny na polu bitwy zmarł w wieku 34 lat. „Ten (Jacques Cathelineau) otrzymał w darze od natury pierwszą cechę człowieka wojny, natchnienie, by nigdy nie pozwolić odpocząć ani zwycięzcom, ani pokonanym" – napisał we wspomnieniach Napoleon, wyraźnie zafascynowany tym człowiekiem, spontanicznie obwołanym wodzem. (Zamówił także jego portret). W okresie Restauracji członkowie rodziny Cathelineau uzyskali tytuł szlachecki.

Dowódcy wojskowi hr. Henri de La Rochejaquelein i Francois-Athanase de Charette de La Contrie oraz kilku innych oficerów arystokratów (m.in. Maurice Gigost d`Elbée, którego ojciec był oficerem gwardyjskim przy boku polskiego króla Augusta Sasa), dodawali sił walczącym męstwem i brawurą.

„Jeśli będę szedł naprzód – idźcie za mną, jeśli się cofnę – zabijcie, jeśli umrę – pomścijcie" – te słowa Henriego de La Rochejaquelein stały się jednym z najbardziej znanych haseł Wandei.

Wandejczycy stoczyli 17 wielkich bitew i 700 mniejszych utarczek. Prowadzili bitwy na otwartym polu z regularnymi armiami republikańskimi, które liczyły od 25 do 40 tys. żołnierzy. Niestety, mimo bohaterstwa powstańców i ich przywódców, wyobraźni, niezliczonych forteli, przemyślnego systemu błyskawicznego komunikowania się, niezwykłego poświęcenia i solidarności z walczącymi całych wiosek, przewaga armii republikańskiej, a zwłaszcza decyzje z Paryża, by wobec tak spektakularnych sukcesów chłopskiej armii dokonać jak najszybciej systematycznego wyniszczenia całej cywilnej ludności, skazała Wandeę na klęskę.

Uroczyście i radośnie, w rytm „Marsylianki"…

Niewyobrażalne okrucieństwo, z jakim armia i „kolumny piekielne" obchodziły się z jeńcami, rannymi, kobietami w tej krwawej wojnie francusko-francuskiej, powinno

eprasa.pl aca4cd9bff

trafić do wszystkich uczciwych podręczników historii, w których nadal pokutuje mit o podburzanych przez księży „ciemnych masach", które śmiały porwać się przeciwko niosącej światły humanizm Republice, jutrzence nowego świata. „Taki scenariusz stale powtarzano w ostatnich dwóch stuleciach z okazji innych rewolucji... Według marksistowskich historyków motłoch, który atakował Wersal, Tuileries i Pałac Zimowy, to były »masy ludowe«. Naród, który stanął w obronie swej tożsamości, wiary i dziedzictwa, przeciw terrorowi jakobinów czy przeciw zbirom w rewolucji meksykańskiej, to »ciemne masy«" – przypomina autor „Kłamstwa Bastylii".

Gdy w 1989 roku obchodzono w Paryżu z wielką pompą 200. rocznicę „matki wszystkich rewolucji", wśród fajerwerków, pochodów i zabaw pod gołym niebem, przedstawiciele arystokracji nałożyli czarne opaski, a „potomkowie wandejskich chłopów pikietowali ulice w proteście przeciwko przesadnej wesołości świętujących tłumów" (A. M. Cisek).

Napoleon Bonaparte pierwszy oddał sprawiedliwość Wandei. Zrozumiał jej historyczną doniosłość. Nie miał wątpliwości, że „Wandejczycy swymi strzelbami umocnili francuski katolicyzm; są oni u zarania konkordatu, gdyż uczynili go niezbędnym… Bez wątpienia Napoleon lepiej zrozumiał Wandeę niż Burbonowie. Co nigdy nie dowierzali Wandei" – pisał prof. Jean Meyer.

„Siostra Polski"

Tożsamość Wandei w kilku zdaniach podsumował pisarz i polityk (senator i mer miasta Vendrennes), Jean Yole, rodowity Wandejczyk:

„Podczas gdy wszystkie prowincje stały się departamentami, Wandea jest jedynym departamentem, który został prowincją. Jednym energicznym ruchem strząsnęła z siebie oficjalny kataster, jaki jej narzucono. Przekroczyła Loarę, owładnęła zakątkiem Deux-Sévres, który spodobał jej się, zaoferowała swe przymioty pewnej części Anjou, a wszystko to bez wyjątku, w ciągu kilku dni i na zawsze. Dla całego świata była siostrą Polski i Irlandii... Jej bolesne narodziny odbyły się przy biciu parafialnych dzwonów i warkocie werbli, przy śpiewie nabożnych pieśni na północy.... I tak, od samych narodzin, zachowała sławę prowincji walecznej i bohaterskiej. Waleczna i bohaterska była z pewnością, ale była także całkiem zwyczajna, i nawet pod bronią pozostała wieśniacza" (fragment eseju „La Vandée", 1936 r., tłum. M. Miszalski).

Powstańcy traktowali swych dowódców jak braci, siadali z nimi przy stole, nie czuli się skrępowani, potrafili spontanicznie udzielać im rad. Przypominało to tradycyjne więzi między właścicielami ziemi i dzierżawcami. W Wandei zawsze „właściciele przyjmowali dzierżawców, sadzali ich przy stole i sami obsługiwali". Gdy Wandejczyk czuje się wolny, „jest szczery i nie skrywa ani przed sobą, ani przed innymi prawdy" – pisał Crétineau Joly w książce „Wojna wandejska", cytowanej przez Sechera. Ten duch swobody przenikał także pieśni powstańcze, wśród których nie brakowało pamfletów przeciwko gwardii narodowej, księżom-zdrajcom, administracji rewolucyjnej.

Profesor Meyer przypomina, że sama Wandea i prawda historyczna o Wandei ucierpiały z powodu klęski powstania. „Przede wszystkim dlatego, że powstanie nie udaremniło zwycięstwa Rewolucji, a zwycięstwo łatwo przekreśla własne błędy. […] Niewątpliwie, miał rację Péguy, twierdząc, że cała mistyka degeneruje się polityką". A wtedy moralność historyczna blednie. I brakuje tych, którzy chcieliby zadać sobie trud dotarcia do istoty wydarzeń.

Odpowiedzialność za „swoich"

A jednak wymowa wydarzeń sprzed 230 lat może być pomocą w zrozumieniu mechanizmów napędzających rewolucję i zarazem remedium na zagrożenie z jej strony – w czasie gdy historia staje się terenem coraz dalej idących manipulacji, pisana jest wciąż na nowo, zwłaszcza w podręcznikach najnowszej generacji. Wtedy staną się jasne źródło i sens manifestacji rolników z całej Europy, także tak wielkiej liczby naszych rodaków, którym „zjednoczona Europa" zamierza odebrać podstawy egzystencji i sprowadzić do rzędu niewolników, zależnych od kaprysów różnych oszustów, rzekomych speców od klimatu. Polscy rolnicy czują odpowiedzialność nie tylko za ziemię przodków, za rodziny, ale także za rodaków, za „swoich".

Hasło „Żywią i bronią" nie jest pustym sloganem; ujawnione dziś plany dotyczące przyszłości Europy i Polski przywracają mu aktualność. Rolnicy, organicznie niezdolni do przyjmowania fałszu, udowadniają, że Platforma z jej szefem rozumie politykę jako bezwzględną walkę z wrogiem, a wroga widzi w Polakach. Tak jak kiedyś przywódcy rewolucji francuskiej i podburzany przez nich motłoch widzieli ich w Wandejczykach.

Rolnicy są naturalnym wrogiem każdej rewolucji. Trzeba być sprawiedliwym wobec własnej przeszłości, zdają się mówić chłopskie rodziny, w których domach wiszą święte obrazy, gdzie szanuje się kapłanów – również ludzi starszych otacza należytą czcią, aborcja jest czymś nie do pomyślenia, a uprawianie ziemi spełnianiem obowiązku wobec Boga i ludzi. ■

Źródła: Andrzej Cisek, „Kłamstwo Bastylii. Szkice o wydarzeniach i ludziach Wielkiej Rewolucji Francuskiej", Gdańsk 2006; Reynald Secher, „Ludobójstwo francusko-francuskie. Wandea – departament zemsty", przeł. Marian Miszalski, Warszawa 1986; Vittorio Messori, „Czarne karty Kościoła", tłum. ks. Antoni Kajzerek, Księgarnia św. Jacka, Katowice 1998; Cytaty z „Pamiętników zza grobu" R.-F. Chateaubrianda za Przedmową do książki R. Sechera pióra profesora Sorbony, Jeana Meyera.

eprasa.pl aca4cd9bff

Piotr Lisiewicz

Z każdym kolejnym miesiącem trwania u władzy obozu politycznego Donalda Tuska następuje realizacja kolejnych celów politycznych Niemiec i Rosji oraz demontaż narzędzi do budowy przez Polskę wspólnoty państw Międzymorza. Wyłączenie TVP World, a potem przekazanie władzy nad nią byłemu wiceprezesowi rosyjskiej agencji Interfax, odebranie pieniędzy, a potem zwolnienie władz telewizji Biełsat, ściganie ministra odpowiedzialnego za przekop Mierzei Wiślanej, powrót reseciarzy w służbach specjalnych, przyspieszone zmiany ambasadorów – wszystko ma służyć podporządkowaniu Międzymorza interesom Berlina i Moskwy. Przeszkodami pozostają prezydent Andrzej Duda i relacje państw Międzymorza ze Stanami Zjednoczonymi, czytelność sytuacji zakłóca też fakt zbliżenia między Niemcami i Ukrainą. Ale wszystkie te przeszkody mają być ewolucyjnie usuwane. W tej sytuacji warto przypomnieć artykuł Konstancji Skirmuntt z pierwszej połowy XX-lecia międzywojennego. Historyk stosunków polsko-litewskich, obrończyni idei Wielkiego Księstwa Litewskiego, zwolenniczka idei krajowej pisze o tym, jak porzucenie idei jagiellońskich przez większość polskich elit było rezygnacją z wielkości Polski, ze wszystkimi tego opłakanymi skutkami.

Konstancja Skirmuntt

Idea jagiellońska a polityka kresowa

Promienna idea Zjednoczenia, idea jagiellońska, nie w starych, ale w nowych formach, nie w jednolitości panowania na całych dawnych obszarach Rzeczypospolitej, lecz w jednolitości dążeń i celów, bynajmniej jeszcze nie wynurza się zza chmur. Aby rozbłysła nad całością polską, choćby taką, jaką jest obecnie, trzeba w niej odnowienia ducha, trzeba, aby w politycznym ogóle polskim obudziło się sumienie i serce bratnie (jak śmiesznymi te pojęcia wydadzą się teoretykom, którzy twierdzą, że polityka – zdrowa – może się obejść bez serca i bez sumienia) i aby rozum twórczy, obejmujący szeroki horyzont – okazał się w polskich mężach stanu.

Wspaniała idea jagiellońska, która niegdyś jaśniała nad Polską i nad połączonymi z nią narodami – dziś leży cała w mrokach i mgłach nieznanej przyszłości.

Polska dzisiejsza jej nie rozumie. Nie ma się przez to twierdzić, że wcale nie istnieją dziś w Polsce głębokie umysły i serca, które widzą tą przesłonioną gwiazdę, i czują jej dobroczynne promienie. – Ale ogół polski powszechnie zatracił o niej wszelkie pojęcie. Nie ma jej ani w gabinetach ministrów, ani w redakcjach i na szpaltach pism, ani w tłumach ulic, ani wszędzie, gdzie się panuje, rządzi, działa. – Śladu jej nie ma w Sejmie […]

Żaden człowiek ani naród nie zrzuca z siebie bezkarnie zadania, misji, którą jest obleczony i obarczony. Misja – to praca, cierpienie i walka, ale u końca jej chwała i potęga. Polska, aby podjąć wielką ideę dziejową, swoją i bratnią – ideę jagiellońską nie w starych, ale w nowych formach – musi wyrzec się nacjonalistycznego samouwielbienia, zrozumieć dusze narodów, z którymi przeżyła wieki, pomóc w ich nowożytnej rozwojowej pracy i razem z nimi budować na wschodzie wał obrony wiary i cywilizacji. Zostając w swoim etnicznym i egoistycznym zasklepieniu – Polska wyrzeknie się wielkości moralnie i politycznie.

Ideę jagiellońską pojmowaliśmy dwojako, i ma ona rzeczywiście dwa oblicza, lecz była zawsze ideą – Zjednoczenia.

Oblicze zwrócone ku przeszłości, to było połączenie tronów w jednym rodzie – od Pragi Czeskiej do Wiaźmy i Kijowa, a przez połączenie tronów – połączenie krajów i narodów; trudne i nietrwałe z powodu odmienności potrzeb i polityki krajów różnych, krótko czasowe dla nietrwałości dynastii i jej losów. Oblicze patrzące w przyszłość, wiekowe, chciałoby się rzec – wieczyste, to wspólna polityka, wspólna cywilizacja w połączeniu trzech naszych narodów – Polski, Litwy i Rusi – co zbudowało nie-

eprasa.pl aca4cd9bff

gdyś dostojną wspólną potęgę, która istotnie parę wieków trwała.

Dlaczego upadła? – Wiemy wszyscy. Warstwie panującej zabrakło cnoty, a z upadkiem cnoty zabrakło rozumu politycznego. Zmyci krwią i łzami – podejmujemy wszyscy razem zadanie odżycia i odbudowy. Pomnijmy! Dawne i nowe złudy, a za nim idące błędy czyhają na nas wokół…

***

Gdzie dziś idea jagiellońska? Widać powszechne jej zaprzeczenie. Na mapie naszych krajów, w ich odbudowie gospodarczej, w programie szkół, w polityce wewnętrznej i zewnętrznej.

Na mapie nowej Polski od strony północy i wschodu, biegnie linia znaczona tysiącami słupów, komiczna, gdyby nie była tragiczna, dozwólmy sobie wierzyć – efemeryda nowej historii. Linia, która oddzieliła Wilno od Kowna, oddała Moskwie historyczny Mińsk i forteczny Bobrujsk, nie mówiąc o dalszych wschodnich zatraconych obszarach, linia, która odcięła biskupi Żytomierz i pełne wspomnień Podole – dla sowieckiej Ukrainy. Czy zmusiła do tej granicy konieczność? Bynajmniej. Wszyscy wiemy z wrażeń i wypadków przeżytych w 1921 roku, że zastraszony sukcesami białej reakcji rosyjskiej pełnomocnik sowietów (Joffe) zwracał wtedy Polsce całą gubernię Mińską z Polesiem, ale ówcześni kierownicy rządu polskiego nie zawahali się oddać tych ziem na pohybel – Rosji, aby nie mieć kłopotu z kwestią białoruską, tak dalece zgasła w sercach sprawców moralnych i twórców traktatu ryskiego wielka idea przeszłości i przyszłości […]

Kresy! Osobliwa nazwa, godna chaotycznej przejściowej epoki, nosząca w sobie pojęcie dowolnego skracania się, ściągania się lub rozszerzania – w miarę potrzeb jednego narodu, na ziemiach trzech narodów. – Nazwa więc z gruntu fałszywa. Uznały to już władze rządzące, zmieniając tę nazwę na: województwa wschodnie, co zbliża do prawdziwej ich nazwy – krajów wschodnich.

Ale pojęcie „kresów" snuje dalej swoją sztuczną robotę i wznosi nietrwałe budynki, które w wielu punktach pierwszy silniejszy wiatr zmiecie, jeśli się nie połączą z miejscowym fundamentem.

Czasy jagiellońskie działały całkiem inaczej. Pod promieniami zachodniej oświaty rosły i rozwijały się w swoich krajach ludy. Dźwigały się kościoły i szkoły. Płynął do nich żywioł miejscowy, kształcił się, rządził się sam, i silnymi barkami wspierał wspólne państwo.

Dziś na tych ziemiach – Wileńszczyzna, Białoruś, Polesie, Ruś południowa – te same narodowości, lecz stuletnia niewola rozdzieliła, wojna światowa połamała ich warstwy; ziemiaństwo, miejscowa inteligencja w większości odsunięte od wpływów politycznych i rządów; do życia politycznego powołane zostały ciemne jeszcze masy, które z prądem czasów wybijają się do światła i rozwijają w narody, ale rząd polski centralny, sięgający dotąd wzrokiem i pojęciem tylko po Bug, nie potrafił dać tym masom nie tylko dobrej administracyjnej opieki, która by kształciła w nich poszanowanie prawa i zdrowe pojęcie własności, lecz ani obrony od wrogich wpływów naokół, ani szkół własnych narodowych, tam, gdzie one tego pragną, pod światłym państwowym kierunkiem; i w czasach kiedy warstwy te młode wszędzie po świecie rwą się do światła i dochodzą do świadomości narodowej, gdy nowożytni Hindusi, Egipcjanie studiują we własnych wyższych szkołach – Litwin z Wileńszczyzny, Białorusin i Rusin szkoły swoje, niższe nawet i średnie zdobywać muszą od Polski z ciężkim trudem nieraz daremnym. – A na ogromnej północnej połaci kraju, gdzie łączyła nas wszystkich jedna wiara, rząd polski zamiast w nowych formach politycznych, bezpiecznych dla państwa, odbudować wielkie dzieło rusińskich narodowości – Unię narodową – odbudowuje hierarchicznie i czynnie popiera prawosławie, utrwala na nowo w ludności krajów wschodnich narzuconą Schyzmę i otwiera wrota wpływom Rosji.

Tu już idea jagiellońska jest nie tylko zatracona, ale podeptana. Wiadomo bowiem, że pierwsi twórcy tej idei w historii – patriarcha królewski Jagiełło, genialny Witold i górująca nad nimi świętością duszy królowa Jadwiga – całą siłą wiązali Litwę i słowiańską Ruś z Zachodem, broniąc je od mongolskiej Azji. Bujnie też te ludności i kraje odpłaciły się Zachodowi, Polsce i wspólnemu państwu, ale nowoczesna Polska widzi w nich tylko… kresy polskości. […]

***

Promienna idea Zjednoczenia, idea jagiellońska, nie w starych, ale w nowych formach, nie w jednolitości panowania na całych dawnych obszarach Rzeczypospolitej, lecz w jednolitości dążeń i celów, bynajmniej jeszcze nie wynurza się zza chmur. Aby rozbłysła nad całością polską, choćby taką, jaką jest obecnie, trzeba w niej odnowienia ducha, trzeba, aby w politycznym ogóle polskim obudziło się sumienie i serce bratnie (jak śmiesznymi te pojęcia wydadzą się teoretykom, którzy twierdzą, że polityka – zdrowa – może się obejść bez serca i bez sumienia) i aby rozum twórczy, obejmujący szeroki horyzont – okazał się w polskich mężach stanu. ■

Przedruk za: Konstancja Skirmuntt, Wilno 1925, Polskie-Tradycje.pl

eprasa.pl aca4cd9bff



Tomasz Łysiak

Ankona – polskie zwycięstwo nad Adriatykiem

Cmentarz polski w Loreto jest przepięknie położony na zboczu wzgórza, na którym króluje nad całą okolicą bazylika loretańska. Gdy w lipcu 1944 roku płonęła jej kopuła, do ratowania rzucili się żołnierze 2. Korpusu – zostawiając na ziemi włoskiej kolejny ślad polskiego ducha, w którym nie tylko błyszczała śmiałość wojenna, lecz także wrażliwość na kwestie dotyczące wiary i kultury. Bitwa o Loreto i Ankonę zwycięskim płaszczem okryła działania polskiego wojska na Półwyspie Apenińskim w roku 1944.

prasa.pl

Gdy powiemy Italia 1944, na myśl od razu przychodzi nam najsłynniejsza i najkrwawsza bitwa frontu włoskiego stoczona w masywie Monte Cassino od stycznia do maja. Polski wkład w to zwycięstwo był chwalebny i okupiony sporą daniną krwi. A przecież walczyliśmy ciężko dalej, jeszcze tego lata, i potem na wiosnę następnego roku, kiedy zdobyliśmy i wyzwoliliśmy Bolonię.

Pierwszy Polak, który zginął na włoskiej ziemi

Szlak żołnierza polskiego znaczą cmentarze, na których spoczywają nasi bohaterowie. Do 2. Korpusu trafili z różnych zakątków świata, miejsc, w jakie rzuciła ich okrutna wojenna zawierucha. Byli tam Polacy, którzy wyszli z tzw. Armią Andersa z nieludzkiej ziemi, cudem uchodząc z łagrów, obozów jenieckich, miejsc zsyłki; byli też bohaterowie spod Tobruku, Narwiku czy żołnierze, którzy po 1939 roku dostali się do Francji, a następnie do Anglii. Cmentarz loretański robi olbrzymie wrażenie przez swoje „zawieszenie" ponad przestrzenią… Są na nim pochowani bohaterowie walk o Loreto i Ankonę, lecz… nie tylko. Tutaj bowiem spoczywa snem wiecznym pierwszy Polak, który oddał życie na ziemi włoskiej za „wolność waszą i naszą" (w grudniu 1943 roku). To Franek Rogucki, urodzony w Stanach Zjednoczonych (z matki Polki), komandos, który w czasie patrolu bojowego w górach, nad rzeką Sangro, rzucił się do ataku na niemiecką pozycję ukrytą w domku pasterskim. Tak bardzo nienawidził Niemców za wszystko, co uczynili Polsce, że nie był w stanie podejmować racjonalnych decyzji – pobiegł sam, nie uzgadniając tego z dowódcą. Zginął śmiertelnie postrzelony. Ale zanim oddał Bogu ducha, jego koledzy usiłowali go uratować, niosąc w trudnym terenie do obozu wojskowego w nadziei, iż lekarz mu pomoże. Nie udało się. Ale ich czyn miał w sobie coś pięknego, niezwykłego – my „nie zostawiamy swoich" na polu bitwy.

Gdy się wzniesiemy nad cmentarz – zobaczymy ową fantastyczną panoramę, w której króluje kopuła bazyliki w Loreto. To w niej znajduje się kaplica polska z przepięknymi freskami sławiącymi dzieje naszego oręża – odnajdziemy tam i króla Jana III Sobieskiego, i Bitwę Warszawską. Często zachodzą do niej pielgrzymi modlący się przy nazaretańskim domku Matki Bożej, patrzą na polską historię naznaczoną rysem walki ze złem i obroną wiary chrześcijańskiej przeciwko barbarzyństwu. Mogło to barbarzyństwo płynąć ze Wschodu w postaci bolszewickiej nawały, mogło zagrażać Europie pod tureckim sztandarem, a mogło także – jak to było w czasie II wojny światowej – kryć się pod swastyką. Na ziemi włoskiej żołnierz polski walczył z Niemcami, wiedząc, iż jest to odwieczna walka dobra ze złem, że bijemy się o coś więcej niż tylko o wolny świat, bo bijemy się także o kształt świata w przyszłości.

Bijemy się dalej

Po bitwie o Monte Cassino nie było nam dane odpocząć. Ponieśliśmy wysokie straty – liczone nie tylko w setkach zabitych (około tysiąca w czasie majowych walk pod Monte Cassino i Piedimonte San Germano), lecz także rannych czy wyłączonych z walk z innych powodów (choroby, kontuzje). Straty trzeba było szybko uzupełniać. Do Campobasso, gdzie była baza 2. Korpusu, przybył dowodzący Alianckimi Armiami w Italii gen. Harold Alexander i w rozmowie z gen. Władysławem Andersem uzyskał zgodę na dalsze użycie polskich dywizji w boju. Proponował on zresztą uzupełnianie strat „w drodze", na co Anders słusznie się nie zgodził, argumentując: „albo się bijemy, albo uzupełniamy straty". Do wojska wcielono młodych żołnierzy z batalionów szkolnych, a także dano polskie mundury Polakom, uciekinierom z Wehrmachtu, czy jeńcom z proweniencją ze Śląska, Wielkopolski, Pomorza (po bitwie pod Monte Cassino miało napłynąć ich w ciągu roku blisko 30 tys.!). W czerwcu, po zdobyciu Rzymu przez wojska alianckie, na północ parła 5. Armia USA pod dowództwem gen. Marka Clarka (trzymająca zachodnią część włoskiego frontu). Tymczasem na wschodnim, adriatyckim wybrzeżu trzeba było dokonywać podobnych postępów. Tu jednak swój obszar działania miała brytyjska 8. Armia pod dowództwem gen. Olivera Leese'a. Polski 2. Korpus wchodził w jej skład. Nasze jednostki miały po raz kolejny wejść do boju, zastępując oddziały 5. Korpusu brytyjskiego i posuwać się wybrzeżem w stronę Ankony. Miasto miało wybitne znaczenie strategiczne, gdyż stanowiło jeden z największych portów w tej części Włoch. Jego zdobycie byłoby prawdziwym ciosem dla Niemców.

To, co stanowiło pewne novum w czerwcowo-lipcowych działaniach, to fakt, iż w pewnym momencie 2. Korpus zaczął toczyć na tym odcinku samodzielne walki. Początkowo zostaliśmy operacyjnie podporządkowani 5. Korpusowi brytyjskiemu, ale było to podyktowane realistycznym podejściem do wykonywanych zadań. Musieliśmy bowiem stopniowo zluzować inne oddziały i dopiero potem można było ruszyć do walki.

Polsko-włoski pościg za Niemcami

Najpierw na linii pojawiła się więc polska artyleria, potem kolejne jednostki, wśród których 3. Dywizja Strzelców Karpackich zajmowała pierwsze miejsce. Od 5 czerwca luzowaliśmy pozycje 4. dywizji hinduskiej. To,

fot. NAC

eprasa.pl aca4cd9bff

co ważne, to fakt, iż w tym czasie Niemcy wycofywali się na całym tym pasie. Trzeba było ich zatem ścigać. Wszystkie więc dalsze działania bojowe 2. Korpusu miały wymiar pościgowy (aż do bitwy o Ankonę) – Niemcy usiłowali stawiać przeszkody i zadawać maksymalne straty, a my deptaliśmy im po piętach, usiłując dopaść w takiej sytuacji, w której będzie można ich rozgromić. W połowie czerwca zostały ustalone „wstępne rozkazy pościgu". 3. Dywizja miała iść najbliżej morza Adriatyckiego, wzmocniona początkowo brytyjskimi 7. pułkiem huzarów, a potem pułkiem Ułanów Karpackich. Z oddziałów 5. Kresowej Dywizji Piechoty szykowano wówczas odwód i specjalne grupy do uderzeń w „drugim rzucie". Tymczasem lewe, zachodnie skrzydło Karpatczyków osłaniali… Włosi. Oto bowiem pod skrzydła gen. Andersa zawitał Włoski Korpus Wyzwolenia (Il Corpo Italiano di Liberazione), dowodzony przez charyzmatycznego dowódcę gen. Umberto Utiliego. Wcześniej, gdy Włochom alianci wyznaczali pomocnicze role, zaprotestował i kazał adiutantowi zawieźć do gen. Clarka swój pas z pistoletem na znak, że jeśli wojsko Italii ma spełniać „niepoważne" funkcje, to on rezygnuje ze swych zadań (czym przekonał sojuszników do patrzenia na Włochów pod innym kątem). W każdym razie to właśnie pod dowództwo Andersa przeszedł korpus Włochów wraz z pułkiem spadochronowym Nembo czy słynną grupą partyzancką Brigata Maiella. Działania z czerwca i lipca upłynęły nam na znakomitej współpracy wojskowej polsko-włoskiej. Pościg za nieprzyjacielem początkowo odbywał się do linii rzek, na których Niemcy stawiali opór – Musone i Chienti. Nad Chienti odbyliśmy ciężkie boje, ponosząc duże straty. Znowu bił się wsławiony walką pod Monte Cassino 3. batalion, znów do ataku szedł dowódca 4. kompanii. Walki nad Chienti były trudne, bo wykonywane w rygorze czasowym pościgu, ze zbyt małym przygotowaniem. Jednak i tu wroga udało się przełamać.

Napoleońskie w stylu zwycięstwo

Na początku lipca rozpoczęła się wstępna bitwa o Ankonę, zwana też loretańską. Do boju parł, mający się zapisać złotymi głoskami w historii naszych walk nad Adriatykiem, pułk Ułanów Karpackich. W dniach 5–6 lipca lotnictwo niemieckie zbombardowało w kilku następujących po sobie falach bazylikę w Loreto. Zaczął płonąć dach. Gdy to zauważono w polskim dowództwie, nie wahano się ni chwili. Wysłano kombinowany oddział strażacki złożony z saperów i żołnierzy z kwatery dowodzenia. Polacy uwijając się w płomieniach, ugasili ogień. Do dzisiaj się o tym w Loreto pamięta: o akcji gaśniczej 2. Korpusu Polskiego opowiadają ojcowie oprowadzający gości po bazylice. Niestety, nie udało się jeszcze pod Loreto zniszczyć obrony niemieckiej. 278. dywizja wycofała się do Ankony. Trzeba było stanąć do walki o miasto. Tym razem naprawdę dobrze ją przygotowano – by z jednej strony nie wytracać tempa pościgu, ale z drugiej strony odnieść sukces. Co w istocie się stało.

Bitwa o Ankonę została stoczona 17–18 lipca. Kluczem było współdziałanie wszystkich elementów korpusu. Gdy z jednej strony, bliżej morza, atakowała 3. Dywizja Strzelców Karpackich z Ułanami Karpackimi w roli głównej, to na innym odcinku naciskała ze skrzydła dywizja Kresowa (atak w kierunku Monte della Crescia – gdzie znowu swoją jakość pokazuje batalion 15. mjr. Gnatowskiego). 2. brygada pancerna wraz z 15. pułkiem ułanów nacierała w stronę Croce San Vincenzo. Także Włosi bili się na lewym skrzydle korpusu. Główne zadania pościgu wzdłuż morza wykonywała Karpacka. I to jej żołnierze weszli do miasta, w końcu je wyzwalając. Przy bramie św. Stefana, przez którą do miasta wdzierali się Ułani Karpaccy, tuż po wojnie nazwano ich imieniem ulicę. Bitwa o Ankonę, dowodzona i przeprowadzona w całości przez Polaków (wspieranych przez Korpus Włoski od Zachodu), była zwycięstwem świadczącym nie tylko o naszej sile bojowej i harcie ducha, lecz także o wybitnym kunszcie naszych dowódców. Było to iście napoleońskie w stylu zwycięstwo. Wśród zwycięskich okrzyków radości trzeba jednak było łykać łzy smutku. Wiktoria ankońska została bowiem okupiona śmiercią kolegów – poległo w tamtych dniach 39 oficerów i 338 szeregowych. Wśród nich był bohater spod Tobruku i Monte Cassino, człowiek pióra i intelektualista Adolf Bocheński. Także on spoczywa na cmentarzu polskim w Loreto. Odwiedź go i Ty, pielgrzymie polski, w czasie wakacyjnych wojaży po ziemi włoskiej. ■

NA POCZĄTKU LIPCA ROZPOCZĘŁA SIĘ WSTĘPNA BITWA O ANKONĘ, ZWANA TEŻ LORETAŃSKĄ. DO BOJU PARŁ, MAJĄCY SIĘ ZAPISAĆ ZŁOTYMI GŁOSKAMI W HISTORII NASZYCH WALK NAD ADRIATYKIEM, PUŁK UŁANÓW KARPACKICH.

eprasa.pl aca4cd9bff



Małgorzata Matuszak

Czym jest... ironia

W języku greckim eironeía oznacza dosłownie „przestawienie, pozorowanie", metaforycznie – „udawanie głupszego, oszukiwanie rozmówcy". W starożytnej Grecji występowała jako jeden z tropów retorycznych.

Najbardziej znaną postacią w starożytności, która stosowała ironię i postawę ironiczną, był Sokrates. W zachowanych „Dialogach" Platona dość często stosuje ją wobec rozmówców: stawia się w pozycji głupszego od rozmówcy, często udaje, że nie rozumie i przypisuje większą wiedzę temu, z kim rozmawia. Tym podstępem nakłania go do rozmowy, gdyż rozmówca Sokratesa chętnie chce przekazać wiedzę, którą ma, nic niewiedzącemu Sokratesowi, który chce się czegoś od niego nauczyć. Szybko jednak okazuje się, że kłopotliwe pytania Sokratesa wynikające z uważnego słuchania i wnikliwa analiza Sokratesa udzielonych mu odpowiedzi na temat ważnych idei, których dotyczy rozmowa, pokazują w istocie, jak pozorna jest wiedza tego, z kim Sokrates rozmawia. W trakcie takich dialogów Sokrates, stosując swoją sokratyczną metodę, rozbija gmach pozornej wiedzy opartej na nierzetelnych podstawach, tym zaś, co pozostaje, jest właśnie świadomość głębokiej i pokornej niewiedzy w najbardziej zasadniczych kwestiach odnoszących się do ludzkiego życia i świata.

Ironia polega na tym, że zachodzi sprzeczność między znaczeniem jawnym i ukrytym w wypowiedzi, ale nie jest ona oczywista, dlatego że znaczenie ironiczne, które jest negacją znaczenia jawnego, wywnioskować można tylko z kontekstu i rzeczywistej intencji mówiącego. W trakcie wypowiedzi ironicznej więc to, co powiedziane, jest odwrotne od tego, co chce powiedzieć rozmówca, a więc intencja wypowiadającego jest odwrotna od wypowiedzenia. Przykładem ironii jest sytuacja, gdy nie śmieszy nas czyjś żart i mówimy z poważną miną: „ależ mnie rozbawiłeś", „to naprawdę świetny żart", komunikujemy zatem coś odwrotnego, niż chcielibyśmy powiedzieć. Mimo tego intencja nasza jest dla słuchacza jawna.

Ironia leży na pograniczu oszustwa, kłamstwa oraz żartu czy kpiny, nie będąc tak po prostu żartem tylko i nie będąc kłamstwem. Żart ma na celu rozśmieszenie odbiorcy i bazuje na kontraście znaczeń, ale nie musi być zaprzeczeniem znaczenia jawnego, jak w ironii. Ironia nie musi śmieszyć – ona wprowadza rozmówcę w błąd i może go oszukać, jeśli jej nie odczyta. Osoba, która stosuje ironię, jest zaś nie do zdemaskowania gdyż mówi ona wprawdzie coś, ale coś odwrotnego, niż myśli, a rzeczywisty sens wypowiedzi jest ukryty, i negacja tego, co powiedziane, zawiera się tylko w intencji, która jest odwrotna do wypowiedzi. Nie kłamie ironia również, mówienie nieprawdy ma bowiem na celu oszukanie rozmówcy, a ironia ma zostać odczytana przez niego. Ironiczna wypowiedź zawiesza kategorię prawdy i fałszu na rzecz stanu pomiędzy znaczeniem dosłownym a tym ukrytym, którego możemy się domyślać, a który w przypadku ironii jest negacją faktycznego sensu wypowiedzi.

IRONIA LEŻY NA POGRANICZU OSZUSTWA, KŁAMSTWA ORAZ ŻARTU CZY KPINY, NIE BĘDĄC TAK PO PROSTU ŻARTEM TYLKO I NIE BĘDĄC KŁAMSTWEM.

Renesans ironii nastąpił w Europie w okresie romantyzmu. Teorię ironii rozwijali Friedrich Schlegel i Johann G. Fichte, jednak najważniejszym jej teoretykiem był niewątpliwie Soren Kierkegaard, prekursor XX-wiecznego chrześcijańskiego egzystencjalizmu. Duński myśliciel uważał, że tym, co najistotniej obchodzi istotę ludzką, jest egzystencja. Jako że jest ona jednak pełna sprzeczności, wyrażenie jej wymaga postawy ironicznej, zarówno na gruncie filozoficznym, jak i w komunikacji z innymi ludźmi. Na wzór Sokratesa zalecał Kierkegaard postawę niewiedzy, która poprzez ironię wobec prawd ustalonych i zdawałoby się nienaruszalnych, podważa rzeczywistość, ukazując małość ludzkiego rozumienia i nicość ludzkich przekonań. Przyjął zatem w swojej pracy filozoficznej postawę „ironii opanowanej", która oczyszczając pole złudnych przekonań ludzkich poprzez otwarcie i nieskończoność, umożliwionych za sprawą sokratejskiej postawy pełnej pokory niewiedzy, nie zamyka nas w klatce osobistych uprzedzeń i mniemań, co ma istotny sens życiowy i filozoficzny również współcześnie. ■

eprasa.pl aca4cd9bff



Michał Przeperski, „Dziki wschód. Transformacja po polsku 1986–1993", Wydawnictwo Literackie, Kraków 2024.

Krzysztof Wołodźko



Ballada o transformacji

Powiedz mi, co myślisz o transformacji ustrojowej, a powiem ci, kim jesteś. W sposobach interpretacji, akcentowaniu jednych zjawisk i przemilczaniu innych, kryje się strategia odrzucenia lub afirmacji. Fascynacja, melancholia, politowanie, szyderstwo, gniew, złość, zachwyt, rozpacz, rezygnacja, nadzieja są jak papierek lakmusowy naszych indywidualnych i społecznych postaw wobec tamtych czasów. Wiemy, kto i dlaczego wołał przez lata: „Balcerowicz musi odejść!". Wyczuwamy, kto i dlaczego przez dekady z atencją ściskał dłonie demiurgom polskich przemian. Michał Przeperski w „Dzikim wschodzie" tworzy szeroką, społeczną panoramę transformacji.

eprasa.pl aca4cd9bff

Transformacja jest toposem i procesem. Mitem i efemerydą. Historycznym zbiorem wydarzeń, w które wpisać możemy i rdzewiejące w opustoszałej PGR-owskiej oborze rolnicze sprzęty, i pełne szkło w rękach polityków zebranych w Magdalence. Możemy w opowieść o transformacji wpisać rozpacz żon i matek z klasy robotniczej, których mężowie potracili pracę w czasie przełomu ustrojowego. I zachwyt bogacącej się nagle wielkomiejskiej inteligencji, która po powrocie z emigracji odkryła, że postkomuniści oddali władzę i jeszcze gotowi są wspólnie robić interesy. Dla urodzonych pod koniec lat 70. i na początku 80. XX wieku transformacja to niezwykły podarunek – dorastasz i w prezencie od polityków dostajesz marmurki, coca-colę, MTV, „Rocky'ego" na zdartych kasetach wideo, południowokoreański kolorowy telewizor i magnetofon krótkogrający w typie „jamnika", łatwo dostępny paszport, Lenina z irokezem, „róbta, co chceta", a nieco później piwo 10,5 i tym podobne przyjemności. Wcześniej lub później dowiesz się, że to wszystko nie jest za darmo, ale w tamtych latach to z reguły jest problem jedynie twoich rodziców.

Dorośli klną i zaczynają się bogacić. Albo biednieć. Albo jak zwykle żyją od pierwszego do pierwszego, tyle że wyrzucają starą meblościankę. Czyjś ojciec wyjeżdża na Zachód, najpierw do Berlina, później coraz dalej i dalej, koleżanka ma mnóstwo ładnych rzeczy, a później się okazuje, że on już nie wróci. Nastała liberalna demokracja, masz pierwsze lekcje wiedzy o społeczeństwie, a jarocińscy punkowcy robią się markotni, bo nikt już nie ceni ich protest songów z Rozgłośni Harcerskiej. Smutny inteligent i wrażliwiec Bohdan Smoleń stawia na disco polo. Politycy sprawiają wrażenie, że zeszli z piedestału i bratają się z ludem w czas demokratycznego karnawału. Ale tak się tylko wydaje… Andrzej Sikorowski biadoli: „Moi koledzy poszli w biznesy, bo przestał słuchać ich naród". I że został sam z gitarą. (Po latach dowiesz się z dość bliska, że oni w Krakowie już tak mają). Jerzy Urban wydaje „NIE", twój dziadek jest wściekły, że upadł socjalizm, w którym z jednej robotniczej pensji wykarmił wielodzietną rodzinę. I kłóci się ze swoim synem, który wciąż płaci składki na „Solidarność".

„To nie tak miało być, przyjaciele"

„Dziki wschód. Transformacja po polsku. 1986–1993" Michała Przeperskiego to książka, która nie zostawi obojętnym nikogo, dla kogo tamten czas jest ważny biograficznie i społecznie. To równocześnie pozycja, którą koniecznie powinni przeczytać młodsi czytelnicy i czytelnicy z ambicjami lepszego zrozumienia współczesnej historii Polski. Nie powinni obawiać się nudnego wykładu, socjologicznego żargonu czy publicystycznego kaznodziejstwa. To jest dobrze napisana książka z pogranicza tak popularnego dziś społecznego reportażu i szkicu historycznego. Przeperski umiejętnie operuje szczegółem, ale nie traci z oczu szerszej perspektywy. Mówi o transformacji jako przejściu od „nienormalności" do „normalności": od gospodarki centralnie planowanej do globalnej gospodarki rynkowej. Od władzy autorytaryzmu do demokracji. Ale i w tej na pozór oczywistej sprawie od razu wskazuje na elementy niepewności: „Wszystko to staje się o wiele bardziej skomplikowane, jeśli spojrzeć na owe procesy od środka. Wtedy transformacja okazuje się przemianą znacznie mniej konkretną i trudniej uchwytną. Nie w pełni wiemy, gdzie jesteśmy, nie w pełni wiemy, dokąd idziemy. Droga pokonywana jest bez mapy, z nie zawsze sprawnym kompasem. Często przy wsparciu przewodników, z których bynajmniej nie wszyscy są godni zaufania". Dodajmy ważną rzecz: po dekadach łatwo o błąd poznawczy. Wydaje nam się, że wiemy, w jakim jesteśmy miejscu, oceniając przebytą drogę jako prosty ciąg przyczynowo-skutkowy. Jedni wołają: „Dokładnie tutaj mieliśmy się znaleźć". Drudzy: „To nie tak miało być, przyjaciele".

Znacznym walorem książki Przeperskiego jest to, że początki transformacji sytuuje niemal w połowie lat 80. XX wieku. I to w czasie, który można nazwać epoką narodowego kaca – zarówno dla stłamszonego stanem wojennym społeczeństwa, którego przemocą pozbawiono nadziei pierwszej „Solidarności", jak i dla coraz szybciej degenerującej się władzy, której coraz młodsze roczniki reprezentowały tzw. socjalizm ze świńską twarzą. My znamy tych ludzi jako starych postkomunistów. Wówczas byli młodymi aparatczykami, dla których ówczesny ustrój krył niewygodną dwuznaczność – z jednej strony stwarzał perspektywy kariery, z drugiej – zamykał ich po złej stronie żelaznej kurtyny. Kapitalistyczne frukta, do których i tak mieli lepszy dostęp niż ogół społeczeństwa, kusiły ich bardziej niźli uroki socjalistycznej ojczyzny. Przeperski wskazuje, że w latach 1986–1987 Wojciech Jaruzelski podjął pierwsze kroki, które miały pomóc wyjść Polsce z impasu: powszechna amnestia, a później powołanie rzecznika praw obywatelskich i „drugi etap reformy gospodarczej". Z tamtego czasu pochodzi jedno z moich pierwszych politycznych wspomnień: plakaty z pszczołami w wiejskiej podstawówce wzorcowego PGR Manieczki i hasłem: „Zapamiętaj te dwa słowa – referendum i odnowa".

eprasa.pl aca4cd9bff

Wtedy po raz pierwszy wykazałem pewien publicystyczny zmysł. Z niewinną miną zapytałem dyrektora szkoły (wówczas PZPR, w kolejnej dekadzie PSL), czy prawidłowo powinno być jednak napisane: „referendum i od nowa". Spojrzał na mnie nieco uważniej i nie parsknął śmiechem.

Puste brzuchy w socjalizmie

Jeden z najbardziej fatalnych dla „ludowej władzy" faktów z tamtych czasów sprowadza się do tego, że w socjalizmie ludzie też mogą mieć puste brzuchy. Przeperski przygląda się polskiej codzienności pod koniec lat 80. Dzisiaj, po kilku dekadach, rok 1988 kojarzy się nam przede wszystkim ze strajkami inteligenckiej i robotniczej młodzieży. Jedni za idola mieli wówczas Piotra Ikonowicza, drudzy – Andrzeja Szewczuwiańca. Wśród zapomnianych ofiar tamtych czasów jest młody krakowski robotnik Jacek Żaba. Ale dla wielu ludzi końcówka lat 80. to dojmujące pustki w portfelach i na sklepowych półkach. „Weźmy na przykład rok 1988. Dramatycznie rosły ceny, ludzie biednieli z tygodnia na tydzień. »Od 1 lutego zapowiadają podwyżkę cen, a o ile, to włosy stają dęba […]. Nic dziwnego, że w sklepach wykupywano wszystko, co się dało« – zapisywała mieszkanka Warszawy w styczniu tegoż roku. Wszechobecne były kolejki, jak Polska długa i szeroka. Pierwszego kwietnia 1988 roku diarysta z Pomorza zapisywał takie wydarzenie: »Od godz. 4 do 12 – w mięsnej kolejce. Pobudka o czwartej – jak się człek chce na mięso załapać. Jak poszedłem do kolejki, okazało się, że najrańsi już wczoraj z wieczora kolejkę sobie zajęli«" – przywołuje te wspomnienia Przeperski.

Nie jest wykluczone, że to właśnie tamten traumatyczny społecznie moment zdecydował w dużej mierze o nieufności Polaków do wszystkiego, co dziś kojarzymy z „socjalizmem" i „socjalem" i przyczynił się do tak łatwej wiary, że „prywatne zawsze jest lepsze". Długo później polskie społeczeństwo zaczęło politycznie zdawać sobie sprawę z tego, że sprawy są bardziej skomplikowane. Ale to w znacznej mierze „kolejkowy socjalizm", ściśle związany z „gospodarką planowego niedoboru" końca lat 80., spowodował, że Polacy gotowi byli na przełomie ustrojowym rzucić się na łeb na szyję w wir radykalnych społeczno-gospodarczych eksperymentów. Sądzili, że nie mają do stracenia nic oprócz kolejki stojącej po szarość.

Mój prywatny wgląd w przedsionek piekła to poznański dworzec PKP na przełomie lat 80. i 90. Przy kasach dworcowych, gdzieś w rogu, młody mężczyzna oddawał mocz. Dzieciaki o pustych oczach, trochę starsze i trochę młodsze ode mnie, żebrały niemal zupełnie jawnie. Dworcowe poczekalnie, było ich wówczas mnóstwo, szczególnie wieczorami zapełnione były starymi ludźmi. Grał czarno-biały telewizor, działały jeszcze staroświeckie bufety, podróżni i niepodróżni siedzieli na ławkach pokotem, zmęczeni, apatyczni. Kobiety biedne i stare, skulone w sobie. W brudnych, przepoconych chustkach na głowach, które dla mnie przez całe dzieciństwo były symbolem wiejskiej schludności. Mężczyźni nierzadko zamroczeni alkoholem, czasem na granicy agresji, mamroczący coś do siebie, odgrażający się światu. Milkli, gdy zjawił się milicjant, ale jemu nie było spieszono do syzyfowej pracy. To nie trwało długo. Gdy kapitalizm nieco okrzepł, zaczęli stamtąd znikać. Dworcowe poczekalnie zamieniły się z czasem w przystań dla drobnych sklepików. Na dworcu pojawiły się księgarnie z harlequinami, horrorami Grahama Mastertona i Stephena Kinga, budki z pieczarkami i legalnymi już kasetami magnetofonowymi. Jeszcze później zawitały tam supermarkety i fast foody. A wraz z nimi krzątanina podróżnych – klientów. Ale przecież był taki straszny moment, między PRL a III RP, gdy ten zwykły dworzec PKP w stolicy Wielkopolski przypominał noclegownię „Inferno" w drodze donikąd dla ludzi, których nikt już nie potrzebował. I oni sami nie chcieli już samych siebie.

Cukier i transformacja

Nieuchwytny po latach moment na przełomie ustrojowym: już nie bułka z serem w szkole, ale paczka snacków Star Foodsa z reklamy z Piotrem Gąsowskim („Wylądował już kosmiczny smak!"). Już nie butelka z herbatą w termosie lub butelce po jabolu, ale Jojo-Cola na szkolnych pracach polowych. Już nie oranżada w proszku zlizywana z ręki kolegi lub koleżanki (przepraszam, tak było), ale żelki Haribo. Ktoś powie: naiwne wspomnienia nastolatków. Ale Przeperski przepytuje w książce Macieja, pod koniec lat 80. studenta poznańskiej Akademii Ekonomicznej, który w poszukiwaniu zarobku w tamtych czasach zawędrował do Niemiec Wschodnich. I co się okazuje? „Z pierwszego wyjazdu Maciek przywiózł… wodę gazowaną o smaku kiwi". Być może ktoś się zirytuje, ale podejrzewam, że dla niemałej części społeczeństwa pierwsze wspomnienia transformacji wcale nie mają wymiaru politycznego. Zachowały się w smaku, zapachu, dotyku.

Niektórzy mówią, że to alkohol przeniósł Polaków przez transformację. A może był to cukier? Mnóstwo cukru w zachodniej „spożywce", na któ-

eprasa.pl aca4cd9bff

rą otworzył Polskę Leszek Balcerowicz, zarzynając przy okazji wielu polskich producentów żywności. Owszem, znałem z dzieciństwa smak oranżady. Znałem też smak Pepsi i Mirindy, bo mąż mojej chrzestnej jeździł dostawczakiem lokalnego wielkopolskiego browaru. A kto wówczas woził towar, ten był panem sytuacji. Przemiana ustrojowa to insulinowy zastrzyk dla społeczeństwa, które jeszcze niedawno musiało stać po mięso. Targowiska tamtych czasów to nie tylko siermiężny sprzęt RTV i AGD z upadającej sowieckiej Rosji. To nagła obfitość cytrusów na zwykłych targowiskach nawet w małych miejscowościach. I mnóstwo, mnóstwo słodyczy i słodzonych napojów. Konserwantami i przeciwutleniczami z grupy E straszono wówczas niemal jak wirusem HIV. Ale prawda jest taka, że rządził cukier. Łatwy dostęp do zachodniej „spożywki" był heroldem przemian – nie każdy mógł sobie pozwolić na używany niemiecki samochód. Ale niemal każdy mógł sobie osłodzić życie batonem Mars. I rozjaśnić kawę po turecku zabielaczem do kawy z niemiecką etykietą. Na marginesie: w tamtych latach na ogół w moim domu piło się wodę mineralną Grodziską z Grodziska Wielkopolskiego. Sprzedawano ją w zielonych, szklanych butelkach. Ale Grodziskiej dawno już nie ma. Wytwórnia została sprywatyzowana w 1993 roku, jej właścicielem została wówczas francusko-polska spółka Ralco. Po latach grupa Kofola zamknęła zakład w tym mieście. W 2023 roku nieruchomość kupiła koreańska firma Younam Electric CO. LTD.

Być może ktoś się zirytuje, ale podejrzewam, że dla niemałej części społeczeństwa pierwsze wspomnienia transformacji wcale nie mają wymiaru politycznego. Zachowały się w smaku, zapachu, dotyku.

Japiszon z Warszawy i stary, zbędny robotnik

Przeperski ma rację: „Zmiany nie zawsze przychodzą chciane. Ale chęci, ambicje i pragnienia potrafią mieć ogromne znaczenie. Tak było w przypadku polskiej transformacji. Przyczyny społeczno-psychologiczne prowadzące do przejścia od systemu komunistycznego do nowej rzeczywistości miały ogromne znaczenie. Wśród nich być może najważniejszy był brak możliwości realizacji aspiracji jednostek". Transformacja przyniosła rewolucję aspiracji. Kilkanaście lat wcześniej Edward Gierek obiecywał małą stabilizację i materialny sukces na miarę epoki. To się szybko wypaliło. „Telewizor, meble, mały fiat"? Wejście do krainy kapitalizmu stworzyło już zupełnie nowe możliwości. „Gazeta Wyborcza" i stołeczne media zaczęły pisać o japiszonach (od ang. yuppie) – młodych wilczkach nadwiślańskiego kapitalizmu, którzy do lekkiego śniadania piją rano szklankę samodzielnie wyciskanego soku pomarańczowego.

Po drugiej stronie był świat chłoporobotników i robotników, zepchniętych na margines społecznej wyobraźni. Kazik Staszewski na bieżąco dobrze oddawał ówczesne nastroje: „Starszy człowiek w barze mlecznym je kartofle z ogórkami/. Całe życie tyrał w hucie, a do huty dokładali/. Cała jego ciężka praca, wszystko było ch.ja warte/. Gdyby leżał całe życie, mniejszą czyniłby on stratę". W latach 80. w programach konsumenckich triumf święciło słowo „bubel". Na przełomie ustrojowym cała przeszłość zaczęła uchodzić za bubel, kant i fuszerkę. Nikt jeszcze nie wiedział, że po kilku dekadach deweloperzy będą stawiać bloki zwane apartamentowcami z widokiem na więzienne spacerniaki. Po prostu miało być lepiej. I było lepiej. Choć nie dla tych, którzy wpadli w sidła strukturalnego bezrobocia, tracili życiowe szanse, nigdy nie odzyskali spokoju ducha i poczucia bezpieczeństwa, wieszali się z rozpaczy.

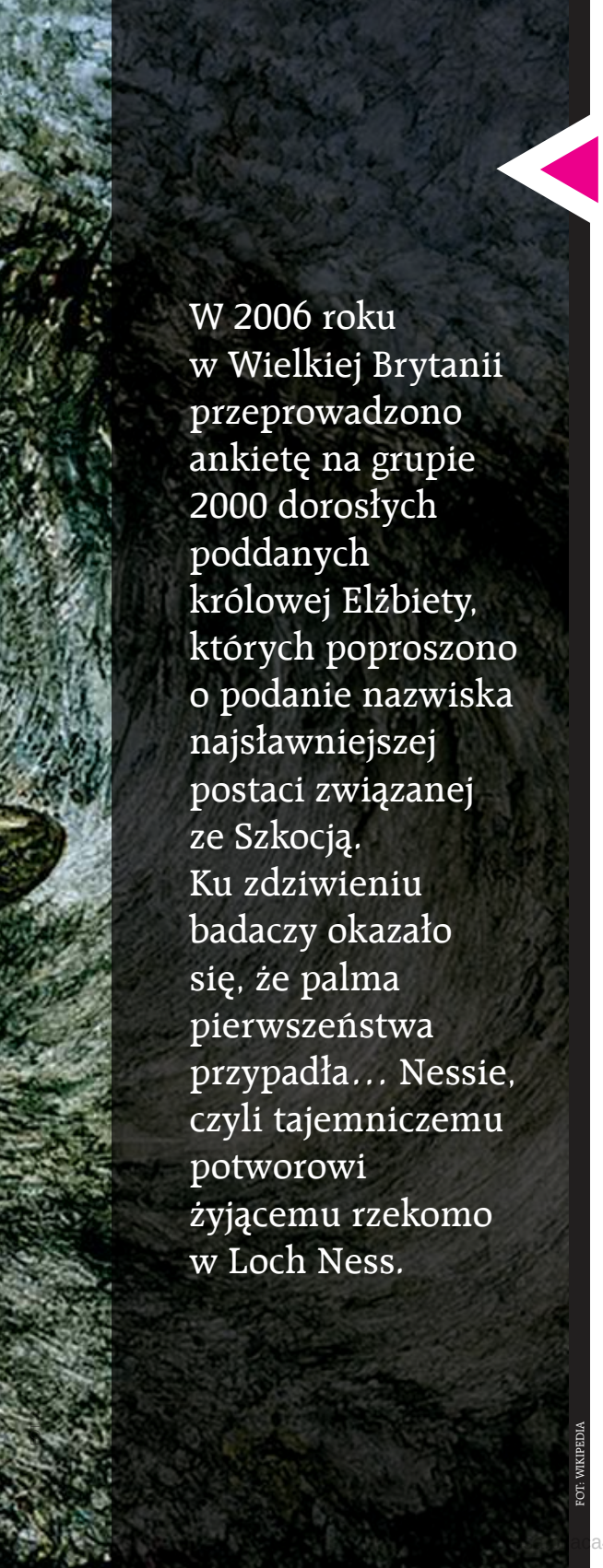
„Dziki wschód" jest znacznie bogatszą w wątki książką, niż sugeruje ten tekst. Więcej w niej polityki, socjologicznych analiz, gospodarczych wskaźników i zapomnianych niuansów tamtych lat. I jeszcze jedno. W czerwcu 1992 roku otwarto pierwszy McDonald's w Warszawie. We wrześniu 1993 roku władzę w Polsce przejęli postkomuniści. Potransformacyjna Polska na dobre stała się hybrydą anglosaskiego kapitalizmu i nadwiślańskiego postkomunizmu, który korzeniami sięgał sowieckiej Rosji. ■

eprasa.pl aca4cd9bff



Łukasz Czarnecki

Potwór z jeziora czy potworna blaga?



W 2006 roku w Wielkiej Brytanii przeprowadzono ankietę na grupie 2000 dorosłych poddanych królowej Elżbiety, których poproszono o podanie nazwiska najsławniejszej postaci związanej ze Szkocją. Ku zdziwieniu badaczy okazało się, że palma pierwszeństwa przypadła… Nessie, czyli tajemniczemu potworowi żyjącemu rzekomo w Loch Ness.

FOT. WIKIPEDIA

Jezioro Ness (wyraz „loch" oznacza w starym celtyckim języku Szkotów po prostu jezioro) jest bez wątpienia jednym z tych miejsc na kuli ziemskiej, których nazwa niemal w każdym, kto je usłyszy, wywołuje szereg skojarzeń. Nie ma chyba sławniejszego akwenu nie tylko w Wielkiej Brytanii, lecz także w całej Europie, a może i świecie. To polodowcowe jezioro położone na wysokości 16,5 metra n.p.m. ma 37 kilometrów długości, 2 kilometry szerokości, zaś jego głębokość wynosi 248 metrów. Panują w nim surowe warunki – średnia temperatura wody to około 5 stopni Celsjusza, a widoczność jest niezwykle ograniczona ze względu na zanieczyszczające toń osady. Wszystko to nadaje otchłaniom Ness i otaczającej je okolicy aurę romantyzmu niczym z powieści Waltera Scotta. Kto wie, co kryć może się w przepastnej głębi jeziora? Od wieków tutejsi mieszkańcy twierdzili, że akwen ten jest domem dla kelpie, groźnych koni wodnych, topiących nieostrożnych pływaków. Na przełomie XIX i XX wieku wraz z rewolucją przemysłową i upowszechnieniem się edukacji wiara w owe demony osłabła, wtedy jednak świat obiegła wieść o objęciu jeziora w posiadanie przez godnego ich następcę, tajemniczego potwora, który wkrótce zyskał sławę, o jakiej kelpie nie mogły nawet marzyć.

Nessie wkracza na scenę

Pierwsze doniesienia o istocie znanej dziś jako Nessie pochodzą z… wczesnego średniowiecza. A w każdym razie tak zwolennicy istnienia potwora interpretują fragment „Życia św. Kolumbana". Wedle tego hagiograficznego utworu, powstałego w jednym z klasztorów, święty mąż około roku 580 zetknął się ze straszliwą bestią wciągającą pod wodę pływaków. Do spotkania doszło jednak nie na jeziorze Ness, lecz w rzece o tej samej nazwie. Kolumban był świadkiem, jak straszliwy stwór zjada jakiegoś wieśniaka, ale że łódź potrzebna mu do przeprawy znajdowała się na drugim brzegu, nie bacząc na obecność w wodnej toni monstrum, nakazał jednemu ze swych towarzyszy przepłynąć rzekę. Ledwie nieszczęsny, trzęsący się zapewne ze strachu kompan wskoczył do wody, Nessie (jeśli to był on) zachwycony tym, że kolejna przekąska przyszła do niego sama, natychmiast go schrupał. Rozsierdzony do białości święty przeżegnał wówczas potwora znakiem krzyża, a ten, jak na szatański pomiot przystało, szybko odpłynął… tyłem.

Nessie musiał poważnie przestraszyć się świątobliwego męża i jego modlitw, bo na następne kilkanaście wieków schował się w głębi jeziora i było o nim cicho, choć dzisiejsi entuzjaści kryptozologii twierdzą, że to właśnie jego obecność w akwenie dała asumpt do powstania legend o kelpie. Z mrocznych toni stwór wy-

a4cd9bff

chynął ponownie na początku XX wieku. Od tego czasu pojawiał się raz za razem (do chwili obecnej odnotowano ponad tysiąc spotkań z nim), choć, co zastanawiające, nikomu nie udało się do tej pory wykonać bezsprzecznie autentycznego zdjęcia monstrum, co w czasach, gdy każdy obywatel Wielkiej Brytanii i przyjeżdżający nad Ness turysta ma w telefonie wysokiej jakości aparat fotograficzny i kamerę, daje do myślenia…

Jedno z najwcześniejszych doniesień z ubiegłego stulecia, dotyczących obserwacji potwora, pochodzi z 1919 wieku. Bawiąca się na plaży w pobliżu bagien nad zatoką Inchnacardoch grupa nastolatków usłyszała nagle dochodzący z pobliskiego lasu trzask. Ku ich przerażeniu z bagiennej gęstwiny wynurzył się sześciometrowy stwór z umiejscowioną na długiej szyi głową podobną do wielbłądziej i czterech płetwach, który minąwszy młodzież dosłownie o włos, wpełzł do wody i zniknął w głębinie.

Nie było to ostatnie spotkanie z Nessiem na suchym lądzie. Jak się wydaje, potwór początkowo preferował ukazywanie się na terenach wokół jeziora, a w głębinach Nessie na dobre zanurzył się dopiero wtedy, gdy zrobiło się o nim głośno. Zapewne na złość swoim fanom.

Od 1933 roku, kiedy wybudowano wzdłuż północnej linii brzegowej nową drogę, liczba doniesień o tajemniczym mieszkańcu jeziora wystrzeliła w górę, a on sam zagościł na szpaltach brytyjskiej prasy. 2 lipca małżeństwo turystów z Londynu nazwiskiem Spicer, jadąc samochodem drogą wiodącą między miejscowościami Dores i Foyres, nagle zobaczyło, jak znad krzaków zarastających pobocze szosy wyłania się najpierw wężowa szyja z małą głową, a następnie całe cielsko długości 7 metrów. Bestia na oczach przerażonych londyńczyków (którzy, zdając relację ze spotkania, określili towarzyszące wydarzeniu uczucie jako wstręt) przeprawiła się na drugą stronę jezdni i zniknęła w zaroślach.

5 stycznia 1934 roku podobna, aczkolwiek jeszcze bardziej niemiła przygoda spotkała młodego studenta weterynarii Arthura Granta, który o godzinie 1.30 w nocy wracał na motocyklu do domu. W pewnym momencie zobaczył przed sobą poruszający się ogromny kształt i w ostatniej chwili wyhamował, by w świetle reflektora pojazdu zszokowany przekonać się, że omal nie wpadł na podobne do dinozaura stworzenie pełznące po asfalcie szosy. Spłoszona dźwiękiem silnika i ostrym blaskiem bestia czmychnęła, a roztrzęsiony młodzieniec wróciwszy do mieszkania, sporządził raport z wydarzenia, który zaprezentował później na spotkaniu Edynburskiego Towarzystwa Weterynaryjnego. Jak łatwo się domyślić, szacowni członkowie owej szlachetnej organizacji nie dali wiary młodszemu koledze. I trudno im się dziwić, bo co prawda Grant zaklinał się, że tamtej nocy był całkowicie trzeźwy, ale faktem jest, że wracał do domu o bardzo późnej godzinie, całkiem możliwie że z pubu lub potańcówki, a co więcej, nie byłoby w jego interesie przyznanie się do jazdy po pijaku. Zbyt wiele tu było niejasności, by relację młodzieńca wziąć za dobrą monetę. Jednakże to i inne obserwacje potwora, mające miejsce w pierwszej połowie lat 30., sprawiły, że przypadkiem Nessie zaczęła żyć cała Wielka Brytania. Wkrótce rozpoczęły się intensywne poszukiwania potwora, na dobrą sprawę trwające do dziś.

Safari w… Szkocji

W latach 30. XX wieku potwór z Ness na dobre zagościł na łamach brytyjskiej prasy, która publikowała kolejne doniesienia na jego temat, a także niewyraźne zdjęcia, na których można było dostrzec… wszystko – od delfina po maszt statku. Co może dziwić współczesnych, sprawę traktowano śmiertelnie poważnie, a naturę niezwykłej istoty rozważali uznani naukowcy z Muzeum Brytyjskiego i Muzeum Historii Naturalnej! Cała rzecz szczególnie interesowała dziennik „Daily Mail", którego redakcja wzięła sobie za punkt narodowego honoru rozwiązanie zagadki. Późną jesienią 1933 roku wydawca wysłał nad Ness ekspedycję mającą zdobyć twarde dowody istnienia tajemniczego mieszkańca głębin. Organizatorzy byli pewni sukcesu, bo w skład ekspedycji wszedł doświadczony łowca grubej zwierzyny, filmowiec i awanturnik – Marmaduke A. Wetherell. Czytelnicy z drżeniem brali do rąk kolejne wydania „Daily Mail", donoszące o postępach safari odbywającego się nie gdzieś w odległych koloniach, lecz na ich własnym podwórku w Szkocji, a wyniki sprzedaży rosły. Wkrótce na łamach dziennika eksplodowała prawdziwa bomba, Wetherell zdobył niepodważalny dowód na to, że Nessie rzeczywiście istnieje! Na brzegach jeziora wytrawny tropiciel odnalazł ślady bestii! Tropy natychmiast sfotografowano, a zdjęcia przesłano do analizy najlepszym specjalistom w Wielkiej Brytanii, naukowcom związanym z Muzeum Historii Naturalnej w Londynie. Ekspedycja wróciła do Londynu w glorii, a pan Marmaduke był opromieniony chwałą tak wielką, jakby co najmniej własnoręcznie ustrzelił Nessiego. Niestety, chwile tryumfu redakcji tabloidu trwały krótko, po dokładnym przebadaniu dostarczonego im materiału eksperci zawyrokowali, że rzekome ślady potwora są w rzeczywistości… odciskami stojaka na parasole wykonanego z wysuszonej nogi hipopotama (jak widać mieszkańcy ówczesnej Wielkiej Brytanii miewali osobliwe gusta w kwestii wystroju wnętrz)! „Daily Mail" zostało ośmieszone, zaś Wetherell zdemaskowany jako oszust, co obróciło w gruzy jego dotychczasową reputa-

eprasa.pl aca4cd9bff

cję. Najbardziej zawiedzeni byli jednak miłośnicy Nessiego – czyżby obiekt ich westchnień w rzeczywistości nie istniał?

Wielkie łowy

Na szczęście smutek i niepewność nie trwały długo. Już w kwietniu „Daily Mail", niepomny na wcześniejszą wpadkę, opublikował koronny, jak się wydawało, dowód potwierdzający, że w głębinach Ness żyje duże nieznane nauce zwierzę. Była nim fotografia przedstawiająca wynurzającą się z wody długą szyję zwieńczoną małą głową. Choć obiekt od fotografa dzieliła spora odległość, obraz był bardzo wyraźny. Co więcej, za autentycznością zdjęcia przemawiała osoba jego twórcy – doktora podpułkownika Roberta Wilsona, cenionego lekarza. Ujęcie, które przeszło do historii jako tzw. fotografia chirurga, było przez następne dziewięć dekad analizowane chyba więcej razy niż jakiekolwiek inne zdjęcie w historii ludzkości, stając się kamieniem węgielnym, na którym rzesze wyznawców oparły swą niezachwianą wiarę w Nessiego.

Teraz, gdy światło dzienne ujrzał koronny dowód, w całej sprawie rozpoczęły się szeroko zakrojone poszukiwania. Nie mamy tu miejsca, by opisać wszystkie perypetie łowców potwora z Ness, dlatego przytoczę tylko kilka z nich.

I tak 23 kwietnia 1960 roku inżynier lotnictwa i entuzjasta kryptozoologii Tim Dinsdale w trakcie trwającej od kilku dni wyprawy badawczej nad najsławniejsze jezioro Szkocji, jadąc wzdłuż jego brzegu w kierunku Foyers, nagle zobaczył ruch na tafli wody. Natychmiast zatrzymał się, rozpoczął obserwację przez lornetkę i zobaczył, że po drugiej stronie akwenu szybko przemieszcza się zygzakowatym torem jakiś duży obiekt. Dinsdale czym prędzej dobył kamery i uwiecznił na taśmie filmowej to, co jak sądził, było Nessiem. Gotowy materiał inżynier przesłał do RAF-u, gdzie jego analizą zajęli się eksperci (jak widać, kwestia istnienia bądź nieistnienia potwora z Ness była w latach 60. poważną sprawą, skoro brytyjskie wojsko zajmowało się nią w apogeum zimnej wojny). Po przebadaniu filmu zawyrokowali oni, iż najprawdopodobniej przedstawia żywą istotę. Werdykt ten, co oczywiste, wywołał entuzjazm miłośników Nessiego. Niestety, w beczce miodu była łyżka dziegciu, znaleźli się sceptycy twierdzący, że w rzeczywistości zacny dżentelmen sfilmował łódź wiosłową, która z racji rzucanego na wodę cienia wydała mu się znacznie większa, niż była w rzeczywistości. W roku 1995 przeprowadzono eksperyment – grupa badacz pływała po jeziorze łodzią długości 5 metrów, podczas gdy ich koledzy z odpowiedniego oddalenia i tego samego puntu, w którym stał pamiętnego dnia Dinsdale, kręcili ich kamerą dokładnie tego samego modelu, co zastosowany przez inżyniera. W efekcie uzyskano niemal identyczny efekt co na oryginalnym filmie.

W 1972 roku grupa entuzjastów z amerykańskiego stowarzyszenia Akademii Nauk Stosowanych rozpoczęła penetrację głębin jeziora za pomocą sonaru i głębinowych aparatów fotograficznych. Wedle słów uczestników badań, 8 sierpnia sonar wykazał ruch dużych obiektów o długości około 10 metrów, które miały szybko przemieszczać się w jego okolicy. Co więcej, pojawienie się tajemniczych istot uruchomiło aparat, ten zaś udokumentował pojawienie się w polu jego obiektywu wielkiej płetwy w kształcie rombu! W 1975 roku panowie i panie z ANS odpalili kolejną bombę, publikując dwa nowe zdjęcia, z których jedno prezentowało tułów i długą szyję istoty podobnej do plezjozaura, drugie zaś – zbliżenie na głowę Nessiego! Jako że na tej ostatniej widniało coś, co przypominało rogi, fotografię tę nazwano „zdjęciem gargulca". Jednak i tu znów nic nie jest takie proste, jakby się mogło wydawać. Nie minęło wiele czasu, a dokładniejsza analiza materiałów udostępnionych przez ANS wykazała, że rzekoma głowa była w rzeczywistości… rozkładającym się pniakiem, z kolei zdjęcia płetwy retuszowano i w rzeczywistości mogły one przedstawiać dowolne stworzenie lub obiekt nieożywiony. Po raz kolejny Nessie umknął ludzkości, chcącej go schwytać i umiejscowić na drzewie ewolucji, i zniknął w mętnych toniach jeziora.

Na zakończenie warto odnotować spotkanie bardzo bliskiego stopnia z potworem z Ness, które tym

Poszukiwania Nessiego trwały przez cały XX wiek, a oprócz rzesz amatorów i ewidentnych szaleńców brały w nim udział także poważne instytucje, takie jak Uniwersytet Cambridge, Uniwersytet Birmingham czy telewizje Discovery i BBC.

eprasa.pl aca4cd9bff

różniło się od pozostałych, że dało mocne namacalne dowody jego istnienia… a raczej dałoby, gdyby zdarzyło się naprawdę, bo niestety, wszystkie przesłanki wskazują, że mamy również w tym przypadku do czynienia z kompletną bujdą.

W roku 1978 lokalny kierowca ciężarówki Stan Roberts wynajął należącą do siebie kabinową łódź motorową bawiącej nad jeziorem rodzinie turystów, składającej się z rodziców, dzieci i zawansowanego wiekowo dziadka. Miło spędzająca czas wśród pięknych szkockich krajobrazów familia zapragnęła zrobić sobie wycieczkę i przeprawić się przez Ness. Wsiadłszy na pokład, turyści ruszyli w rejs, kiedy nagle na środku jeziora coś z wielką siłą uderzyło w ich łódź, niszcząc śrubę motorową i unieruchamiając jednostkę. Wydarzenie to tak przeraziło starszego pana, że dostał zawału. Wakacyjny wypad przemienił się w horror, zwłaszcza że w łodzi nie było radiostacji i załoganci musieli wypuścić flary alarmowe w nadziei, że ktoś ich weźmie na hol. Tak też się stało, ale dla starca było już za późno, po przewiezieniu go do szpitala lekarze mogli tylko stwierdzić zgon. Z naszego punktu widzenia ważne jest jednak to, że wedle relacji Stana Robertsa (który na własne oczy tej sceny nie widział) gdy robotnicy w dokach wyciągnęli łódź na suchy ląd, by dokonać napraw, odkryli, że śrubę unieruchomił ochłap mięsa i czarnej skóry. Nie namyślając się długo, usunęli je i wyrzucili do wody. Kiedy właściciel usłyszał od nich o tym wydarzeniu, nie przebierał w słowach. Jak wspominał: „Powiedziałem: »Wy głupie sukinkoty. Mielibyśmy dowód, że jest tam Nessie«". Niestety, rzeczone fragmenty ciała legendarnego potwora przepadły, a cała historia o ich odnalezieniu dotarła do nas z drugiej ręki, nie dowodzi więc absolutnie niczego.

▶ Największe oszustwo XX wieku?

Poszukiwania Nessiego trwały przez cały XX wiek, a oprócz rzesz amatorów i ewidentnych szaleńców brały w nim udział także poważne instytucje, takie jak Uniwersytet Cambridge, Uniwersytet Birmingham czy telewizje Discovery i BBC. Chyba żaden akwen wodny w dziejach nie został tak dokładnie przeszukany. Do łowów na Nessiego wykorzystywano najnowsze zdobycze techniki, takie jak sonary, kamery i łodzie podwodne, sondy głębinowe. W trakcie tych poszukiwań badacze odnotowali w głębinach Ness wiele anomalii, odkrywając m.in. osobliwą dla tego ekosystemu populację… starych butów i filiżanek zalegających na dnie zbiornika. Na potwora jednak nikt się nie natknął mimo autentycznych niekiedy aktów poświęcenia ze strony łowczych – pewien zapaleniec, porzuciwszy cywilizację, już ponad 20 lat mieszka w samochodzie kempingowym na brzegu jeziora, prowadząc nieustanne obserwacje i oczekując chwili objawienia się potwora. Jak dotąd bezskutecznie.

Tymczasem w 1993 roku nastąpił zaskakujący zwrot w ciągnącej się od lat 30. sprawie, jakkolwiek tym razem na powierzchnię wypłynął nie Nessie, lecz Christian Spurling – 90-letni mężczyzna, a prywatnie pasierb Marmaduka A. Wetherwella – odkrywcy niesławnych „tropów potwora" w rzeczywistości pozostawionych przez stojak na parasole. Na krótko przed śmiercią mężczyzna przyznał się, że słynne „zdjęcie chirurga", stanowiące najświętszą relikwię kryptozologii, w rzeczywistości było oszustwem dokonanym wspólnie przez skompromitowanego łowcę przygód, jego dwóch synów – naturalnego Iana i przybranego Christiana – oraz przyjaciół rodziny: brokera Maurice'a Chambersa i rzekomego twórcy fotografii doktora podpułkownika Roberta Wilsona. Wedle słów Spurlinga jego ośmieszony i rozgoryczony odkryciem wcześniejszej mistyfikacji ojczym wraz z synami sporządził model szyi i głowy plezjozaura o wysokości 30 cm, który następnie zamontowali do nakręcanej zabawki – łodzi podwodnej i puścili na przybrzeżne wody, po czym sfotografowali. Na koniec, by ukryć dowody, Spurling kopniakiem posłał fałszywego potwora na dno. Klisze ze zdjęciami spiskowcy przekazali Wilsonowi, który zaniósł je do warsztatu fotograficznego, wywołał i wysłał do redakcji „Daily Mail", która je upubliczniła. Cała intryga miała na celu zemstę na redakcji gazety, którą Wetherwell oskarżał o swój upadek. Jednakże zdjęcie szybko stało się tak sławne, że cała sprawa wyrwała się całkowicie spod kontroli autorom mistyfikacji, którzy ostatecznie postanowili milczeć na ten temat. Dopiero na łożu śmierci ostatni z nich postanowił wyznać prawdę.

Tak więc najprawdopodobniej tajemniczy lokator jeziora Ness istnieje, podobnie jak dawniej zamieszkujące ten akwen kelpie, wyłącznie w ludzkiej wyobraźni. Są zresztą nawet teorie głoszące, iż doniesienia o spotkaniu z bestią są pochodną dawnych celtyckich wierzeń, które dostosowały się do nowej epoki, w efekcie czego dawne podobne do koni wodne demony przemieniły się w bardziej pasujące do naszych racjonalnych czasów plezjozaury. Wygląda na to, że jedynym autentycznym potworem, jakiego można zobaczyć nad najsławniejszym jeziorem Szkocji, jest ogromny model stojący przed Ośrodkiem Wystawowym Loch Ness. Jeśli wrzucą mu Państwo do odpowiedniej dziurki 10 pensów, dziewięciometrowy warujący na wyspie pośrodku sztucznego stawu plezjozaur zacznie się ruszać, a Państwo będą mogli nakręcić sobie z nim film na komórce. Jak widać, nawet wśród romantycznych szkockich krajobrazów rzeczywistość skrzeczy. ■

eprasa.pl aca4cd9bff

Marek Kalinowski

W gwiazdorskich duetach

Alexandre Tharaud zgromadził na jednej płycie gwiazdorski skład współczesnych pianistów. W duetach z Bruce Liu, Beatrice Raną czy Vikingurem Ólafssonem wykonuje znane i lekkie utwory muzyki klasycznej, wprost idealne na wakacyjny repertuar. Płyta „Four Hands" może być również pretekstem do odkrycia zarówno bogatego repertuaru Tharauda, jak i nowych, solowych albumów zaproszonych gości.

Francuski pianista Alexandre Tharaud ma w swojej dyskografii ponad 20 solowych płyt i opanowany olbrzymi repertuar. Najnowszy krążek można więc potraktować jako powrót do dzieł lubianych i doskonale znanych, wraca jednak do nich w poszukiwaniu czegoś zupełnie nowego. Do wspólnego grania zaprasza wybitnych pianistów, mając absolutną rację, że duet fortepianowy jest jednym z cudów życia i najintymniejszą formą muzyki kameralnej. Spotkanie przy jednej klawiaturze jest bowiem niepowtarzalną okazją, by doświadczyć charakteru i wrażliwości partnera, a przy okazji być gotowym na nowe odkrycia w znanym materiale.



Alexandre Tharaud & friends, FOUR HANDS, Warner Classics/ERATO

Tharaud grał Chopina od najmłodszych lat, nagrał też trzy płyty z muzyką polskiego kompozytora. Z pewnością mógłby to być wspólny wątek do rozważań z młodszym o trzy dekady Koreańczykiem Bruce Liu, zwycięzcą ostatniej edycji Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego. Tym bardziej że dopiero co ukazały się dwa single Liu z etiudami Chopina, dające przedsmak jego nowej płyty. Jeśli nawet Chopin mógł połączyć obydwu pianistów, to nie znajdziemy tego śladu na płycie Tharauda. Przedmiotem ich wspólnej gry jest bowiem popularny z wersji orkiestrowych „Taniec Węgierski nr 5", pierwotnie napisany przez Brahmsa na fortepian, na cztery ręce. W szybkim tempie narzuconym przez Tharauda, Liu zręcznie i z lekkością oddaje też niuanse tej pięknej melodii.

Nie mniej przyjemności dostarcza nam wykonanie „Libertanga", arcydzieła Astora Piazzolli na cztery ręce z Beatrice Raną. Dla włoskiej pianistki rok 2024 jest szczególnie udany. Dopiero co ukazała się przecież jej znakomita solowa płyta z sonatami Chopina i Beethovena. Występ na „Four Hands" Tharauda mógł być pretekstem, by popuścić nieco wodze fantazji i oddać się temu, co spotkanie przyniesie. Wykonawcy uciekają więc od zapisu Piazzoli, czerpiąc z utworu maksymalną radość, która musi się udzielić także słuchaczom.

Krótka Kantata nr 106 Bacha przynosi nagłą zmianę nastroju, wytrącając nas spośród tanecznych brzmień Brahmsa i Piazzoli. „Bach jest w centrum muzycznego świata" – deklarował przed laty Tharaud, oddając w ręce słuchaczy nagrania „Wariacji Goldbergowskich". Nagrania Bacha traktuje jako doświadczenie zmieniające życie. Ciekawe, że w Kantacie partneruje mu David Frey, który również solową płytę z „Wariacjami" ma już za sobą, a za chwilę przy fortepianie mamy okazję usłyszeć znanego Islandczyka Vikingura Ólafssona, który jest świeżo po premierze własnych nagrań „Wariacji Goldbergowskich". Pretekstem do spotkania z Ólafssonem nie jest jednak muzyka Bacha, lecz „Tańce Norweskie" Edvarda Griega.

Dobrze, że na płycie znalazło się miejsce na tak szeroki repertuar, w tym zupełnie współczesne utwory. Przy kompozycji Philipa Glassa doskonale sprawdziłby się również Ólafsson, lecz każdy z zaproszonych przez Tharauda gości ma okazję towarzyszyć wyłącznie przy jednym utworze. Nie ma jednak powodów do żalu, bo wyborny duet z Vanessa Wagner jest naprawdę wart zapamiętania.

Proszę spróbować powrotu do tych arcydzieł muzyki klasycznej, tym bardziej że wspomniane utwory i wykonawcy to zaledwie ułamek tego, co album jeszcze oferuje. ■

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl aca4cd9bff

Polska dusza, polski garb. Po odejściu Ernesta Brylla



Krzysztof Wołodźko

Zmarły w marcu 2024 roku Ernest Bryll dał polskiej mowie poezję religijną, ludową, marchołtową. Wpisał się na dobre do rodzimej popkultury opowieściami o miłości, nadziei, trudach życia. W jego miłości do Irlandii było współodczuwanie przybysza z kraju, który dobrze poznał smak cudzej, żelaznej woli. I smak słów, które mają z obcymi mocami zmagać się w nierównej walce.

eprasa.pl aca4

Komu w pamięci nie zatarły się jeszcze pierwsze dni po śmierci Ernesta Brylla, ten wciąż widzi, czuje i słyszy „Psalm stojących w kolejce" w wykonaniu Krystyny Prońko, piosenkę „Peggy Brown", spopularyzowaną przez Myslovitz, a wcześniej graną przez Dwa Plus Jeden. I wiersz, nad którym kilka lat temu pochylali się maturzyści i maturzystki: „Bądźmy dla siebie bliscy, bo nas rozdzielają". Łączył niskie i wysokie, religijność i frywolność, zmysłowość splecionych ludzkich ciał i ciężar Pańskiego grobu. W 2012 roku w wywiadzie z Dorotą Giebułtowicz dla dwumiesięcznika „Bunt Młodych Duchem" mówił: „Właściwie jest niemożliwe to, w co wierzymy. Chrześcijaństwo jest jedyną religią monoteistyczną z wielkich religii, która zakłada oksymoron, niemożliwość. Bo myślę, że gdyby to było tylko wymyślone, to by było o wiele bardziej logiczne". W jego poezji, pisanej językiem prostym, poświęconej nierzadko rzeczom przyziemnym, mistyczny ton był jak ciepła barwa słonecznych promieni – porannych, południowych, wieczornych. Aż po zmierzch, aż po ciemną noc duszy.

„Wesz mu lazła po kurtce jak order bojowy"

Los jego rodziny dobrze wpisuje się w skomplikowane polskie dzieje. Poeta urodził się w Centrum Szkolenia Sanitarnego Wojska Polskiego, późniejszym Szpitalu Ujazdowskim, 1 marca 1935 roku. Jego ojciec, Stanisław, pochodził z Kujaw, był dyplomowanym podoficerem zawodowym, kształcił się w Szkole Podchorążych Piechoty w Komorowie. Matka, Helena z Soboszyńskich, urodziła się w Hagen Boele w Westfalii, pochodziła z Olendrów: „pisała po polsku, liczyła po niemiecku". W biograficznej książce „Ten Bryll ma styl", pióra Dariusza Michalskiego, czytamy o przybyszach z Niderlandów z XVI–XVII wieku: „Przyszli i już zostali, osiedlili się od Grudziądza po Żuławy. Byli specjalistami od polderów, tam, regulowania rzek, od młynów wodnych. […] Czy byli menonitami? Istnieje taka legenda. Później dorobili się majątków, pożenili z Polkami i zostali zaciętymi Polakami, większość wybita przez Niemców".

We wrześniu 1939 roku Stanisław Bryll bił się, bił się krwawo. Wojna zasiała w jego kilkuletnim synu niepokój. I pamięć o suchych, gorących polskich drogach tamtej jesieni. Po latach napisał wiersz o ojcu, który wrócił z rozbitej armii gen. Franciszka Kleeberga: „Aż w późnym listopadzie – zbielały od szronu/ mój ojciec z polskiej wojny powrócił do domu/ Siedział pod starą gruszą, na twarz zsunął czapkę/ Jakby się wstydził spojrzeć na mnie i na matkę/ […]/ Powoli łamał w palcach biedny chleb razowy/ Wesz mu lazła po kurtce jak order bojowy".

Później ojcowska służba w Armii Krajowej, przesłuchanie przez NKWD, gdy „wyzwoliciele" brali Polskę jak swój łup w drodze na Berlin, rodzinna tułaczka przez skrwawiony kraj. I powojenny życiowy port w Gdyni. Ernest trafił do gimnazjum jezuitów, ale szkołę wkrótce odebrano zakonnikom, maturę zdał jako szesnastolatek, na studia dziennikarskie się nie dostał, zaciążyła przeszłość ojca. W 1951 roku poszedł do pracy w elektrowni portowej w Gdyni, tam spotkał się z przedwojennymi PPS-owcami, którzy z dumą mówili o sobie „polscy socjaliści" i łudzili się, że komuniści prędzej niż później zabiorą się z radzieckimi sołdatami do swojej prawdziwej ojczyzny. I wtedy też zaczęła się bryllowa poezja, kontakty z Kołem Młodych przy Związku Literatów Polskich. Na Bałtyku oprócz sztormów groziły wówczas poniemieckie miny. A on napisał wiesz o ciężarnej żonie rybaka, która czeka, czy mąż wróci z połowu. I czy dziecko, „co się narodzi/ Znać będzie ojca tylko/ Z wiszącej na zimnej ścianie/ Żałobnej fotografii".

Bryll, Broniewski i Ikar

A później studia polonistyczne w Warszawie i studium wiedzy filmowej przy łódzkiej filmówce. I wiersze, coraz więcej wierszy. W tomie „Zapiski", poezji z lat 1958–1996, po kilkudziesięciu kartach znajdziemy jeden z najsłynniejszych wierszy Brylla, nawiązujący do płótna Pietera Bruegela Starszego „Pejzaż z upadkiem Ikara": „Wciąż o Ikarach głoszą…": „Wciąż o Ikarach głoszą – choć doleciał Dedal/ jakby to to nikłe pierze skrzydłem uronione/ chuda chłopięca noga zadarta do nieba/ – znaczyła wszystko". W 1961 roku Bryll poznał poetę, który upadł z bardzo wysoka – Władysław Broniewski zaprosił go jako gościa na swój wieczór autorski w Płocku. „Sala nabita ludźmi, którzy go kochali. On im wspaniale czytał swoje wiersze, ja, ten młody […] wypiszczałem cienkim głosem chyba dwa swoje". Później wspólna podróż pociągiem i rozmowa o „Poemacie o Stalinie". Rewolucyjny poeta miał się zarzekać: „Jestem taki głupi, że jak mnie biją w mordę, wtedy mam charakter i jestem twardy. Wtedy jestem sobą. A jak przyszli do mnie, mówią, że nowa Polska, ogłupili – to napisałem".

Zbigniew Herbert, Stanisław Grochowiak również ważyli antyczny mit na poetyckich szalach. W czasach PRL polska inteligencja, wychowana jeszcze na przedwojennych wzorcach, nierzadko sięgała po klasyczne dziedzictwo europejskiej kultury. Dawało ono dobry pretekst, by pokazać głębię polskiego ducha i zmierzyć się ze współczesnością. Pomagało stawiać pytanie o grozę dziejów, sposoby oszukania zwycięskich

FOT. ANDRZEJ RYBCZYŃSKI/PAP

eprasa.pl aca4cd9bff

wrogów i podłej historii, konfrontowało heroizm nielicznych z coraz dłuższą „życia szyją" tych, którzy przystali na powojenną Polskę. Bryll wstąpił do PZPR w 1965 roku, rzucił legitymacją partyjną po wprowadzeniu stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku. Budował swoją karierę w PRL, ale rozkochał się w pierwszej „Solidarności" i dzięki „Kolędzie – nocce" (1980 rok) i „Wieczernikowi" (1984 rok) stał się jednym z jej bardów.

„Wstrząśnij się, dźwignij i zażądaj czego"

Z biegiem lat w jego egzystencjalnej poezji, w której nie brak odwołań do polskich losów i trudnych pytań współczesności, coraz mocniej przebija duchowa, religijna nuta. Na początku jako namysł nad tragedią powstańczej Warszawy, jak w wierszu „Modlitwa" z końca lat 60.: „Kto sobie ciemne sądy sprawować pozwoli/ nad tym, czy słuszne było, że ginęli razem/ ojcowie nasi zadławieni gazem/ na szubienicach wysokich wieszani/ kryjący się pod brukiem, walczącymi zębami". Są i wiersze jak rachunek sumienia: „Jeżeli nie zabijałem to chciałem zabijać/ jeżeli nie zdradziłem to byłem jak żmija/ Która pośrodku trawy próżno się jadowi/ I nie ma szczęścia by kogo ułowić/ Jeżeli ręce myłem to myłem jak Piłat/ W wodzie cierpliwie cichej co wciąż nie krwawiła".

Czasem ludowa religijność i duchowość, bliższa zafrasowanym, przycupniętym, przydrożnym świątkom niż Chrystusowi z wysokich przykościelnych krucyfiksów, służy mu jak lustro, które z przyganą stawia przed rodakami: „Boże nasz polski drzewny, frasobliwy/ Folklorzasty, milczący, nigdy nierychliwy/ Wysiadujący po kapliczkach swoich/ Że coś tam przyjdzie, zmiele się, ukoi/ Boże nasz miętki z zakącia, z zapiecka/ Wstrząśnij się, dźwignij i zażądaj czego". Ten ostatni wiersz to już 1977 rok. Za chwilę zacznie się pontyfikat Jana Pawła II i pierwsza „Solidarność". Jakby Bóg – wedle romantycznych, heterodoksyjnych wzorców – posłuchał poety, dźwignął się i pośród niesnasek uderzył w dzwon.

Piękno i tragedia Irlandii

Jeszcze w latach 70. Ernest Bryll zachwycił się irlandzką kulturą, językiem i poezją. Jej owocem jest m.in. wybór wierszy irlandzkich z XIII–XIX wieku, „Irlandzki tancerz". I album muzyczny pod tym samym tytułem, wydany przez Wifon w 1979 roku. Mamy także wydaną znacznie później erudycyjną, osobistą książkę „Irlandia. Celtycki splot", pióra poety i jego żony, Małgorzaty Goraj-Bryll. Jej autor skrupulatnie przypomina chronologię: „Najpierw zachłyśnięcie się poezją irlandzką, potem sukces longplaya i widowiska »Irlandzki tancerz«, wreszcie teka ambasadora Rzeczypospolitej Polskiej w Republice Irlandii. Lata 1977, 1981, 1991". Zaczęło się od londyńskich czasów poety – w latach 1974–1978 był dyrektorem Instytutu Kultury Polskiej w Londynie: „W piwiarni poznałem, mogę nawet powiedzieć, że bardzo szybko się zaprzyjaźniłem, z dwoma poetami irlandzkimi: Seamusem Heaneyem i Brendanem Kennellym. Pisali po angielsku, obydwaj przetłumaczyli na angielski starą poezję irlandzką, wydali, każdy osobno, jej antologie".

Brylla zachwyciła poezja podbitego narodu, jego rodzimy język, straszliwie doświadczony przez brytyjskie podboje. W „Irlandzkim tancerzu" znajdziemy wiersze miłosne i erotyki (warto porównać wersję „Peggy Brown" z tego tomiku z wersją śpiewaną przez Myslovitz), lamenty po najdroższych zmarłych, płacz wygnańców z ojczyzny, średniowieczne religijno-egzystencjalne metafory życia jako doczesnego więzienia, nad którym świeci światło Chrystusa, skargi na zły los utkany przez polityczną niewolę, nostalgiczne wspomnienia starych, pełnych wolności czasów. I ni to proroctwa, ni to przekleństwa: „Czas zwycięży nad nami, wiatr rozpędzi wszystko/ Aleksandry, Cezary – imperia skrwawione/ Troja, Rzym niezdobyty padły w rumowisko/ I nawet Anglie kiedyś będą obalone".

Bryll tłumaczy nie zawsze dla nas oczywisty dramatyzm sytuacji: „Przez dziesiątki, setki lat na Zielonej Wyspie sytuacja była taka, że większość Irlandczyków swojej poezji nie była w stanie przeczytać, bo nawet ci, którzy mówili irlandzkim mówionym, mówili dialektami tak dalekimi, że nawet sami siebie nie rozumieli. To tak, jak byśmy naszą poezję, od Kochanowskiego po Leśmiana, musieli czytać w tłumaczeniach po niemiecku czy po rosyjsku. To był zresztą dramatyczny okres zmiany języka w Irlandii na angielski, wyzbywanie się w XVII i XVIII wieku języka celtyckiego". Bryll mówi o Kochanowskim i Leśmianie. Wyobraźmy sobie jednak, że w XIX wieku nie powstaje wielka polska poezja romantyczna, polszczyzna ulega pod ciężarem języków zaborców. I przestaje być życionośną rzeką polskości.

„Czułem wiatr, energię i dumę"

Wróćmy do Polski. Jego żywiołem była także popkultura. Do jego tekstów śpiewali najlepsi, najpopularniejsi: Skaldowie, Stan Borys, Halina Frąckowiak, Marek Grechuta, Halina Kunicka, Bernard Ładysz, Czesław Niemen, Jerzy Połomski, Krystyna Prońko, Łucja Prus, Danuta Rinn, Maryla Rodowicz, Urszula Sipińska. Krytycy i koledzy poeci w niego wątpliwi. Ale to właśnie jego „Kolęda

eprasa.pl aca4cd9bff

– nocka", pokazująca pełne nadziei Wybrzeże i Polskę w chwili narodzin „Solidarności", stała się artystycznym symbolem czasów solidarnościowego przełomu. Muzycznym misterium, pogrzebanym pod ciężarem stanu wojennego. Najpierw był „Polaków portret własny", a później spektakl z muzyką Wojciecha Trzcińskiego, który powstał w ciągu niemal 40 dni. Próby w Teatrze Muzycznym zaczęły się w listopadzie 1980 roku, prapremiera dla „Solidarności" miała miejsce 17 grudnia. Bryll wspominał: „Pamiętam moment, gdy pisałem »Kolędę – nockę«. Ludzie mieli poczucie, że mogą być lepsi i więksi, niż im dotąd pozwalano. Starali się. Ja sam starałem się być większy, niż jestem, czułem wiatr, energię i dumę".

Inteligent, który wżył się w Warszawę i miał za sobą dekady stołecznej kariery i kilka dostatnich lat w Londynie, sprostał wyzwaniu. Podczas pracy nad musicalem był na Śląsku, w Katowicach, przyglądał się życiu górników. Nie bez powodu krytycy pisali później, że w „Kolędzie – nocce" „cały naród chodzi ze zmęczenia jak garbaty". Wojciech Trzciński nieco wcześniej odwiedził też Stany Zjednoczone, był na Broadwayu. Ale zdawał sobie sprawę, że potrzebuje formy, która nie będzie naśladownictwem. Dlatego z reżyserem Krzysztofem Bukowskim zdecydował, że odpowiednie będzie oratorium, które pozwoli uciec spektaklowi zarówno od musicalu, jak i operetki. „Psalm stojących w kolejce", który wkrótce zaczął żyć własnym życiem, powstał jeszcze w 1978 roku, gdy rozpadał się gierkowski mit. Wiersz odrzucały kolejne czasopisma. W ogóle „Kolęda – nocka" wcale nie miała łatwego przyjęcia. Anna Walentynowicz uważała, że to zbyt smutne. Także inteligencka Warszawa kręciła nosem, krytycznie zrecenzowała spektakl „Polityka" („monstrualny kicz teatralny, oparty na często gęsto grafomańskim scenariuszu"); nie sprzedawały się bilety w Teatrze Wielkim. Ruszyło, gdy gdyńska „Solidarność" zaapelowała do ludzi z Ursusa i Huty Warszawa. Zapomniany, baśniowy moment: robotnicy weszli na salony. Dosłownie i w przenośni: zachwyceni spektaklem „zaczęli iść w stronę sceny, żeby pobratać się z artystami".

Zapis polskiego życia

W latach 80. poezja Brylla była chyba najmocniej nasycona religijnymi treściami. Artysta nie tracił przy tym z oczu zwykłej Polski, złamanej stanem wojennym – smutnej, przerażonej, zahukanej, biedującej. W połowie tamtej dekady powstał właśnie wiersz „Bądźmy dla siebie bliscy…". I wiersze jak fotografie, które chwytały detal, zamieniając go w metaforę: „Co rano w sklepie zabłoconym/ Na chleb czekamy – długo stojąc/ Biegniemy niosąc chleb do domu/ Żeby na stole go rozkroić/ Tak rzadko czysty jest. Na ogół/ Zakalec w nim i cienie ziemi/ Ale wierzymy – przyjdzie znowu/ To rozmnożenie, przemienienie". Dziś gorycz tych wierszy może wydawać się nieznośna, ich nadzieja – zbyt trudna. Ale dobrze oddają ciężar tamtego życia. I często ich bohaterkami są kobiety: „Ona ma chwilę czasu, a więc sobie płacze/ Bo w płaczu tak głęboko można odpoczywać/ Twarz w nim zanurzyć, powieki obmywać/ I w lustro patrzeć/ […]/ W ciasnej łazience gęsto rozwieszone/ Mokre koszule jak spocone ciała/ A ona patrzy w lustro./ […]/ Jakie szczęście – dziś jest dozwolone/ Patrzeć jak łzy spadają".

Czasem ludowa religijność i duchowość, bliższa zafrasowanym, przycupniętym, przydrożnym świątkom niż Chrystusowi z wysokich przykościelnych krucyfiksów, służy mu jak lustro, które z przyganą stawia przed rodakami.

Kto chce przejść poetycką drogą Ernesta Brylla, powinien sięgnąć po trzy tomy jego wierszy wybranych, nakładem Instytutu Literatury i Edycji Świętego Pawła: „Zapiski" (1958–1996), „Szara godzina" (2000–2015), „Ma się ku wieczorowi" (2014–2020). Im bliżej naszym czasom, tym więcej w poezji Brylla refleksji nad upływem czasu. Pojawiają się pytania, na co zwrócił uwagę prof. Andrzej Nowak, czy spokojna epoka dana jest na zawsze, czy znów nie nadciąga dziejowa ciemność. Wiele jest wierszy, w których pojawia się dom, jako miejsce żywe i jako wspomnienie. Poezja Brylla, z jej wspaniałościami i chropowatościami, jest poematem o duszy polskiej, zapisem naszego życia i rozterek, wzlotów i upadków powojennych dekad. Przynosi niezwykłą ciągłość – radzi sobie nawet z przepoczwarzeniem PRL w III RP, wiersze z czasów ustrojowego przełomu pokazują polskie społeczeństwo w czasach zmiany.

Bryll odszedł u progu zupełnie nowej epoki. To rzecz wymowna. ■

eprasa.pl aca4cd9bff





Krzysztof Karnkowski

Z kamerą w szkole i przedszkolu

Najkorzystniejsza ocena, na którą jest mnie stać po seansie filmu „Piep*zyć Mickiewicza", to taka, że nie jest to aż tak fatalny film, jak można by się spodziewać. Tylko tyle i aż tyle, z naciskiem na „tylko".

Zarówno scenarzysta filmu, Kacper Szymański (40 l.), jak i jego reżyserka, Sara Bustamante-Drozdek (32 l.), nie mają na koncie zbyt bogatej filmografii. Pracowali głównie przy serialach i komediach romantycznych, można by więc uznać, że biorąc się za „Piep*zyć Mickiewicza", podjęli się najbardziej ambitnego w swojej karierze zadania. Czy sobie z nim poradzili? Film zbiera recenzje fatalne, nie brak też osób, które odrzucił od niego sam tytuł. To sprawia, że przekornie miałbym ochotę tej produkcji Netfliksa bronić. Problem w tym, że to niełatwe.

Po co te zachodnie kalki?

Pomysł fabuły nie jest oryginalny. Nauczyciel, który sam mógłby uchodzić w swoim środowisku za outsidera, trochę przypadkiem trafia na najgorszą, najbardziej zbuntowana klasę w całej szkole i znajduje z nią wspólny język. Oczywiście pokazując przy tym, że trochę jest nawet jednym z nich – powie coś tym samym językiem, a nawet zaproponuje imprezę, finalnie jednak pomoże w kłopotach i jakoś tam wyprowadzi na lepszą drogę. Oczywiście pokazując przy tym swoim kolegom, że ta najgorsza młodzież wcale nie była taka zła. Czasem przybierze to formy żenujące, jak wtedy, gdy pan od polskiego zaczyna rapować, a młodzież jest tym faktem zachwycona. A przecież powtarza się często, że młodzi ludzie najgorzej reagują na fałsz. Być może, lecz na pewno nie w tej opowieści.

Trudno w pisaniu o tym filmie uniknąć spoilerów, ale powiedzmy sobie szczerze, każdy inny obraz na ten temat sam w sobie jest spoilerem. „Młodzi gniew-

eprasa.pl aca4cd9bff

ni", w pewnym stopniu „Stowarzyszenie umarłych poetów" dają nam odpowiedzi na pytanie, co zobaczymy za chwilę. I wszystko się sprawdza, nawet jeśli dochodzi do tego jakiś element bardziej polski – bandzior celebryta czy całkiem sporo osób duchownych na ekranie. I tu jeden z pozytywów – nie ma tu żadnego tandetnego antyklerykalizmu, który tanim kosztem poprawiłby pewnie branżowe oceny filmu. Mamy tu księży mówiących szczerze o swoich problemach, by pomóc innym, wciąż jeszcze z pozycji jakiegoś autorytetu; mamy też zakonnice, których wychowankiem okazuje się być jeden z głównych bohaterów, wrażliwy chłopak, w szkole pozujący dla świętego spokoju na największego chuligana. I znów wtrąca problem fałszu. Łobuzów mamy w filmie wielu i chyba żaden z nich nie jest autentyczny, to raczej chaotyczne kalki z zachodnich seriali i współczesnych wyobrażeń. Niewiele lepiej wypadają dziewczyny, te mroczne i zbuntowane i te po staremu tandetne i puszczalskie. Choć – i tu jeden z oszczędnych ukłonów w stronę twórców, wątek próby uwiedzenia nauczyciela przez jedną z takich uczennic zostaje rozwiązany całkiem pomysłowo, choć nie wiem, czy wiarygodnie. Ta sztuczność młodzieży trochę dziwi, ponieważ i scenarzysta, i reżyser nie są przecież przesadnie wiekowi, specjalnie na początku tekstu podałem ich wiek. Tymczasem cały czas nie sposób uciec od wrażenia, że „zapomniał wół, jak cielęciem był", że wygodniej jest sięgnąć po nieprzystające klisze z Zachodu, niż przypomnieć sobie siebie sprzed 20 lat. To zresztą chyba stały problem: młodzi ludzie nie mają środków, by tworzyć relatywnie wysokobudżetowe produkcje o młodzieży i dla niej; gdy są starsi i mogą się tym zająć, po prostu nie są już młodzi.

Prywatne skojarzenie

Zostawiłem sobie jeszcze jeden dość ważny, niepomagający w dobrej ocenie filmu szczegół. Dawid Ogrodnik jest aktorem, który raz daje sobie radę lepiej, raz gorzej, mam jednak wrażenie, że obsadzenie go akurat tutaj było pomysłem szalenie zachowawczym. Danie jego bohaterowi nazwiska „Sienkiewicz" to już po prostu bieda. Nad filmem unosi się jednak duch zupełnie innego pisarza, i to budzi we mnie jeszcze bardziej mieszane uczucia. Jako osoba urodzona jeszcze w PRL, zdążyłem wychować się na powieściach dla młodzieży pisanych przez Edmunda Niziurskiego. Niziurski, twórca, który zaczynał od powieści socrealistycznych (i zaskakująco broniących się mimo nieznośnej ideologizacji po latach), szybko wypracował sobie styl, w którym młodzieżowa, uczniowska farsa stanowiła narzędzie do przekazywania rozmaitych pedagogicznych treści. Często potężna, emocjonująca intryga i rywalizacja opisywanych przez niego dzieciaków finalnie okazywała się po prostu kluczem do lepszych wyników w nauce. I o ile zawsze bardzo lubiłem tę mniej pedagogiczną część fabuły, o tyle dobrze pamiętam uczucie rozczarowania przy odkrywaniu sporej części rozwiązań. Choć, trzeba przyznać, i z tego Niziurski stopniowo rezygnował. Jego książki bywały ekranizowane, choć nie za często. W późnych latach 90. na ekrany weszła „Spona", czyli filmowa wersja „Sposobu na Alcybiadesa", jeden z gorszych, bardziej sztucznych i pretensjonalnych filmów w dziejach naszej kinematografii. Niestety, „Piep*zyć Mickiewicza" kojarzy się i z fatalnym filmem z 1998 roku, i z tym, co w bardzo fajnym pisarstwie Niziurskiego było jednak najgorsze.

Twórcy chyba chcieli dobrze

Pozostaje jeszcze kwestia tytułu… Prowokacja, która nikogo nie prowokuje, polegająca na użyciu wulgaryzmu, który od kilkudziesięciu lat nie jest już wulgaryzmem. Gdy w 1990 roku Muniek Staszczyk śpiewał pamiętny wers „zielony Żoliborz, pieprzony Żoliborz", stacje radiowe nie były zgodne, czasem wypakowując jego przedostatnie słowo, czasami nie. Dziś nikt z recenzentów filmu nie posługuje się wersją tytułu zaproponowaną przez producentów i wszyscy piszą ją bez gwiazdki, czyli bez niepotrzebnej autocenzury.

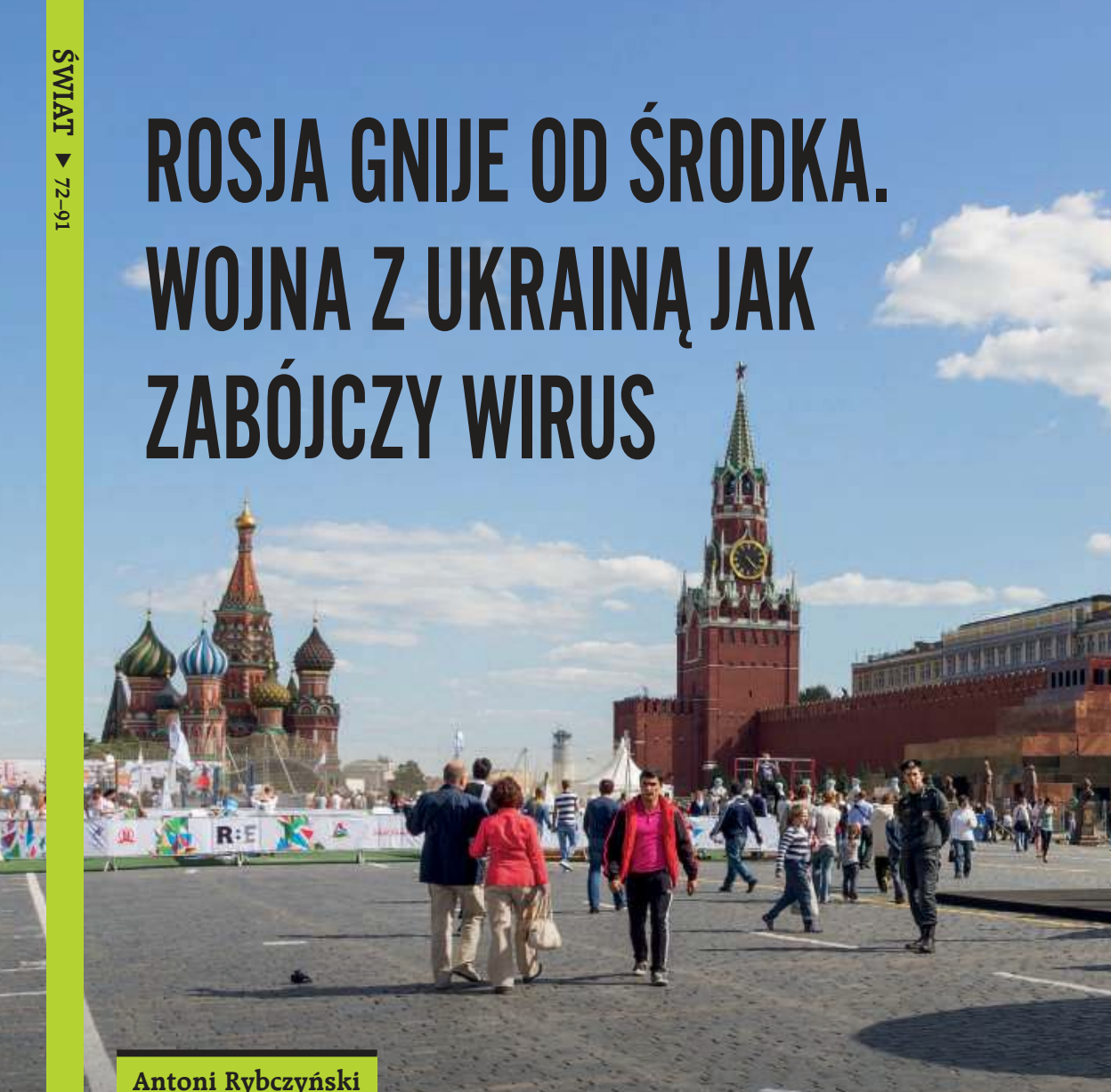
Czym więc film się broni? Myślę, że tym samym, co jest jego największym problemem: twórcy chyba chcieli dobrze. Dorośli, ukazani schematycznie, nie rozgrzeszają każdego zachowania młodzieży. Film nie wciska też na siłę różnorodności w korporacyjnym, amerykańskim rozumieniu i w tym jednym jest wreszcie jakiś cień autentyzmu pokazanego świata.

Perspektywa obejrzenia nowego polskiego filmu o szkole sprawiła, że wcześniej postanowiłem zgodnie z naturalną kolejnością edukacji obejrzeć starszą (premiera miała miejsce w grudniu 2022 roku) produkcję „Noc w Przedszkolu". I o ile „Piep*zyć Mickiewicza" nie rozczarowało mnie głównie dlatego, że i tak spodziewałem się najgorszego, o tyle ten film Rafała Skalskiego niespodziewanie całkiem mi się spodobał. To historia grupy ludzi, która zebrana w tytułowej placówce ma przygotować jasełka, a równocześnie przeprowadzić intrygę mającą na celu pozbycie się kłopotliwego podopiecznego. W tej opowieści moją uwagę zwróciło to, jak po nowoczesnemu potłuczeni i powichrowani bohaterowie finalnie dążą do poukładania swoich toczonych na zgliszczach konserwatywnych wzorców zachowań w zaskakująco tradycyjny sposób. Nawet jeśli sam reżyser nie to miał na myśli, to akurat mnie najbardziej ujęło. ■

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl aca4cd9bff

ROSJA GNIJE OD ŚRODKA. WOJNA Z UKRAINĄ JAK ZABÓJCZY WIRUS



Antoni Rybczyński

Odkąd ruszyła pełnoskalowa inwazja na Ukrainę w lutym 2022 roku, Rosjanie nie tylko piją coraz więcej, lecz także popełniają więcej morderstw i dopuszczają się częściej przemocy domowej. O 62 proc. wzrosła też liczba przestępstw przeciwko nieletnim. Mimo to wiosenna seria badań opinii publicznej pokazuje wzrost poparcia Rosjan dla wojny z Ukrainą, co znajduje również odzwierciedlenie we wzroście odsetka respondentów skłonnych poprzeć drugą falę mobilizacji.

eprasa.pl.aca4cd9aff



FOT. WIKIMEDIA COMMONS

eprasa.pl aca4cd9bf

Aleksandr Kuźmin mieszka w Tatarstanie. Od młodych lat był na bakier z prawem. Za pobicie policjanta w 2008 roku poszedł do pudła na sześć lat. Wyszedł i niemal od razu dostał trzy lata w zawiasach za pobicie. Chwilę potem – 12 lat za trzy pobicia, dwie groźby zabójstwa i za zabójstwo. Powinien siedzieć do 2027 roku. Wyszedł na jesieni 2022 roku, ułaskawiony przez Putina, walczyć w szeregach Grupy Wagnera. Nawet został ranny na froncie. Ostatniej zimy Kuźmin w uniformie wagnerowca przyjechał do wioski, do swojej dziewczyny. Nie chciała go wpuścić. Kuźmin wziął łopatę i wybił okno, po czym Alfija zgodziła się otworzyć mu drzwi. Skąd ta agresja mężczyzny? Później, przesłuchiwany przez policję, Kuźmin powiedział, że konflikt zaczął się z powodu zazdrości. Rzekomo jego dziewczyna zaczęła chodzić na boki. Skąd to wiedział, skoro był na wojnie? Koleżanka do niego zadzwoniła... Wróćmy do wydarzeń we wsi Nadieżdino. Kuźmin wtargnął do domu, po czym – tutaj oddajmy głos aktom sądowym – „co najmniej 19 razy uderzył kobietę pięściami, a następnie wziął nóż myśliwski w kuchni i wykonał co najmniej siedem cięć na jej twarzy, szyi i klatce piersiowej. Kiedy wyszedł z domu, przykrył nieprzytomną kobietę szlafrokiem, »żeby było jej ciepło«". Następnego ranka wrócił do domu swojej dziewczyny, zobaczył, że nie żyje, wezwał taksówkę i wyjechał. Ekspertyza wykazała, że kobieta zmarła z wychłodzenia. Dom, w którym Kuźmin ją zostawił, był ogrzewany piecykiem na drewno. Z powodu wybitego okna kuchenka szybko wygasła. W kwietniu zapadł wyrok: osiem lat kolonii o zaostrzonym reżimie. Sąd, wydając wyrok, uznał za okoliczność łagodzącą fakt, że mężczyzna „brał udział w działaniach powierzonych Siłom Zbrojnym Federacji Rosyjskiej" i został ranny.

Recydywiści terroryzują sąsiadów

Nie, to nie jest coś wyjątkowego we współczesnej Rosji. Tysiące Rosjan poszły na wojnę tylko po to, by wydostać się z kolonii karnej. Po powrocie do domu wielu z nich wróciło do rabowania, gwałcenia i zabijania. Artiom Samiedow, wcześniej skazany za akty przemocy i spowodowanie ciężkiego uszczerbku na zdrowiu, trafił do kolonii karnej w 2020 roku za napad, rozbój i umyślne spowodowanie lekkiego uszczerbku na zdrowiu – pobił cztery kobiety podczas próby napadu. Otrzymał siedmioletni wyrok, ale nie odsiedział go – walczył w szerach wagnerowców i otrzymał prezydenckie ułaskawienie. Po powrocie do domu, pijany, próbował spotkać się z 18-letnią dziewczyną. Ta odmówiła, a wtedy mężczyzna dźgnął ją kilka razy nożem. Dziewczyna przeżyła. Później w sądzie tłumaczył to, co się stało, jako „konsekwencje wojny". Sąd wziął ten fakt pod uwagę jako okoliczność łagodzącą, podobnie jak odznaczenia państwowe. Samiedow otrzymał tylko sześć lat kolonii karnej.

Pod koniec kwietnia 2023 roku na Kubaniu w południowej Rosji zaginęli właściciel agencji eventowej i prowadząca w jego imieniu imprezy atrakcyjna 19-latka. Szukało ich ponad 500 wolontariuszy, o sprawie szczegółowo informowały lokalne i federalne media. Po paru dniach lokalna komenda policji poinformowała o aresztowaniu podejrzanych o zabójstwo zaginionych osób. Okazało się, że ofiary miały ogromnego pecha. Zepsuł im się samochód w pobliżu jednej ze wsi. A świadkami była trójka mężczyzn, która skorzystała z okazji. Zamordowali mężczyznę i kobietę, ciała ukryli, auto spalili, używając kart ofiar wypłacili około 200 tys. rubli. Prowodyrem był niejaki Demian Keworkjan, brutalny bandyta. W 2014 roku został oskarżony o zorganizowanie gangu, który atakował kierowców. Podstępem zatrzymywali auta, okradali kierowców i pasażerów. W jednym przypadku doszło do uprowadzenia i zabójstwa. W 2016 roku sąd rejonowy w Krasnodarze skazał Keworkjana na 18 lat kolonii karnej o zaostrzonym rygorze. Wspólnicy otrzymali od 8 do 22 lat więzienia. Gdy wagnerowcy zaczęli werbować więźniów na wojnę z Ukrainą, Keworkjan natychmiast się zaciągnął. Podpisał półroczny kontrakt. Wypełnił go i wrócił w rodzime strony. Teraz liczy na to, że po procesie trafi do tego samego łagru co kiedyś i znów wyruszy na wojnę.

W maju 2023 roku pojawiła się informacja o aresztowaniu trzech mieszkańców obwodu wołgogradzkiego, którzy grozili śmiercią miejscowemu biznesmenowi i żądali przerejestrowania na nich jego auta i sklepu. Cała trójka miała kryminalną przeszłość i wróciła do domu po udziale w wojnie w szeregach Grupy Wagnera. Biznesmen trafił do szpitala po tym, jak byli najemnicy włamali się do jego domu, grozili mu nożem, pobili i obrabowali. Jeden z bandytów w 2022 roku został skazany na 11,5 roku więzienia za pobicie ze skutkiem śmiertelnym. Już po sześciu miesiącach odbywania kary zaciągnął się do Grupy Wagnera i został nawet ranny na linii frontu. Teraz okazuje się, że ma na koncie nie tylko napad na biznesmena, lecz także groził śmiercią funkcjonariuszowi aresztu śledczego, wysyłał groźby śmierci do swojej byłej żony i nieletniej córki, a po ułaskawieniu groził śmiercią sędziemu, który wysłał go do kolonii.

Byli więźniowie zagrożeniem

Według danych Federalnej Służby Więziennej w 2023 roku liczba więźniów w rosyjskich koloniach spadła o rekordowe 58 tys. osób. Zmniejszenie liczby

eprasa.pl aca4cd9bff

więźniów wynika z rekrutacji do Grupy Wagnera, a następnie do jednostek Ministerstwa Obrony Storm. W styczniu 2022 roku, na krótko przed inwazją Rosji na Ukrainę, oficjalne statystyki mówiły o 465 tys. więźniach. Jesienią 2022 roku Federalna Służba Więzienna przestała publikować szczegółowe statystyki. W styczniu 2023 roku FSIN zaktualizowała oficjalne dane: 433 006 osób. Na front mogło zostać wysłanych około 200 tys. więźniów. Oznacza to, że proces zamykania kolonii karnych wiąże się głównie nie z humanizacją praktyki ścigania karnego w Rosji, lecz z masowym wysyłaniem więźniów na wojnę. Potwierdzono zamknięcie kilku kolejnych rosyjskich kolonii. Ubiegłego lata ministerstwo finansów zaproponowało zamknięcie 57 kolonii „z powodu niepotrzebnego marnotrawstwa": niektóre zakłady karne, zaprojektowane na przykład dla 1500 osób, w rzeczywistości mieszczą tylko 300 więźniów. Najważniejszym czynnikiem wpływającym na zmniejszenie liczby skazanych i więźniów jest wojna.

Rosja wysłała tak wielu ludzi na wojnę na Ukrainie, że poziom przestępczości w tym kraju spadł wkrótce po rozpoczęciu inwazji. Teraz ich powrót zaczyna wyzwalać falę przestępstw. Przestępstwa popełnione przez żołnierzy, które nie są związane z wojną, wzrosły w ubiegłym roku o ponad 20 proc., zgodnie z danymi rosyjskiego Sądu Najwyższego. Powrót rekrutów Grupy Wagnera do Rosji okazał się szokiem dla mieszkańców miast i wsi, którzy odkryli, że żyją wśród nich mężczyźni, o których myśleli, że odsiadują długie wyroki więzienia. Wśród ułaskawionych znaleźli się ludzie skazani za morderstwa, a nawet kanibalizm. Odkąd w lutym 2022 roku rozpoczęła się pełnoskalowa inwazja Moskwy na Ukrainę, brutalna przestępczość w Rosji wzrosła do poziomu wyższego niż kiedykolwiek w ciągu ostatniej dekady. W Rosji w 2023 roku popełniono rekordową liczbę poważnych i szczególnie poważnych przestępstw w ciągu ostatnich 12 lat. Zarejestrowano ponad 589 tys. takich przestępstw – ostatni raz ich liczba była wyższa w 2011 roku. Rosyjscy weterani powracający z Ukrainy spowodowali gwałtowny wzrost przestępczości, nawet bardziej niż weterani wojen w Afganistanie i Czeczenii. Polityka Kremla polegająca na rekrutowaniu żołnierzy zgodnie z liniami etnicznymi i łagodnym traktowaniu weteranów, którzy popełniają przestępstwa, potęguje ten problem.

Odkąd ruszyła pełnoskalowa inwazja na Ukrainę w lutym 2022 roku, Rosjanie nie tylko piją coraz więcej, lecz także popełniają więcej morderstw i dopuszczają się częściej przemocy domowej. W 2023 roku kupili w sumie 2,3 mld litrów wysokoprocentowego alkoholu, przekraczając wcześniej ustanowiony rekord 2,2 mld z 2022 roku. Z badań przeprowadzonych przez Moskiewski Państwowy Uniwersytet Medyczny wynika, że problem z alkoholem ma ponad 42 proc. ludności Rosji. Uwagę zwraca, że alkoholizm nie wiąże się ze statusem społecznym czy poziomem dochodów. Statystyki i wszelkie możliwe badania nie pozostawiają wątpliwości: w Rosji każda rodzina choć raz zetknęła się z problemem alkoholizmu. Wojna z Ukrainą doprowadziła nie tylko do wzrostu spożycia alkoholu w Rosji, lecz także wzrostu brutalnej przestępczości w całej Rosji (ponad 589 000 przestępstw w 2023 roku), najwyższego od 2011 roku. 80 proc. morderstw i przestępstw popełnianych jest w stanie upojenia alkoholowego. Rosyjskie media rozpisywały się o na przykład o sprawie z Niżnego Nowogrodu, gdzie weteran wojny na Ukrainie upił się, a potem zadźgał nożem żonę na oczach dwójki małych dzieci. Według oficjalnych statystyk regionami o największej przestępczości w 2023 roku były Komi, Karelia i Republika Ałtaju.

STATYSTYKI I WSZELKIE MOŻLIWE BADANIA NIE POZOSTAWIAJĄ WĄTPLIWOŚCI: W ROSJI KAŻDA RODZINA CHOĆ RAZ ZETKNĘŁA SIĘ Z PROBLEMEM ALKOHOLIZMU.

Weterani, alkohol, zbrodnie

Wszystkie wojny pozostawiają po sobie weteranów, którzy mają trudności z powrotem do cywilnego życia po przemocy, której doświadczyli. Rosja miała ten problem po wojnie w Afganistanie w latach 80. XX wieku, kiedy „afgańcy" wrócili do domu i wywołali falę terroru. Podobne doświadczenie miało miejsce po pierwszej i drugiej wojnie czeczeńskiej, a weterani tych konfliktów doprowadzili do wzrostu przemocy w całej Rosji. Kreml i kontrolowane przez państwo media regularnie bagatelizu-

eprasa.pl aca4cd9bff

ją te problemy. Zamiast tego wolą traktować weteranów jako klasę bohaterów, zamiast otwarcie dyskutować o szerzącej się przemocy i przestępczości. Kreml zaczyna martwić się problemami z powracającymi weteranami wojny na Ukrainie, ale nie ma jeszcze jasnego pomysłu na to, co zrobić. Zaangażowanie się w większe represje przeciwko weteranom, ulubiona taktyka reżimu Putina w innych przypadkach, może przynieść efekt przeciwny do zamierzonego. Takie podejście może zmniejszyć zdolność Moskwy do rekrutowania większej liczby żołnierzy i grozić wywołaniem większego gniewu wśród weteranów, którzy w niektórych przypadkach zostali uzbrojeni w wyniku polityki Moskwy i mogą podjąć działania przeciwko rządowi.

W ciągu pierwszych dwóch lat wojny na Ukrainie co najmniej 107 osób zginęło z rąk weteranów, którzy wrócili z frontu, a około 100 kolejnych zostało rannych. Szczególnie dotyczy to wagnerowców, a dokładniej skazańców, którzy w zamian za wolność poszli walczyć z Ukraińcami. Należy bowiem pamiętać, że więźniów na wojnę werbowała nie tylko Grupa Wagnera, lecz także robił to resort obrony, tworząc oddziały Storm-Z. W obwodzie kirowskim sąd skazał byłego najemnika Grupy Wagnera Iwana Rossomaszina na 22 lata kolonii za zabójstwo 85-letniej emerytki. W Orenburgu były najemnik Wagnera Kiryłł Smirnow otrzymał 18 lat więzienia za zaatakowanie sąsiada i zabicie matki przyjaciela. W Iżewsku inny były wagnerowiec Artiom Jegorow po powrocie z frontu zabił swojego przyjaciela i zadźgał jego dziewczynę, został skazany na 15 lat kolonii. W Nowosybirsku były wagnerowiec Siergiej Szachmatow otrzymał wyrok 17 lat kolonii za przemoc seksualną wobec dwóch uczennic. Szczególnie niepokoi właśnie rosnący wskaźnik morderstw i przypadki przemocy seksualnej, zwłaszcza wobec dzieci. Liczba przestępstw przeciwko nieletnim wzrosła o 62 proc. w porównaniu z okresem przedwojennym.

Głównym czynnikiem wzrostu przestępczości nie jest dostępność do nielegalnej broni, lecz raczej powszechne ubóstwo i rosnące spożycie alkoholu. Według raportu MSW, „około 40 proc. kobiet i 60 proc. mężczyzn regularnie spożywa alkohol", a 30 proc., czyli prawie co trzeci, nadużywa go". Wielu Rosjan, którzy popełniają przestępstwa, robi to pod wpływem alkoholu, co czyni go kluczowym czynnikiem wzrostu przestępczości; ale być może nawet ważniejsze, według raportu, jest ubóstwo, brak pewności co do przyszłości i poczucie, że ludzie na dole piramidy społecznej są traktowani niesprawiedliwie, a zatem mają prawo wziąć sprawy w swoje ręce.

▶ Rosjanie są za wojną

Przez półtora roku działań wojennych rosyjskie społeczeństwo przyzwyczaiło się do życia na tle brutalnego konfliktu zbrojnego. Ale właśnie – na tle. Szok wywołany częściową mobilizacją był silniejszy niż szok z 24 lutego 2022 roku, ponieważ oznaczał fizyczny udział obywateli w „operacji specjalnej" rozpoczętej przez władze, a nie ciche wspar-

Wzrost poparcia dla „specjalnej operacji wojskowej" i działań ofensywnych wojsk rosyjskich jest najprawdopodobniej związany zarówno z ogólną poprawą postaw społecznych, jak i zwiększoną wiarą w wyższość Rosji na polu bitwy.

cie. Wojna dotarła na terytorium Rosji – do regionów przygranicznych, do Moskwy, dla której drony i odwołane loty stały się rutyną. Ta pozornie zupełnie nowa rzeczywistość jest rzeczywistością, do której ludność przyzwyczaiła się dość szybko, poza tym, że było nieco mniej wyjazdów na Krym na wakacje. Wszystkie naiwne przewidywania, że pogorszenie jakości i standardu życia, półwojskowy stan na terytorium samej Rosji oraz sankcje, które uderzyły nie tyle w Putina i jego ekipę, ile w klasę średnią, wywołają taką falę niezadowolenia, że reżim albo zmięknie, albo sam się usunie w wyniku protestów, zawiodły. Oczywiście są ludzie niezadowoleni. Oczywiście są miliony przeciwników autorytaryzmu i rzezi, w tym ci, którzy otwarcie wyrażają swoje poglądy i stawiają opór. Są też tacy, którzy szczerze i agresywnie wspierają Putina. Ale większość populacji jest bezwładna; jest powolna i mechanicznie raczej popiera to, co robią władze.

Dzięki sesjom propagandowej terapii uspokajającej i pomocy materialnej państwo kupuje poparcie ludności. Jeszcze w lipcu 2022 roku 80 proc. respondentów mówiło o „dobrym" lub „normalnym, wyrów-

eprasa.pl aca4cd9bff

nanym" nastroju. Jednak pod koniec września 2023 roku liczba ta spadła do 52 proc. Udziały optymistów i pesymistów praktycznie się zrównały; takiej proporcji nie obserwowano od początku XXI wieku, kiedy kraj dopiero zaczynał wychodzić z kryzysu transformacyjnego. A tak gwałtownego spadku nastrojów nie zaobserwowano przez całe 30 lat regularnych obserwacji socjologicznych. Kolosalny stres związany z mobilizacją wiązał się z absolutnie niezrozumiałymi wówczas zasadami poboru. Odnosiło się wrażenie, że każdy może być wcielony do wojska, tzn. że działania wojenne na Ukrainie dotyczą teraz wszystkich. A ludzie nie chcieli być bezpośrednio zaangażowani w wojskowe inicjatywy władz. Nic dziwnego, że na tym tle wzrosła liczba zwolenników rozmów pokojowych. W tym samym czasie notowania Putina spadły, choć nieznacznie. Większość ludności zdaje sobie sprawę, że wojna na Ukrainie potrwa jeszcze długo, i woli dostosować się do nowych okoliczności. Mniej myśleć o historiach wojennych, a więcej o życiu prywatnym. Nie ogłaszając nowej mobilizacji wojskowej, władze są w stanie utrzymać obojętne i spokojne nastroje znacznej części obywateli.

Wiosenna seria badań opinii publicznej pokazuje wzrost poparcia Rosjan dla wojny z Ukrainą. W kwietniowym sondażu udział osób wyrażających poparcie dla wojny wzrósł z 52 proc. do 61 proc., podczas gdy w majowo-czerwcowych sondażach przeprowadzonych przez Centrum Lewady spadło poparcie dla idei przejścia do rozmów pokojowych i wzrosło poparcie dla działań ofensywnych na Ukrainie. Wzrost poparcia dla „specjalnej operacji wojskowej" i działań ofensywnych wojsk rosyjskich jest najprawdopodobniej związany zarówno z ogólną poprawą postaw społecznych, jak i zwiększoną wiarą w wyższość Rosji na polu bitwy. Zwiększone poparcie dla operacji wojennej na Ukrainie znajduje również odzwierciedlenie we wzroście odsetka respondentów skłonnych poprzeć drugą falę mobilizacji. Zmiana ta może prowadzić Kreml do przekonania, że koszty takiego posunięcia nie są tak duże, jak wcześniej sądzono.

Jak pokazują sondaże przeprowadzone w kwietniu i na początku czerwca, odsetek obywateli Rosji popierających wojnę na Ukrainie nieznacznie wzrósł wiosną 2024 roku. Powodem tego jest najprawdopodobniej ogólna poprawa nastrojów społecznych – ocena sytuacji materialnej rodziny, wiara w stabilność rosyjskiej gospodarki – a także wzmocnienie postrzegania przez respondentów sukcesu rosyjskich wojsk i rosyjskiej przewagi na polu bitwy. Pyta się respondentów, czy Rosja powinna kontynuować działania wojskowe, czy przejść do rozmów pokojowych. Od końca 2022 roku Centrum Lewady również okresowo zadaje takie pytanie. Jak widać, od połowy 2022 roku do jesieni 2023 roku udział zwolenników kontynuowania operacji wojskowych spadł z około 55 proc. do 40 proc., a nawet nieco niżej. Jednak na początku 2024 roku pojawił się trend wzrostowy – z 37 proc. w październiku 2023 roku do 43 proc. w maju 2024 roku. Tendencja wzrostowa nastrojów prowojennych jest widoczna we wszystkich sondażach w kwietniu i na początku czerwca 2024 roku. Ta zmiana lojalności przejawia się również w niektórych innych kwestiach. Tak więc odsetek osób, które uważają, że możliwe jest pójście na ustępstwa wobec Ukrainy w celu zawarcia porozumienia pokojowego, spadł z 20 proc. do 17proc. I odwrotnie, udział tych, którzy ufają oficjalnym informacjom o „operacji wojskowej" w rosyjskim sondażu terenowym, wzrósł z 47 proc. do 53 proc.

Tysiące Rosjan poszły na wojnę tylko po to, by wydostać się z kolonii karnej. Po powrocie do domu wielu z nich wróciło do rabowania, gwałcenia i zabijania.

Patrząc na wahania postaw Rosjan wobec wojny, możemy zauważyć, że jesienią 2022 roku nastąpił spadek poparcia dla „specjalnej operacji wojskowej" w kontekście rosyjskiego odwrotu i ogłoszonej mobilizacji oraz w drugiej połowie 2023 roku, kiedy wydawało się, że wojna osiągnęła całkowity impas. Te dwie recesje i obecne ożywienie pokazują znaczenie czynnika kosztowego we wspieraniu wojny. Kiedy koszty rosną w percepcji respondentów, prowadzi to do przesunięcia części zwolenników do szarej strefy, a kiedy spadają, prowadzi to do przesunięcia w przeciwnym kierunku. Obecny optymizm może jednak drogo kosztować przeciętnego obywatela Rosji. Oczekiwanie na sukces i zakończenie wojny doprowadziło do wzrostu odsetka osób gotowych poprzeć drugą falę mobilizacji. ■

eprasa.pl aca4cd9bff

Ciastka od Matki Rosji, czyli co usłyszałem od Moskali trzy lata przed wojną



Tomasz Gromadka

„Będą was kochać szczerze i serdecznie, jak brata, dopóki nie poczują, że w sercu swoim jesteście wolnym człowiekiem i boicie się ich miłości" – powiedział marszałek Józef Piłsudski o Rosjanach. Istotnie, ci Rosjanie, którzy zrozumieli, że Polacy, Ukraińcy, Gruzini czy jakikolwiek inny naród nie chcą być częścią tej smutnej rzeczywistości, w której oni sami tkwią od stuleci, nie rzucają naiwnych propozycji pokojowej aneksji. Oni już wiedzą, że Polska po dobroci im się nie podda.

Sprasa.pl aca4cd9bff

Lipiec 2019 roku. Siedzę w wagonie Kolei Transsyberyjskiej mknącej z zawrotną prędkością… około 30 km/h w kierunku Władywostoku. To ostatni etap miesięcznej wyprawy przez Rosję, w której wziąłem udział wraz z trzema kompanami. Jedziemy z Ułan Ude, miasta położonego niedaleko jeziora Bajkał, do Władywostoku na samym krańcu Orientu. W linii prostej dzielą je 2 tys. kilometrów, ale szlak pociągu wygina się na północ, musi bowiem ominąć chińską Mandżurię. Łącznie przejechanie tego odcinka zajmuje prawie cztery doby.

„My was wyzwoliliśmy, a wy nie chcieliście przyjaźni"

Ponieważ naszym celem jest poznanie, a nie tylko zobaczenie Rosji (i ponieważ nasze kiesy nie są duże), jedziemy wagonem III klasy, nazywanym po rosyjsku „płackarta" – przypomina on zbiorową noclegownię. Wprawdzie wydzielone są wnęki, podobne do przedziałów, ale nie istnieje ściana oddzielająca je od korytarza. W warunkach panujących w płackarcie następuje masowa integracja wszystkich pasażerów i pojawia się okazja do wielu godzin rozmów. Po prawie trzech tygodniach pobytu w Rosji człowiek wie już, czego spodziewać się po takich rozmowach.

Na kuszetkach obok nas podróżują dwie kobiety – jedna w podeszłym wieku, druga może 40-letnia. Nie mijają dwa kwadranse wspólnej podróży (a przed nami cztery doby!), gdy po krótkiej pogawędce starsza z pań od razu przechodzi do tematu, ulubionego przez Rosjan z każdej grupy wiekowej, i zadaje pytanie, które słyszeliśmy w Rosji co najmniej kilkadziesiąt razy:

– Poczemu Polsza nie chotieła Krasnuju Armiju? Ona oswobodziła was ot faszizma w 1945 godu. (Dlaczego Polska nie chciała Armii Czerwonej? Ona oswobodziła was od faszyzmu w 1945 roku).

Gdy usłyszałem to pytanie po raz pierwszy, musiałem dopytać, o co chodzi. Co znaczy, że Polska nie chciała Armii Czerwonej? Otóż chodzi o rok 1991, gdy wojsko rosyjskie opuściło Polskę. W Rosji ta data stała się symbolem… polskiej niewdzięczności. „My was wyzwoliliśmy w 1945 roku, a wy nie chcieliście przyjaźni".

Można byłoby pomyśleć, że może Rosjanie nie są świadomi, z czym wiązało się „wyzwolenie" w 1945 roku. Opowiedziałem więc pokrótce starszej pani, z którą rozmawiałem, o tym, jak Sowieci zniewolili Polskę w 1945 roku, i o tym, jak NKWD dziesiątkowało szeregi polskich patriotów. Żeby uwiarygodnić moje słowa, wspomniałem o wujku (szwagrze mego dziadka), żołnierzu Armii Krajowej, który po „wyzwoleniu" ukrywał się w lesie aż do połowy lat 50.

Spodziewałem się, że Rosjanka może uznać to, co mówię, za efekt działania w Polsce „imperialistycznej" propagandy USA. Okazało się, że – istotnie – moja rozmówczyni oburzyła się na moje słowa, ale z zupełnie innego powodu. Uwierzyła we wszystko, nie spodobała się jej tylko postawa Polaków (w tym moja).

– Nam, zwykłym Rosjanom też było źle – przyznała. – Nas NKWD również mordowało, a jednak się nie skarżyliśmy.

Dla jakiego wyższego celu warto było cierpieć tak bardzo? Dla imperium. To właśnie potęga Rosji, a nie komunizm, jest tym, za czym najczęściej tęsknią Rosjanie. (Choć przyznać trzeba, że mimo to liczba komunistów też jest bardzo wysoka, i to w każdej grupie wiekowej. W Irkucku widziałem grupę kilkunastu chłopców, może 13-letnich, maszerujących za dorosłym nauczyciele/dowódcą. Wszyscy mieli na sobie czerwone uniformy, a na plecach – żółte sierpy i młoty. Taka współczesna Hitlerjugend we wschodnim wydaniu). Czy kraj jest biały i czerwony, mniejsza z tym – ważne, że jest silny. Nie dziwi więc zdjęcie z manifestacji w Moskwie przedstawiające człowieka, który w jednej dłoni trzyma zdjęcie Stalina, w drugiej – portret cara.

„Matka Rosja jest dobra"

Starsza pani, towarzyszka podróży, częstuje nas ciastkami, mówiąc: „Weźcie je, abyście potem wnukom opowiadali, jaka Matka Rosja jest dobra". W umysłach Rosjan ich państwo emanuje miłością, przyjaźnią i pokojem. Poddanie się Moskwie oznacza osiągnięcie prawdziwej szczęśliwości i dlatego każda próba uniezależnienia się przyjmowana jest przez nią z niezrozumieniem. „Dlaczego Polska nie chciała u siebie Armii Czerwonej?". Wielu z nich przeświadczonych jest, że Rosja opiekowała się podporządkowanymi narodami, choćby wysyłając im pieniądze i żywność. Tym tłumaczą klęski głodu w Sowietach. Cierpieliśmy głód, bo pomagaliśmy innym – myślą. Takie założenie powiększa stopień rozczarowania postępowaniem innych narodów – zwłaszcza Polaków czy Ukraińców. Wyrzucenie Armii Czerwonej z Polski czy ukraiński Majdan były aktami najgłębszej niewdzięczności.

W latach 70. XVIII wieku Rosja prowadziła ekspansję na Kaukaz. Gubernator Astrachania, Piotr Kreczetnikow, szykując się do podporządkowania Gruzji, pisał: „Zyskamy bliższą okazję, żeby pomyśleć i o Gruzji, co z nią zrobić i jak ochronić ją od nieznośnych zniszczeń, których doznaje ona ze strony

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

eprasa.pl aca4cd9bff

rozmaitych narodów" (cyt. za: A. Nowak, „Metamorfozy Imperium Rosyjskiego", Kraków 2022, s. 88). Te słowa, wypowiedziane 250 lat temu, powtarzali po wielokroć nasi rozmówcy w każdej części Rosji. Zamiast mówić o Gruzji, wypowiadali jedynie słowo „Polsza", a zamiast „zniszczeń ze strony rozmaitych narodów" – „faszyzm".

Tym, którzy odwiedzili Moskwę czy Petersburg i nie doświadczyli tego typu sytuacji, należy się wyjaśnienie. Zapewne trzeba się trochę bardziej natrudzić, aby sprowokować mieszkańców tych dwóch metropolii do takich rozmów. Moskwa i Petersburg stanowią pod wieloma względami Rosję inną od tej, którą ujrzeć można w Jekaterynburgu, Nowosybirsku czy na wsi. Mieszkańcy Moskwy i Petersburga nawykli do widoku turystów, sami też często mieli okazję podróżować poza Rosję. Tymczasem dla kogoś, kto mieszka w Irkucku, widok Europejczyka jest prawdziwą egzotyką, a podróż do Europy pozostaje w sferze niespełnionych marzeń. Z Irkucka do granic Polski w linii prostej jest 5 tys. kilometrów, czyli mniej niż z Warszawy do Kanady. Jeśli kogoś stać na skromne wakacje, jego celem nie są śródziemnomorskie kurorty, lecz Bajkał. W Ułan Ude spotkałem dziewczynę, która dzięki zaoszczędzonym pieniądzom zdołała kiedyś udać się w „podróż życia" – Koleją Transsyberyjską pojechała do Moskwy, a potem na Białoruś. Kresem wyprawy był Brześć nad Bugiem, skąd można było zobaczyć Polskę i „Jewrosojuz" – jak Rosjanie nazywają Unię Europejską. Wiza do Polski przekraczała możliwości finansowe tej dziewczyny.

Pociąg jedzie dalej. Prowadnica (jak po rosyjsku nazywa się konduktorkę) ogłasza, żeby ograniczyć mycie się i pod żadnym pozorem nie robić prania. W pociągu zaczyna brakować wody, a do Władywostoku pozostała jeszcze doba jazdy. Wkrótce wjeżdżamy na tereny całkowicie spowite dymem – pali się tajga, a wiatr rozwiewa dym po wielkich połaciach wschodniej Syberii. W nagrzanych przez słońce wagonach temperatura staje się trudna do zniesienia. Rozmowa o Armii Czerwonej i NKWD dawno już się skończyła. Nieoczekiwanie starsza Rosjanka korzystając z tego, że młodsza akurat gdzieś poszła, nachyla się w naszą stronę i szepcze:

– Proszę, tylko nie mówcie nikomu, co wam powiedziałam o NKWD.

Kolacja w zestawie z aneksją

Wielu Polaków podróżujących po rosyjskiej prowincji podkreśla nadzwyczajną gościnność tego narodu. W rzeczywistości cechę gościnności mają chyba wszystkie narody Wschodu – zarówno postsowieckiego, jak i muzułmańskiego. Poruszając się po Turcji, po tych jej rejonach, gdzie zwykli turyści nie docierają, miewałem sytuacje, że podejmowano mnie posiłkiem tak często, że bywałem wprost przejedzony. Trzeba przyznać – w Rosji nie było inaczej. Pierwsza okazja do podróży autostopem z Rosjanami nadarzyła się na drodze z Nowosybirska w góry Ałtaj. Mój kierowca i jego kompan jechali w Ałtaj na polowanie – w samochodzie leżało kilka karabinów. Poza tym na przyczepce wieźli pokaźnych rozmiarów pompę, za pomocą której zamierzali odławiać złoto z górskich rzek. Gdy żegnaliśmy się po kilku godzinach wspólnej jazdy, dali mi torbę pełną jedzenia – m.in. szynkę z dzika, którego sami jakiś czas wcześniej upolowali.

Ta wielka rosyjska gościnność i otwartość mami wielu Polaków, którym zdarzyło się jej doświadczyć w trakcie podróży przez Rosję. Pojawia się pokusa, by stwierdzić, że w istocie Polak i Moskal to bracia, a podzieliła nas polityka/politycy. Józef Piłsudski, który znał Rosję doskonale, dostrzegał błąd takiego myślenia i z łatwością wnikał w sedno tej pokusy. Pisał o Rosjanach: „Oni są łatwi i zdolni do uczucia nawet wielkiej przyjaźni i będą was kochać szczerze i serdecznie, jak brata, dopóki nie poczują, że w sercu swoim jesteście wolnym człowiekiem i boicie się ich miłości, w której dominującym pierwiastkiem jest żądza opieki nad wami, inaczej mówiąc: władzy. To jest skaza urodzeniowa ich duszy, dziedziczna i kilkusetletnia, za ich niewolę, za Tatarów, za Iwana, za opryczników, za odwieczne bunty topione we krwi. Jeśli własna wolność jest nieosiągalna, wolność cudza wzbudza zawiść i odrazę. Jesteśmy od wieków zbyt bolesnym dla nich wzorem, zaprzeczeniem ich własnego losu. Obawiam się, że dużo czasu upłynie, zanim oni zrozumieją, że nikt i nic, chyba śmierć, nie odbierze nam prawa do wolności".

Moich przyjaciół do Nowosybirska wiózł pewien około 40-letni mieszkaniec tego wielkiego, ponurego miasta, tak brzydkiego, że znika w nim wszelka radość życia i nawet słońce nie cieszy oka, skryte w lipcowy, bezchmurny dzień w oparach wydobywających się nieustannie z fabryk. Ponieważ spędziliśmy kilka nocy w katolickiej parafii, rozmowa zeszła na temat prześladowań katolickich duchownych przez władzę Rosji. Prawie wszyscy księża katoliccy są obcokrajowcami, a bodaj najwięcej jest Polaków. Swoboda ich działania jest znacznie ograniczona, a każdy pretekst do prześladowań jest dobry. W jednej z parafii opowiedziano mi o księdzu, który za przekroczenie prędkości w czasie jazdy samochodem dostał nakaz opuszczenia Rosji i dożywotni zakaz powrotu. Argumentacja była następująca: skoro ksiądz nie chce przestrzegać rosyjskich praw, nie ma prawa do życia w Rosji.

eprasa.pl aca4cd9bff

Kierowca słysząc to, przyznał, że nie jest to sprawiedliwe i takie sytuacje nie powinny mieć miejsca. Wnet znalazł rozwiązanie tego problemu. Zupełnie przyjaznym tonem, bez jakiejkolwiek nuty sarkazmu, prostolinijnie oświadczył, że Polska powinna… poprosić Rosję o aneksję. Jeśli nasz kraj byłby częścią Imperium, polscy księża mieliby rosyjskie obywatelstwo i nie byliby zmuszani do wyjazdu. Wróciłyby również dzięki temu dawne czasy, gdy wszystkie narody bloku wschodniego żyły zjednoczone w serdecznej przyjaźni. W tych słowach – podkreślę to – nie było żadnej wrogości. Było w nich co najwyżej głębokie niezrozumienie odmowy. Czemu Polska nie chce przyłączyć się do Rosji, najszczęśliwszego kraju świata?

Potem Rosjanin zaprosił moich przyjaciół do siebie. Żył w maleńkim mieszkanku w Nowosybirsku. Osiem lat temu rozwiódł się z żoną i kolejne lata spędził w zupełnej samotności. Ania i Jacek byli pierwszymi gośćmi od dnia jego rozwodu, a towarzyszką samotnych wieczorów była telewizja. Tego dnia Opatrzność zesłała mu gości z dalekiego kraju, a on oprócz aneksji zaproponował im także kolację.

Miłość albo śmierć

„Będą was kochać szczerze i serdecznie, jak brata, dopóki nie poczują, że w sercu swoim jesteście wolnym człowiekiem i boicie się ich miłości" – powiedział Marszałek. Istotnie, ci Rosjanie, którzy zrozumieli, że Polacy, Ukraińcy, Gruzini czy jakikolwiek inny naród nie chcą być częścią tej smutnej rzeczywistości, w której oni sami tkwią od stuleci, nie rzucają naiwnych propozycji pokojowej aneksji. Oni już wiedzą, że Polska po dobroci im się nie podda.

Przekonałem się o tym, gdy wraz z Piotrem, towarzyszem podróży, jechałem z gór Ałtaj na północ, w stronę Nowosybirska, miasta leżącego przy Kolei Transsyberyjskiej. Góry te, znajdujące się na pograniczu Rosji, Chin, Kazachstanu i Mongolii, wciąż zamieszkują plemiona tubylców – Ałtajczyków mówiących językiem pokrewnym tureckiemu i wyznających pogańską, politeistyczną religię. Zdecydowanie jednak dominują Rosjanie.

Jechaliśmy autostopem – najszybszym środkiem transportu w Rosji poza samolotem i własnym samochodem. Pierwszy etap trasy pokonaliśmy w towarzystwie Ałtajczyka, potem natomiast wiózł nas młody, 30-kilkuletni Rosjanin. Weszliśmy do jego auta, przywitaliśmy się i przez kilka minut jechaliśmy w milczeniu. Po kilku minutach kierowca zdecydował się przerwać ciszę, wybierając wspaniały sposób zagajenia rozmowy:

– A wy do Rosji przyjechaliście szpiegować wrogów?

Przez krótki czas zastanawialiśmy się nad tym, jaką taktykę obrać. W końcu zdecydowałem się udawać niezainteresowanego polityką i niezbyt w niej zorientowanego.

– Nie, nie, nie. My po prostu lubimy podróżować – tłumaczyłem.

– Tak… Na pewno – zadrwił Rosjanin. – Dlaczego pojechaliście akurat do Rosji?

– Chcieliśmy zobaczyć Rosję. Wcześniej byliśmy już w wielu krajach – wytłumaczyłem – Na Litwie, na Białorusi… – teraz popełniłem kardynalny błąd – …na Ukrainie.

Twarz Rosjanina stała się złowroga, a usta wygięły w sarkastycznym uśmiechu.

– Ha, Ukraina! – wykrzyknął. – Jak tam jest?

– Trudno – odezwał się Piotr, ale podobnie jak ja wkroczył na minę. – Ludzie boją się wojny.

Wojna! To Sowieci lubią najbardziej.

– Boją się wojny, dobre sobie – kpi kierowca. – Sami ją wywołali, to mają za swoje.

Miłość albo śmierć – oto alternatywa, którą daje Rosja. Po chwili kierowca zwraca się wprost do nas:

– Polacy, zapamiętajcie! – mówi. – Jeśli podskoczycie za wysoko, wystarczą trzy dni.

– Trzy dni na co? – pytam.

– Aż nasze czołgi przejadą przez Ukrainę i staną w Warszawie.

Był to jedyny raz, gdy ktoś mi groził i to groził… najazdem. Na szczęście trzy lata po tej rozmowie ukraińskie czołgi zweryfikowały nad Dnieprem realizm tych gróźb.

17 września – jak to możliwe?

Na dworcu kolejowym w Irkucku spędziliśmy wiele godzin. Uciekł nam pociąg, kolejny był dopiero za 12 godzin, a że lało i był już późny wieczór – siedzieliśmy w poczekalni. W pewnym momencie podszedł do nas ochroniarz, mężczyzna w średnim wieku, i zaczął pogawędkę. Gdy tylko dowiedział się, że jesteśmy z Polski, zapytał:

– Dlaczego twierdzicie, że Rosja napadła na was w 1939 roku?

Linia argumentacji ochroniarza była następująca: skoro Sowieci i Polacy wspólnie brali udział w pokonaniu III Rzeszy, jest całkowicie niemożliwe, by Rosja wcześniej napadła na Polskę razem z Niemcami. Oskarżając Moskwę o napaść 17 września, Polska wykazuje się ogromną niewdzięcznością, w końcu to Armia Czerwona „oswobodziła ją od faszyzmu".

Dyskusja była długa i w końcu zdezorientowany ochroniarz postanowił sprawdzić, co mówi na ten te-

eprasa.pl aca4cd9bff

mat rosyjski internet. Okazało się, że nawet tam można znaleźć czasem prawdziwą odpowiedź. Pierwszy link w wyszukiwarce prowadził do pewnego forum, gdzie padała jednoznaczna odpowiedź – 17 września (jak i Katyń) naprawdę się wydarzył. Nasz rozmówca był zszokowany.

– Jak to możliwe, że w szkole mówili mi co innego? – zapytał.

Głosy wolnych Rosjan

W czasie miesięcznego pobytu w Rosji trzy razy udało się nam spotkać Rosjan, których umysły wolne były od kłamstw.

Do pierwszego takiego spotkania doszło w katedrze katolickiej w Moskwie po Mszy niedzielnej, odprawionej w języku polskim. Podszedł do nas Michaił (imię zmienione), starszy mężczyzna biegle mówiący po polsku. Spędziliśmy z nim dwie godziny, spacerując po Arbacie i jedząc obiad. Historia Michaiła jest niecodzienna. Jego droga do wolności rozpoczęła się w latach 70. od obejrzenia transmisji… festiwalu w Opolu. Patrząc na zachowanie publiczności, doszedł do wniosku, że między Polakami i Rosjanami istnieje wielka różnica – polska publiczność zachowywała się w sposób żywy i swobodny, co na koncertach w Rosji było nie do pomyślenia – tam słuchacze/widzowie robili to, co akurat kazano im robić. Ta jedna transmisja uświadomiła Michaiłowi, że z Rosjanami jest coś nie tak. Odtąd interesował się Polską coraz bardziej, w końcu nauczył się polskiego i został katolikiem. Choć wciąż mieszka w Moskwie, uważa się za Polaka i wyrzekł się w duchu rosyjskości.

Na Syberii spotkaliśmy z kolei Rosjanina w średnim wieku. Pracuje on w parafii katolickiej, pomagając w pracach fizycznych. Sam jest niepraktykującym prawosławnym. Być może kontakt z parafianami, wśród których wielu jest potomków polskich zesłańców, doprowadził do uwolnienia od wpływu rosyjskiej propagandy. Jakim balsamem dla duszy i umysłu było usłyszenie prawdy o historii relacji polsko-rosyjskich po kilkunastu dniach pobytu w krainie kłamstw. Człowiek ten znał całą prawdę o 17 września, Katyniu czy Żołnierzach Wyklętych. Dla nas, Polaków, wszystkie te rzeczy są zupełną oczywistością, ale reżim Putina skutecznie zadbał, by ogół Rosjan uważał je za fałsz i przejaw polskiej rusofobii.

Wreszcie trzecia postać – młody Rosjanin spotkany przez moich przyjaciół we Władywostoku. Tam mieszkał i pracował, ale wcześniej spędził kilka lat na Filipinach, gdzie poznał Kościół i się nawrócił. Choć po powrocie do ojczyzny przestał praktykować, pobyt za granicą i kontakt z katolikami otworzył mu oczy. Mężczyzna opowiedział, co widział na przełomie 2013 i 2014 roku – w czasie wydarzeń na kijowskim Majdanie. Mieszkał wówczas w swej rodzinnej wiosce pod Władywostokiem. Do wsi przyjeżdżali wówczas rosyjscy urzędnicy, którzy werbowali chętnych do wyjazdu na Ukrainę. Oferowali mieszkanie w Donbasie w zamian za głosowanie za przyłączeniem do Rosji w szykowanym referendum. Jak bardzo przypomina to fałszowanie przez Niemców plebiscytów na Śląsku i w Prusach Wschodnich po I wojnie światowej!

Do tego dodam jeszcze spotkanie z pewnym Ałtajczykiem, nie tylko odpornym na rosyjską propagandę (co jest rzadkością wśród syberyjskich tubylców), lecz także działającym na rzecz swego ludu. Rozmowę z nim opisałem w marcowym numerze „Nowego Państwa" (artykuł „Iskry oporu na Syberii").

„Wyżej łba uszy nie rosną"

Ta trzydziestodniowa podróż była trudnym doświadczeniem. Nieustannie spotykaliśmy ludzi wierzących w Rosję i jej władców, których wiara czasem zdawała się przypominać objawy zbiorowej choroby umysłowej. Pewien Rosjanin wyznał nam: „Putin nie jest dobrym prezydentem i chciałbym, żeby oddał rządy, ale i tak głosuję na niego, bo go kocham". Choroba ta ma swe źródła jeszcze w późnym średniowieczu, obejmuje wszystkie aspekty narodu i kultury rosyjskiej, łącznie z literaturą, i trwa wciąż – mimo upływu epok. Jej kapitalną analizę przeprowadził w swej książce „Święta Ruś" francuski sowietolog Alain Besançon, w młodości komunista, później konwertyta na katolicyzm. Wydaje się, że dopóki Rosjanie na nią cierpią, wywoływać będą kolejne wojny. Ciężar ich żalu do innych narodów, żalu realnego, choć wynikającego z wyimaginowanych przesłanek, jest zbyt duży i musi znaleźć ujście w agresji wobec sąsiadów. Zatrzymać ich mogą jedynie czołgi i karabiny i jeśli zabraknie ich nad Dnieprem, przyjdzie nam nad Bugiem i Wisłą stawić czoła tym miłośnikom pokoju.

Spędzenie kilku tygodni wśród Rosjan skutecznie chroni przed naiwnym poglądem, że naród ten jest ofiarą despotycznej władzy i wystarczy ją usunąć, a problemy się skończą. Zarówno Putin, jak i wcześniej bolszewicy są w istocie owocem stanu, w którym tkwi całe to społeczeństwo. Jak bardzo eufemistycznie powiedział Piłsudski, „zawczasu określić możemy, czym będzie Rosja po usunięciu samowładnego rządu. Wyżej łba uszy nie rosną – mówi przysłowie rosyjskie i stosownie do tego demokratyczność przyszłej konstytucji nie przerośnie samego społeczeństwa". ■

eprasa.pl aca4cd9bff



FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Hanna Shen



Jaka będzie polityka Trumpa?

W artykule opublikowanym na łamach „Foreign Affairs" Robert C. O'Brien, doradca ds. bezpieczeństwa narodowego prezydenta Trumpa w latach 2019–2021, przewiduje, jak może wyglądać polityka zagraniczna Donalda Trumpa, jeśli ponownie wygra on wybory. Warto przyjrzeć się tej analize, ponieważ O'Brien wymieniany jest jako polityk, który znajdzie się w nowej administracji Trumpa, a nawet jest na krótkiej liście kandydatów na stanowisko sekretarza stanu.

eprasa.pl aca4cd9bff

O'Brien przewiduje, że kolejne rządy Trumpa będą nawiązaniem do doktryny Ronalda Reagana „pokój przez siłę" i obala też tezę, którą straszą środowiska lewicowe, że Donald Trump oznacza izolacjonizm Ameryki. „Trump zdaje sobie sprawę, że skuteczna polityka zagraniczna wymaga połączenia sił z zaprzyjaźnionymi rządami i obywatelami innych krajów" – pisze doradca 45. prezydenta USA. O'Brien twierdzi, że nowa administracja sprawi, że „przyjaciele Waszyngtonu będą bezpieczniejsi i bardziej samowystarczalni, a jego wrogowie ponownie będą bali się amerykańskiej potęgi".

W jakim punkcie jesteśmy

Jesteśmy już nie tylko w momencie rosnącej siły militarnej Chin, która bezpośrednio zagraża Tajwanowi i Filipinom, lecz także zacieśniającej się współpracy Pekinu z Moskwą. Chiński przywódca buduje nową oś zła. W marcu ubiegłego roku będąc w Moskwie, powiedział Putinowi, że „nadchodzi zmiana, której nie było od 100 lat, i razem jesteśmy jej motorem". Jak pisze O'Brien: „Xi jest najniebezpieczniejszym przywódcą Chin od czasu morderczego Mao Zedonga. Buduje sojusze, które mają zagrozić Zachodowi, ale także jest odpowiedzialny za największą katastrofę XXI – pandemię Covid-19, która rozpoczęła się w Wuhan".

Członkiem nowej osi zła jest także Iran, wobec którego Biden wykazał się słabością, m.in. nie egzekwując istniejących sankcji na eksport irańskiej ropy i ponownie próbując przystąpić do porozumienia nuklearnego z Teheranem z czasów Obamy, z którego Trump wycofał się w 2018 roku. To i wzbogaciło, i ośmieliło reżim ajatollahów, który finansuje siły terrorystyczne na Bliskim Wschodzie i rozwija swój program nuklearny.

Co zrobić z Chinami

O'Brien pisze o tym, co już wiemy – głównym wyzwaniem w polityce zagranicznej USA są i będą Chiny oraz wskazuje na brak jasnej polityki wobec Pekinu obecnego prezydenta Joego Bidena. Z jednej strony administracja Bidena zachowała większość ceł i obostrzeń w handlu z ChRL, ale z drugiej wysyła urzędników na wizyty do Chin, które przynoszą raczej „widowisko niż treść". Sekretarz skarbu Janet Yellen twierdzi, że „pełne oddzielenie gospodarcze [od Chin] nie jest ani praktyczne, ani pożądane", a O'Brien uważa, że to właśnie decoupling (rozprzężenie związków gospodarczych z ChRL) jest w interesie USA i że powinno to być osiągnięte poprzez wprowadzenie 60-procentowych ceł na chińskie towary oraz surowszą kontrolę eksportu wszelkich technologii przydatnych dla Chin. Tu akurat O'Brien nie wspomina o nowych obostrzeniach w handlu z Chinami, jakie administracja Bidena wprowadziła na półprzewodniki i maszyny je produkujące. Przynoszą one rezultaty, bo słyszymy o dużych problemach finansowych chińskich firm z branży chipów. W połowie czerwca zbankrutowała duża firma półprzewodnikowa Shanghai Wusheng Semiconductor, a od ubiegłego roku 23 firmy z branży półprzewodników wycofały swoje wnioski o IPO. Mimo tego pominięcia, artykuł byłego doradcy Trumpa nie pozostawia złudzeń, że takie restrykcje nowa administracja powinna kontynuować.

O'Brien wskazuje, że choć obecny prezydent USA określa gospodarkę Chin jako „tykającą bombę zegarową", to jednocześnie stwierdza, że „nie chce powstrzymywać Chin". Poprzez ogromne dotacje, kradzież własności intelektualnej i nieuczciwe praktyki handlowe Pekin chce stać się liderem technologicznego rozwoju na świecie i zalewa Zachód m.in. swoimi elektrycznymi samochodami. I chociaż USA i UE zaczęły nakładać cła na te pojazdy, to O'Brien wskazuje, że prawdziwym problemem jest nadmierna regulacja na Zachodzie. Wielu mieszkańców Europy mogłoby tu dodać, że programy takie jak Zielony Ład są w dużym stopniu odpowiedzialne za blokadę rozwoju przemysłu i innowacyjności Zachodu, a pomagają w rozwoju gospodarki komunistycznych Chin.

Postawić na sojusze i partnerów w Azji

Były doradca Trumpa mówi o potrzebie utrzymywania kanału komunikacji z Pekinem, ale przede wszystkim nowa administracja musi się skoncentrować na relacjach z sojusznikami w regionie, tj. z Australią, Japonią, Koreą Płd. i Filipinami oraz z tradycyjnymi partnerami, na przykład Singapurem, i możliwymi partnerami, tj. Wietnamem i Indonezją. W tej ostatniej grupie szczególnie widać słabość polityki Bidena. Hanoi właśnie gościło z dwudniową wizytą Putina, a rozmowy dotyczyły pogłębienia relacji strategicznych i zakupu broni przez Wietnam. Za nowej administracji Kongres powinien poprzez program pożyczek pomóc państwom takim jak Indonezja, Wietnam czy Filipiny budować siły zbrojne, tak by nie musiały one polegać na zakupach broni od reżimów autorytarnych.

O'Brien prostuje też kolejny mit szerzony przez lewackie kręgi, że sojuszników USA w Azji niepokoją wezwania Trumpa, by w większym stopniu przyczyniali się do własnej obrony. „Wręcz przeciwnie: moje rozmowy z urzędnikami w regionie wykazały, że z radością przyjęliby oni więcej jasnych wypowiedzi Trumpa o potrzebie dwustronnego charakteru sojuszy i uważają, iż takie podejście zwiększyłoby bezpieczeństwo". Większa obecność USA w Azji to także więcej ćwiczeń wojskowych z sojusznikami i partnerami. O'Brien przypomina, że to właśnie Trump przestał zapraszać Chiny na ćwiczenia RIMPAC, czyli największe manewry morskie na świecie. Pekin po prostu tam sziegował. Kolejne rządy Donalda Trumpa powinny zrobić to, do czego w 2022 roku namawiał Kongres,

eprasa.pl aca4cd9bff

tj. zaprosić do udziału w RIMPAC Tajwan. Biden bał się wypełnić to zalecenie. Tajpej powinno również usłyszeć, że Waszyngton będzie zanagażowany w obronę wyspy. Joe Biden co prawda aż czterokrotnie potwierdził taką gotowość obrony, ale zaraz stwierdzenia te były prostowane przez jego współpracowników.

Więcej wojsk NATO w Polsce, a Ukraina w UE

Były doradca Trumpa uważa, że katastrofalnie zarządzane przez Bidena wycofanie się wojsk USA z Afganistanu miało wpływ na decyzję Putina, by sześć miesięcy później zaatakować Ukrainę. „Po tym, jak Rosja zlekceważyła ostrzeżenia Bidena dotyczące konsekwencji inwazji na Ukrainę i mimo wszystko zaatakowała, Biden zaoferował prezydentowi Ukrainy Wołodymyrowi Zełenskiemu możliwość opuszczenia Kijowa, co oznaczałoby powtórzenie haniebnej ucieczki prezydenta Afganistanu Ashrafa Ghaniego z Kabulu poprzedniego lata. Na szczęście Zełenski odrzucił tę ofertę" – pisze O'Brien, który chwali obecnego prezydenta USA za pomoc zaoferowaną Ukrainie, jednak dodaje, że jest ona niewystarczająca, by Kijów wygrał. „Nie wydaje się, aby Biden miał plan zakończenia wojny" – twierdzi autor artykułu na łamach „Foreign Affairs". I tu po raz kolejny były doradca Trumpa uderza w fałszywą narrację pojawiającą się w liberalno-lewicowych mediach, że Trump sprzeda Ukrainę. O'Brien uważa, że Donald Trump oczywiście będzie chciał negocjować zakończenie wojny, ale zanim dojdzie do jakiegoś rozwiązania, będzie w dalszym ciągu zapewniał Ukrainie pomoc, która będzie współfinansowana przez państwa europejskie. Będzie też starał się „wytrącić Moskwę z równowagi" swoją nieprzewidywalnością. Trump będzie również nalegał na NATO, aby przesunęło siły lądowe i powietrzne do Polski, „aby zwiększyć swoje możliwości bliżej granicy z Rosją i aby jednoznacznie podkreślić, że sojusz będzie bronił całego swojego terytorium przed zagraniczną agresją".

Trump nie wycofa się z obietnicy obrony Europy przez USA, ale europejscy sojusznicy też muszą tu wywiązywać się ze swoich obowiązków. Poza odpowiednimi wydatkami na obronę, O'Brien stawia przed państwami UE jeszcze jedno zadanie. „Jeśli Europa chce pokazać, że poważnie podchodzi do obrony Ukrainy, powinna przyjąć ten kraj do Unii Europejskiej, natychmiast odstępując od zwykłego biurokratycznego protokołu przyjmowania nowych członków. Takie posunięcie stanowiłoby dla Putina mocny sygnał, że Zachód nie odda Ukrainy Moskwie. Dałoby to również narodowi ukraińskiemu nadzieję, że nadejdą lepsze dni" – twierdzi O'Brien.

Polska ważnym sojusznikiem Trumpa

Nowej osi zła, czyli sojuszu Rosji, Chin i Iranu, nie da sie pokonać bez współpracy z NATO i zaufanymi przyjaciółmi. O'Brien jeszcze raz uskokaja: Trump nie jest „wrogi tradycyjnym sojuszom, w rzeczywistości wzmocnił większość z nich". Twierdzi, że administracja Bidena w nie najlepszy sposób traktowała lub traktuje sojuszników mających konserwatystów u władzy, w tym Polskę. W artykule prezydent Andrzej Duda wymieniony został jako jeden z przywódców, którzy „są wyczuleni na pragnienia swoich obywateli i starają się bronić demokracji, ale poprzez politykę inną niż ta, którą wyznają ludzie lubiący włóczyć się po Davos". Według O'Briena za obecnej administracji krytyka konserwatywnych rządów sojuszników USA idzie w parze z tym, że urzędnicy Bidena niewiele uwagi poświęcają dysydentom w państwach autorytarnych. „Carter osobiście napisał do sowieckiego dysydenta Andrieja Sacharowa. Reagan spotkał się z sowieckim dysydentem Natanem Szaranskim w Gabinecie Owalnym i z innymi osobami w Ambasadzie USA w Moskwie. Z kolei Biden rzadko wypowiadał się publicznie na temat poszczególnych dysydentów – ludzi takich jak Jimmy Lai, wydawca z Hongkongu i obrońca demokracji, którego chińscy urzędnicy uwięzili pod fałszywymi zarzutami".

Trump stawiał na rozbudowę kontaktów z konserwatywnymi rządami, a jego administracja pomagała represjonowanym. Wszyscy pamiętamy jego przyjacielskie spotkania z prezydentem Dudą, a przede wszystkim wystąpienie w Warszawie. Nie pouczał nas, czym jest demokracja i praworzędność, ale mówił, że jesteśmy „duszą Europy" oraz „narodem, ktory nigdy nie stracił nadziei, nigdy nie dał się złamać i nigdy nie zapomniał, kim jest". Ten prezydent USA chciał silnej Polski, bo uważał, że jest ona „błogosławieństwem dla narodów Europy. […] A silna Europa jest błogosławieństwem dla Zachodu oraz całego świata".

Trump upominał się też o represjonowanych przez reżimy Korei Płn. i Chin. W 2017 roku uratował przed deportacją do ChRL i możliwym więzieniem Chen Guiqin i dwójkę jej dzieci. Mąż Chen, prawnik Xie Yang, przez dwa lata przebywał w więzieniu za to, że m.in. pomagał osobom, którym władza komunistyczna zagarnęła ziemię, i bronił chrześcijan. Sama Chen uciekła do Tajlandii, skąd chińska bezpieka chciała ją porwać z powrotem do ChRL. Na polecenie Trumpa kobieta i jej dzieci zostali uratowani przez amerykańskich dyplomatów i przewiezieni do USA. Rok później działania administracji Trumpa doprowadziły do uwolnienia z gułagu w Korei Płn. trzech Amerykanów koreańskiego pochodzenia.

O'Brien uważa, że pomimo ogromnych podziałów w społeczeństwie amerykańskim, ponownie może wydarzyć się to, co stało się w 1980 roku, gdy do władzy doszedł stawiający na strategię pokój przez siłę Ronald Reagan. I widzi to jako ostatnią najlepszą nadzieję nie tylko dla USA, lecz także dla ludzkości. ■

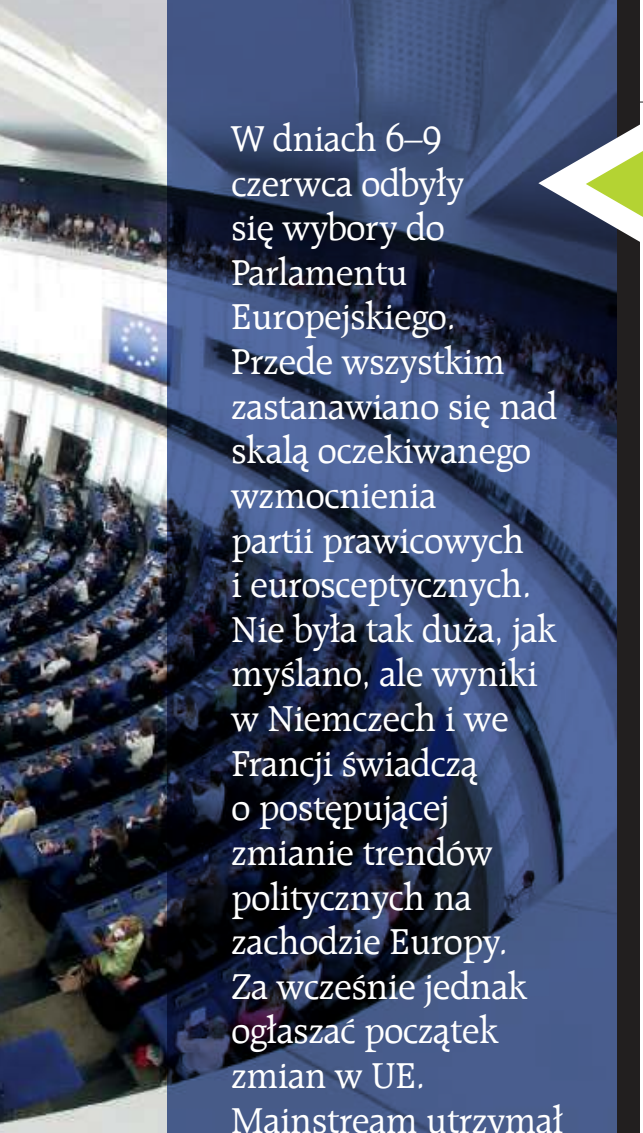
eprasa.pl aca4cd9bff



oprac. Antoni Rybczyński

Eurowybory wzmocniły prawicę, klęska Macrona i Scholza. Są też niepokojące sygnały

eprasa.pl aca4cd9bff



W dniach 6–9 czerwca odbyły się wybory do Parlamentu Europejskiego. Przede wszystkim zastanawiano się nad skalą oczekiwanego wzmocnienia partii prawicowych i eurosceptycznych. Nie była tak duża, jak myślano, ale wyniki w Niemczech i we Francji świadczą o postępującej zmianie trendów politycznych na zachodzie Europy. Za wcześnie jednak ogłaszać początek zmian w UE. Mainstream utrzymał kontrolę nad europarlamentem.

FOT. WIKIMEDIA COMMONS CC BY-4.0; © EUROPEAN UNION 2019 – SOURCE: EP

Pomimo porażek na szczeblu krajowym, partie centrolewicowe i centroprawicowe w całej Europie mają zachować większość w głosowaniu w całej Unii Europejskiej, które określa skład zgromadzenia ustawodawczego bloku – podkreślał tuż po ogłoszeniu wyniku eurowyborów Bloomberg (Ania Nussbaum, Michael Nienaber, Natalia Drozdiak, „Macron i Scholz pokonani przez skrajną prawicę w wyborach do UE", 9 czerwca 2024). Ogólnie rzecz biorąc, w całej UE dwie główne grupy, chrześcijańscy demokraci i socjaliści, pozostały dominującymi siłami. Zyski skrajnej prawicy odbyły się kosztem Zielonych, którzy mieli stracić około 20 mandatów i spaść na szóstą pozycję w legislaturze. Probiznesowa grupa Macrona Renew Europe również poniosła duże straty („Skrajna prawica zyskuje w wyborach do UE, przegrywając z francuskim Macronem i niemieckim Scholzem", 9 czerwca 2024, Voice of America).

Dina Sacharowa w analizie zamieszczonej przez Radio Swoboda pisze, że chociaż nie było „przełomu" dla partii prawicowych w Parlamencie Europejskim, były one prawie jedynymi, które wykazały wzrost liczby głosów oddanych na ich korzyść, a co za tym idzie, mandatów parlamentarnych. Spośród tradycyjnych sił politycznych, które tworzą rdzeń Parlamentu Europejskiego, tylko największa, Europejska Partia Ludowa (EPL), odniosła sukces. „Ogólnie rzecz biorąc, EPL, wbrew przewidywaniom, nie tylko utrzymała, ale także nieznacznie zwiększyła swoją reprezentację" – zaznacza Sacharowa. Ale na lewo od centrum Parlamentu Europejskiego panuje smutek: przedstawiciele tych sił politycznych stracili dziesiątki mandatów. Są to Postępowy Sojusz Socjalistów i Demokratów oraz liberalna frakcja Odnowa Europy. Obie wspierają zieloną energię, prawa człowieka, równość społeczną i ekonomiczną. […] Zieloni i lewicowe frakcje w Parlamencie Europejskim również straciły dziesiątki mandatów (Dina Sacharowa, „Nie rewolucja, ale trend. Prawica w UE stała się silniejsza", Radio Swoboda, 10 czerwca 2024).

▶ Klęski Macrona i Scholza. Le Pen i populiści niemieccy nacierają

„Emmanuel Macron nie miał dobrej nocy. Jego porażka z Le Pen już skłoniła go do wezwania do przedterminowych wyborów parlamentarnych. Wynik był kompromitujący dla prezydenta Francji, a skrajna prawica wygrała w każdym regionie kraju" – pisze w podsumowaniu wyborów Rikard Jozwiak z Radia Wolna Europa. I zwraca przy tym uwagę na „pewne czynniki łagodzące". Po pierwsze, nie jest to niespodzianka. Sondaże od miesięcy przewidywały taki wynik. Nierzadko wybory do Parlamentu Europejskiego, w których frekwencja jest niższa niż w wyborach krajowych, są wykorzystywane do karania rządzących. Macron jest u władzy od 2017 roku, więc pewne zmęczenie jest zrozumiałe. Decyzja o rozpisaniu wyborów krajowych

eprasa.pl a4cd9bff

we Francji może być dość sprytnym zagraniem Macrona, aby odwrócić uwagę od jego upokorzenia i triumfu Le Pen. Jego sojusz ma 249 z 577 mandatów w Zgromadzeniu Narodowym, niższej izbie francuskiego parlamentu, w porównaniu do 88 mandatów Le Pen. Już w 2022 r. stracił tam większość, a teraz ryzykuje utratę kolejnych. Francja ma jednak system prezydencki, więc nawet jeśli Macron będzie musiał współpracować z opozycją, nadal będzie mógł rządzić (Rikard Jozwiak, „Analizując wynik wyborów", 10 czerwca 2024, Radio Free Europe/Radio Liberty). Jak zauważa we wspomnianej analizie Bloomberg, „ostrzeżenia Macrona przed wzrostem autorytaryzmu i apel o jedność europejską w okresie poprzedzającym głosowanie nie zdołały zwiększyć jego wyniku, ponieważ obawy dotyczące inflacji, bezpieczeństwa i imigracji spowodowały wzrost poparcia dla Le Pen. Przed głosowaniem przedstawiał on wybory jako egzystencjalną walkę dla kontynentu i kluczową dla walki Ukrainy z Władimirem Putinem".

Kanclerz Niemiec Olaf Scholz również znajduje się pod presją – podkreśla cytowany już Rikard Jozwiak: „Główna partia opozycyjna, Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna Niemiec/Unia Chrześcijańsko-Społeczna w Bawarii, otrzymała 31 procent głosów, dwa razy więcej niż Socjaldemokratyczna Partia Niemiec (SPD) Scholza. Następne wybory federalne w Niemczech odbędą się jesienią 2025 roku, ale prawdopodobnie pojawi się presja polityczna, aby przeprowadzić je wcześniej". Tak czy inaczej przywódcy dwóch największych i najważniejszych państw członkowskich UE zostali politycznie osłabieni przez to głosowanie (Rikard Jozwiak, „Analizując wynik wyborów", 10 czerwca 2024, Radio Free Europe/Radio Liberty). Po wyborach do Parlamentu Europejskiego w Niemczech rozprzestrzenił się strach przed dojściem do władzy radykalnych populistów, a zagrożenie pochodzi nie tylko z prawej strony, od Alternatywy dla Niemiec, która stała się znaną częścią niemieckiego krajobrazu politycznego, ale także z lewej strony, gdzie nowa partia, Unia Sary Wagenknecht, zyskuje na sile. Same wyniki wyborów europejskich sprawiły, że wiele osób zastanawia się, jak długo przetrwa kontrowersyjna koalicja rządowa „sygnalizacji świetlnej" (socjaldemokraci, Wolni Demokraci i Zieloni) – pisze w swojej analizie Anna Roze („Zepsuta »sygnalizacja świetlna«. Dlaczego eurowybory zdenerwowały Olafa Scholza", 12 czerwca 2024, Radio Swoboda).

Charyzmatyczna Sarah Wagenknecht, była posłanka postkomunistycznej Die Linke, umiejętnie łączy aspiracje lewicy z hasłami prawicy. To właśnie ten populistyczny gulasz pozwolił jej zdobyć głosy wyborców z obu stron politycznego spektrum: bardzo szybko partia Wagenknecht wzrosła do 6,2 proc., niemal grzebiąc Partię Lewicy, komunistycznego spadkobiercę NRD (2,8 proc. głosów). Nowa siła polityczna wyzywająco świętowała swój sukces w dawnym kinie Cosmos przy alei Karola Marksa we wschodnim Berlinie. We wschodnich landach Unia Sary Wagenknecht osiągnęła nawet dwucyfrowy wynik. (Anna Roze, („Zepsuta »sygnalizacja świetlna«. Dlaczego eurowybory zdenerwowały Olafa Scholza", 12 czerwca 2024, Radio Swoboda). Tradycyjne partie coraz częściej postrzegają Wagenknecht i jej partię jako prawdziwy problem: przecięcie się wielu jej tematów z programem AfD sprawia, że należy być ostrożnym. Demagogiczna Sarah Wagenknecht potrafi szybko zmieniać maski, doskonale wyczuwając koniunkturę. Właśnie dlatego zdobywa głosy dzięki antyukraińskiej retoryce. Chociaż Wagenknecht powiedziała, że nie popiera Putina, a jedynie wzywa do pokojowego zakończenia wojny na Ukrainie, a jej poglądy są odległe od AfD, zdolność polityka do manewrowania i obracania się jak chorągiewka na wietrze w zależności od sytuacji, może sprawić, że szybko zmieni zdanie – czytamy na stronie Radia Swoboda.

Co z Rosjanami w krajach bałtyckich?

Podczas gdy wszyscy skupiali się na wynikach we Francji i Niemczech oraz „prawicowej fali", warto zwrócić uwagę na to, co działo się w krajach UE obecnie najbardziej zagrożonych przez Rosję. Na Łotwie i w Estonii, gdzie patriotyczne nastroje podsycane są obawami przed konfliktem zbrojnym z Rosją, do Parlamentu Europejskiego weszły mniej więcej te same partie co pięć lat temu. Głosowanie zaznaczyło jednak niepokojące tendencje zarówno w kierunku apatii, jak i widocznej radykalizacji rosyjskojęzycznego elektoratu – zwraca uwagę Oksana Antonenko, autorka artykułu pt. Prorosyjskie siły zyskują popularność na wschodniej granicy NATO (10 czerwca 2024, BBC Russian). „Narwa jest najbardziej rosyjskim miastem w UE i NATO. Znajduje się na granicy z Rosją, od której oddziela ją rzeka Narwa i Most Przyjaźni. […] Absolutna większość mieszkańców tego miasta to osoby rosyjskojęzyczne, co od dziesięcioleci charakteryzuje cały północno-wschodni region Estonii. Przez lata region ten głosował na Partię Centrum, która w Estonii tradycyjnie była oskarżana o powiązania z Kremlem. […] W ostatnich wyborach parlamentarnych w 2023 roku centryści stracili połowę elektoratu na północnym wschodzie i około jednej czwartej w Tallinie. Następnie partia zasadniczo upadła, a prawie wszyscy umiarkowani estońskojęzyczni politycy opuścili partię. W wyborach do Parlamentu Europejskiego centryści odzyskali wpływy – otrzymując 12,4 proc., zaledwie 2,2 punktu procentowego mniej niż pięć lat temu. Na północnym wschodzie partia zyskała ponad 40 proc.". Co niepokoi, to fakt, że na drugim miejscu na północnym wschodzie Estonii znalazła się radykalna prorosyjska partia KOOS, której popularność w tym regionie wzrosła do prawie 20 procent w ciągu zaledwie roku jej istnienia.

Jej lider, Aivo Peterson, odwiedził Donbas już po rozpoczęciu inwazji na pełną skalę. Nagrywał tam filmy, w których opisywał, jak Rosja odbudowuje Mariupol. Prezentował swoje treści w talk show kanału Zwiezda, gdzie

eprasa.pl aca4cd9bff

nazywał siebie rozjemcą i mówił, że „wkrótce będziemy mieli Mariupol w Estonii". W Estonii wszczęto przeciwko niemu sprawę karną z artykułu o zdradzie stanu, a Peterson przebywa obecnie w areszcie. Nie przeszkodziło mu to jednak w założeniu partii KOOS i wystartowaniu w wyborach do Parlamentu Europejskiego. (Oksana Antonenko, „Prorosyjskie siły zyskują popularność na wschodniej granicy NATO", 10 czerwca 2024, BBC Russian). KOOS zdobył około 3 proc. w Tallinie, mniej więcej tyle samo w skali kraju. Ale groźby wojny i ubóstwa odbiły się echem w elektoracie przygranicznym, a także w jego części, która do tej pory nie poszła do urn. Jeśli w 2019 roku frekwencja w Ida-Virumaa wyniosła 24 proc., to w tych wyborach do Parlamentu Europejskiego już 33 proc. Innymi słowy, wśród ludności kraju NATO graniczącego z Rosją jest prawdopodobnie masa ludzi, niezbyt widocznych dla socjologii, którzy są gotowi bezpośrednio lub pośrednio wspierać agresję wojskową Rosji.

Antonenko zwraca też uwagę na sytuację w sąsiednim kraju, też z dużą rosyjską mniejszością. „Łotwa zakazała prowadzenia kampanii w językach krajów spoza UE, a łotewska telewizja odwołała debaty w języku rosyjskim w obliczu protestów w mediach społecznościowych i na ulicach. W rezultacie partie tradycyjnie zorientowane na rosyjskojęzycznych wyborców otrzymały o dwa mandaty mniej. Spośród tak zwanych rosyjskich polityków do Parlamentu Europejskiego dostał się tylko były burmistrz Rygi, Nils Uszakow, którego partia Saskana otrzymała jeden z dziewięciu mandatów zamiast dwóch. Rosyjski elektorat po prostu nie wziął udziału w wyborach. W Rydze frekwencja spadła z 40 proc. w 2019 roku do 26 proc. w 2024 roku. A wynik Saskany spadł z 26 proc. do 12 proc. Jednak reprezentacja partii prawicowych i prawicowo-radykalnych pozostała na tym samym poziomie, a łotewskie siły liberalne otrzymały dwa mandaty zamiast jednego".

▶ Zmiany w polityce UE? Kosmetyka

Zwiększona reprezentacja prawicy w Parlamencie Europejskim może przede wszystkim utrudnić uchwalanie przepisów UE, którym tradycyjnie się ona sprzeciwia. „Chodzi o zielony kurs, przejście na alternatywne źródła energii i migrację" – wylicza analityczka z European Policy Centre (Belgia) Lisa Sari. „Wiele założeń prawicowej ideologii zostanie uznanych za normę, a partie centrowe przesuną się w ich kierunku" (Dina Sacharowa, „Nie rewolucja, ale trend. Prawica w UE stała się silniejsza", Radio Swoboda, 10 czerwca 2024). Bloomberg zwraca uwagę, że „UE stoi również przed wyzwaniami, takimi jak utrzymanie stabilności fiskalnej przy jednoczesnym inwestowaniu w bardziej ekologiczną przyszłość, zwiększenie konkurencyjności europejskiej produkcji i wzmocnienie zdolności obronnych w obliczu perspektywy powrotu Donalda Trumpa na urząd prezydenta USA, co może mieć wpływ na wszystko, od handlu po politykę ochrony środowiska". Jak zaś pisze Jozwiak, „partie tworzące populistyczną prawicę z pewnością zgadzają się, że Bruksela ma zbyt dużą władzę, ale na tym podobieństwa się kończą. Na przykład ECR ma tendencję do bardzo jastrzębiej postawy wobec Rosji, na czele której stoi zwłaszcza polski PiS, ale także zaskakująco Meloni, która przesuwa się do centrum, co prowadzi do spekulacji, że chce dołączyć do EPL. Z drugiej strony, grupa ID jest otwarcie prorosyjska i nie jest skłonna do kompromisów w Parlamencie Europejskim (ECR dość często głosuje z grupami głównego nurtu, zwłaszcza w kwestiach polityki zagranicznej)".

Parlament Europejski nie jest jedynym organem ustawodawczym UE, ale swego rodzaju izbą niższą – zwraca uwagę Sacharowa. „Ustawy są opracowywane przez Komisję Europejską i głosowane najpierw w Parlamencie, a następnie w Radzie Unii Europejskiej. Rada nie ma stałych członków, zmieniają się oni w zależności od uchwalanego prawa. Jeśli chodzi na przykład o inicjatywy środowiskowe, w skład Rady wejdzie 27 ministrów środowiska UE. Rada jest mniej dotknięta obecnym przesunięciem na prawo, ponieważ składa się z ministrów rządów UE, a partie prawicowe są tam reprezentowane tylko marginalnie. Powodem jest niewypowiedziana praktyka w krajach europejskich, aby nie wchodzić z nimi w koalicje". Jednak z biegiem lat i wraz z rosnącą popularnością prawicy wśród ludności, europejskim partiom centrowym coraz trudniej jest przestrzegać tej praktyki, mówi Lisa Sari. Jako przykład podaje Holandię, gdzie partie centrowe po sześciu miesiącach negocjacji ogłosiły utworzenie koalicji rządowej z prawicową Partią Wolności, która wygrała zeszłoroczne wybory parlamentarne. „Dziesięć lat temu to, co dzieje się teraz w Holandii, byłoby nie do pomyślenia. Europa zawsze starała się wykluczyć skrajną prawicę z debaty politycznej, teraz staje się to niemożliwe" – mówi Lisa Sari (Dina Sacharowa, „Nie rewolucja, ale trend. Prawica w UE stała się silniejsza", Radio Swoboda, 10 czerwca 2024).

„Jest prawdopodobne, że przechylenie na prawo będzie miało wpływ na niektóre obszary polityki. Na przykład Parlament Europejski może stać się mniej ambitny w kwestiach środowiskowych i bardziej rygorystyczny w kwestiach migracji. […] Jeśli chodzi o politykę zagraniczną, nie oczekuje się, że nowo wybrany Parlament Europejski wiele zmieni. Poparcie dla Ukrainy i dalszego rozszerzenia UE będzie nadal stanowiskiem większości. I choć mogą pojawić się eurodeputowani zajmujący prokremlowskie stanowisko, jest bardziej prawdopodobne, że będą oni wykorzystywać tę izbę jako platformę do papugowania kremlowskich przemówień, zamiast wykonywać znaczącą pracę legislacyjną. Poza tym Parlament Europejski nie dyktuje polityki zagranicznej UE. Jest to wyłączna domena państw członkowskich UE" – podsumowuje Rikard Jozwiak („Analizując wynik wyborów", 10 czerwca 2024, Radio Free Europe/Radio Liberty). ■

eprasa.pl aca4cd9bff

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Chiny–Afryka

Komunistyczna Partia Chin (KPCh) finansuje afrykańskie media, udostępnia treści i szkoli afrykańskich dziennikarzy, a działanie te mają służyć promocji chińskiej narracji i polityki w Afryce – stwierdza raport przygotowany przez Africa Center for Strategic Studies, instytucję działającą w ramach amerykańskiego Departamentu Obrony i zajmującą się badaniami nad Afryką.

Największą agencją prasową działającą w Afryce jest chińska państwowa agencja Xinhua. Ma ona na tym kontynencie aż 37 biur. Inny chiński gigant medialny, StarTimes, jest największym chińskim graczem na rynku afrykańskiej telewizji cyfrowej i drugim co do wielkości w Afryce po południowoafrykańskiej telewizji DSTV. Wielu młodych afrykańskich dziennikarzy jest szkolonych w Chinach i opłacanych przez chińskie podmioty medialne. W samej Kenii chińskie agencje medialne zatrudniają 500 dziennikarzy i pracowników lokalnych. Doświadczony kenijski dziennikarz, wyszkolony w Chinach, Joseph Odindo, były dyrektor redakcyjny Nation Media Group (największego konglomeratu medialnego w Afryce Wschodniej i Środkowej), zauważa, że pracując w Standard Group, kenijskiej grupy medialnej, musiał uważnie „liczyć" swoich pracowników. „Musieliśmy sporządzić wykres, który umożliwiłby nam sprawdzenie, kto w danym momencie był na szkoleniu w Chinach, kto miał wrócić i kto będzie następny – w przeciwnym razie połowa twojego newsroomu byłaby w Pekinie w trakcie szkolenia".

Wzmożone chińskie wpływy na media w Afryce to element globalnej strategii KPCh, służącej zdobyciu wpływów poprzez kształtowanie środowiska informacyjnego danego kraju. W 2013 roku podczas Krajowej Konferencji Pracy nad Propagandą i Ideologią prezydent Chin Xi Jinping mówił o tym, że media to pole bitwy o to, by „dobrze opowiadać historię o Chinach". Według KPCh media to arena walki, na której bez użycia siły militarnej można forsować własną narrację i politykę oraz dyskredytować narrację swoich przeciwników.

Tę walką nadzoruje Departament Propagandy KPCh m.in. za pomocą narzędzia, jakim jest wart 6 mld dolarów gigant medialny Głos Chin, który powstał w wyniku połączenia China Central Television (CCTV), China National Radio i China Radio International. Chiński dysydent i laureat Nagrody im. A. Sacharowa przyznawanej przez Parlament Europejski, Hu Jia, jasno stwierdza, że Głos Chin „został utworzony w celu eksportowania chińskiej ideologii poza jej granice". To m.in. tym kanałem idą pieniądze do wielu afrykańskich firm medialnych zmagających się ze słabym sprzętem, niskimi pensjami i napiętymi budżetami. Departament Propagandy KPCh zapewnia też bezpłatne treści, negocjuje umowy o udostępnianiu treści z nadawcami rządowymi i prywatnymi, kupuje udziały w wiodących firmach medialnych i oferuje to, co kenijski dziennikarz Bob Wekesa nazwał „darmowymi imprezami", czyli wysyłaniem afrykańskich dziennikarzy na całkowicie opłacone przez Pekin wycieczki do Chin, gdzie otrzymują pierwszorzędne traktowanie i wycieczki z przewodnikiem. Ma to zaszczepić pozytywny obraz ChRL.

Chińska strategia walki o wizerunek Chin i forsowanie własnej narracji to nie tylko kontrolowanie przepływu informacji, lecz także stosowanie dezinformacji, zwłaszcza w mediach społecznościowych. I tak na przykład chińscy dyplomaci w Afryce udostępniają informacje z chińskich mediów kontrolowanych przez KPCh na Facebooku, a to zostaje wzmocnione

eprasa.pl aca4cd9bff

wpisami i podaniami dalej przez fałszywe konta. W ten sposób zwiększony jest zasięg dezinformacji w internecie.

Raport Africa Center for Strategic Studies stwierdza, że pomimo tak ogromnych wpływów Chin na media na kontynencie afrykańskim, Pekin nie odnosi sukcesu w popularyzacji chińskiego modelu rządów. Badania Afrobarometru, panafrykańskiej sieci badawczej, pokazują, że mieszkańcy Afryki nieprzychylnie patrzą na model KPCh zakładający absolutną kontrolę partii nad państwem, rządem, wojskiem i społeczeństwem. 71 proc. Afrykanów woli demokrację jako najlepszą formę rządów, 81 proc. odrzuca rządy jednej partii, 80 proc. odrzuca rządy autorytarne, a 82 proc. odrzuca rządy wojskowe.

Japonia

Gubernator Okinawy, który stał się symbolem opozycji wobec amerykańskich baz wojskowych, poniósł klęskę w wyborach lokalnych, które odbyły się 16 czerwca. Denny Tamaki stracił większość w Zgromadzeniu Prefektury Okinawy. Wspierająca go koalicja, w skład której wchodzą m.in.: Komunistyczna Partia Japonii, Japońska Partia Konstytucyjno-Demokratyczna i Partia Socjaldemokratyczna, zdobyły zaledwie 20 z 48 mandatów w Zgromadzeniu. Po raz pierwszy od 2008 roku konserwatywne Partia Liberalno-Demokratyczna i Komeito posiadają większość w lokalnych władzach. „Uważamy, że tym wynikiem obywatele Okinawy pokazali swoje NIE administracji Tamakiego" – stwierdził Hiroki Nakada, kierujący Partią Liberalno-Demokratyczną na Okinawie.

Okinawa to największa wyspa archipelagu Riukiu rozciągającym się między Tajwanem a należącą do Japonii wyspą Kiusiu. Stany Zjednoczone mają na Okinawie około 30 tys. aktywnych żołnierzy rozmieszczonych w licznych bazach na całej wyspie, która stanowi zaledwie 1 proc. powierzchni Japonii, ale jest siedzibą 70 proc. wszystkich amerykańskich baz wojskowych w tym kraju. Przez lata narastało niezadowolenie mieszkańców Okinawy z tej amerykańskiej obecności, ale w ostatnim czasie w wyniku rosnącego zagrożenia ze strony Chin nastroje te zaczęły się zmieniać. Twarzą opozycji wobec baz był Denny Tamaki, który od 2018 roku jest gubernatorem Okinawy. Ojcem Tamaki był żołnierz Korpusu Piechoty Morskiej USA, który stacjonował w latach 50. na Okinawie. Denny Tamaka nigdy nie spotkał swojego ojca. Jako polityk Tamaka już 2009 roku wzywał do gwałtownego zmniejszenia liczebności wojsk amerykańskich na Okinawie, stwierdzając, że „najwyższy czas, aby rząd japoński pozwolił Okinawie wrócić do pierwotnego stanu" i że „należy odejść od uzależnienia naszej gospodarki od baz". Te postulaty były także głównym tematem jego kampanii na stanowisko gubernatora w 2018 roku. Wtedy m.in. ostro sprzeciwiał się przeniesieniu bazy lotniczej Korpusu Piechoty Morskiej USA Futenma w inne miejsce na Okinawie. Tamaka opowiadał się za całkowitą likwidacją tej bazy. W kwestii zagrożenia ze strony Chin miał często niejasne stanowisko. W czerwcu 2019 roku stwierdził, że nie należy się zbytnio niepokoić chińskimi patrolami w pobliżu spornych wysp Senkaku (administrowanych przez Japonię jako część prefektury Okinawa). Pojawiały się wtedy głosy, że Tamaka nie uważa, iż Senkaku to terytorium Japonii, i ostatecznie japoński polityk musiał wycofać się ze swojego stwierdzenia i oświadczyć, że został źle zrozumiany.

Tajwan

Tajwańscy rybacy, którzy 18 czerwca zrobili zdjęcia chińskiego okrętu podwodnego niedaleko Tajwanu, otrzymają nagrodę pieniężną w ramach programu Marynarki Wojennej mającego na celu zachęcanie do dokumentowania wtargnięć chińskiej armii. Okręt miał się znajdować w odległości około 200 km od zachodniego wybrzeża wyspy i prawdopodobnie była to najnowsza łódź podwodna typu 096 (klasy Tang) o napędzie atomowym należąca do Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Okręty podwodne o napędzie atomowym mogą przebywać pod wodą przez dłuższy czas. Tajwańskie media spekulują, że jednostka zauważona przez rybaków prawdopodobnie wracała z Morza Południowochińskiego do swojego portu macierzystego w Qingdao, a wypłynęła na powierzchnię z powodu awarii.

W ostatnich latach na wodach wokół Tajwanu coraz częściej pojawiają się chińskie okręty. Pekin prowadzi tzw. wojnę w szarej strefie, mającą na celu wyczerpanie wroga bez uciekania się do otwartej walki. Objawia się to wysyłaniem samolotów i okrętów w pobliże wyspy lub puszczaniem balonów obserwacyjnych nad jego terytorium.

Aby lepiej wszelkie wtargnięcia monitorować, ale przede wszystkim, by uczulić tajwańską społeczność na zagrożenie ze strony komunistycznych Chin, pięć lat temu Marynarka Wojenna Tajwanu wprowadziła system nagród za zgłaszanie obcego obiektu. Rybacy, którzy zauważą niezidentyfikowane statki wojskowe, zrobią zdjęcia i zgłoszą lokalizację, mogą otrzymać nagrodę w wysokości do 30 tys. NTD (około 3,7 tys. zł), jeśli informacje te zostaną wykorzystane. Gdy przekazane informacje są szczególnie cenne, nagroda może być jeszcze wyższa. Rybak przekazujący dane musi być obywatelem Tajwanu. ■

eprasa.pl aca4cd9bff



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Neapol śladami Maradony

O Diego Maradonie trudno tu zapomnieć. Wizerunki piłkarskiego bożyszcza znajdziemy w Neapolu niemal wszędzie. Będą na większości turystycznych straganów z pamiątkami. Bo Neapol nadal pragnie zarabiać na legendzie. Będą na muralach. Bo Neapol nadal chce mieć legendę u siebie. Będą nawet na przyulicznych kapliczkach…

eprasa.pl aca4c


LIMITE QUART. PENDINO
makergarcia

Mówią o tym mieście, że nie sposób pozostać wobec niego obojętnym. Że wzbudza skrajności. Że prowokuje. Bo rzeczywiście trochę tak jest. Jednych Neapol ujmie. Innych przerazi i odrzuci. Osobiście doświadczyłem obu tych stanów. Dlatego na początek dwa obrazy.

Niejednorodne miasto

Lampka tląca się w jednej z neapolitańskich pracowni. Obok rozrzuconych mnóstwo książek. W kącie stoi czarny fortepian. Wszędzie leżą jakieś przedmioty. Wśród całego tego artystycznego bałaganu wiedzie tylko jedna wąska ścieżka. Nie mam wyjścia. Ruszam. Mijam stary telefon stacjonarny. Obok na ścianie wisi kalendarz z 1912 roku. Nieco dalej śmiałe akty kobiet o rubensowskich kształtach. A jeszcze dalej obraz Matki Bożej. Uwaga! Schodek! Byliśmy na antresoli. Pora iść na dół. W kierunku taktów wygrywanych przez rzężącą szafę grającą. Leci jakiś wiekowy jazz. Jest doprawdy niesamowicie. Nie pamiętam, kiedy czułem podobną atmosferę.

Wtem do pracowni wchodzi siwawy mężczyzna. To chyba kolega właściciela. Zasiadają w rogu pomieszczenia. Mam więc spokój. Nikt się nie będzie mną zajmować. Mężczyzna podkręca muzykę. Nuty zgrabnie prześlizgują się po zakurzonych regałach i półkach. Pomarańczowe światło spod abażuru nieśmiało podkreśla figury stojących obok siebie trzech ram do obrazów. Gdzieniegdzie muszę podnosić wysoko nogi, aby nie nadepnąć na leżące tu i ówdzie rekwizyty. Do pomieszczania wpada woń popołudniowej kawy. Włoskiej un caffè tropiącej mnie od pobliskiej bramy aż tutaj. Bramy naznaczonej rozgardiaszem jak większość neapolitańskich kamienic i zaułków. Zaśmieconych walającymi się śmieciami. Z wyglądającymi ze swoich parterowych mieszkań mężczyznami opartymi o framugi drzwi. Popalających papierosy. Obserwujących w milczeniu.

Taka odsłona Neapolu jest jednak zaledwie jedną z kilku, jakie potrafi przybrać to miasto. Jest bowiem także inna. Z pozoru także kolorowa i rozkrzyczana. Czyli taka, o jakiej piszą w kontekście Neapolu zachwyceni nim znawcy marketingu turystycznego. Problem w tym, że coraz więcej przemawia za tym, że ów koloryt i hałas to nic innego jak kolor dojmującego smutku oraz coraz głośniejszy krzyk beznadziei.

Trzeba bowiem wiedzieć, że współczesny Neapol to także miejsce okultystycznych praktyk i wróżbiarstwa. Włoskich przesądów i bluźnierstw. Nieprzypadkowo były członek kościoła szatana, a następnie twórca świątyni księcia ciemności seta, Michael Aquino, właśnie w tym mieście ulokował filię swojej świątyni. Nieprzypadkowo główny front neapolitańskiego kościoła Gesu Nuovo



Sławna łza, którą w chwili odejścia z klubu w 1991 r. miał uronić Argentyńczyk

zdobią dziesiątki małych piramidek, które według pogubionych mieszkańców Neapolu mają „przyciągać dobrą energię". Nieprzypadkowo w sławnej uliczce szopek na Via Gregorio Armeno coraz częściej zamiast figurek tulonego przez Maryję i Józefa małego Jezusa można znaleźć figurki wiedźm oraz szkaradnych postaci, których pochodzenia możemy się jedynie domyślać. Wreszcie nieprzypadkowo to właśnie w Neapolu swój nieomal boski kult otrzymał swego czasu od ludzi Diego Maradona, dla którego do dziś buduje się tu ołtarzyki przechowujące jego łzę czy tworzy murale imitującego jego postać na postać świętego.

Bo Neapol potrzebuje bogów. Coraz częściej odrzucając Boga chrześcijan, koncentruje się na coraz to nowych dostawcach wszelakich bodźców. Traktując kult św. Januarego jak zabobon polegający na wróżeniu przyszłości, zamiatając pod dywan wielkość i sławę duchowego giganta, jakim bez wątpienia był najpokorniejszy z pokornych księży o. Dolindo Ruotolo. Koncentrując się na herosach współczesnego świata. Na tych najgłośniejszych i najbardziej sławnych. Tak też było swego czasu z pewnym argentyńskim piłka-

eprasa.pl aca4cd9bff

rzem. Zresztą patrząc dziś z perspektywy czasu i znając mentalność Neapolu, trudno byłoby znaleźć lepsze miejsce na rozwój kultu jego osoby oraz szaleństwa i specyfiki oddania wśród mieszkańców, jak to tutaj. Posłuchajmy zatem i tej opowieści…

„Ten mecz trzeba rozegrać!"

Acerra. Niespełna 60-tysięczna miejscowość. Dziś to przede wszystkim sypialnia dla Neapolu. Jednak za czasów pamiętnego poniedziałku 25 stycznia 1985 roku było to przede wszystkim największe w całej Europie składowisko nielegalnych odpadów oraz narastających konfliktów społecznych ze sławną Camorrą w tle. Pamiętnego dnia żadne z powyższych nie miało jednak znaczenia. Wszak tego popołudnia w Acerrze miał pojawić się cały zespół Napoli. A przede wszystkim on. I to w roli głównej.

Ma na imię Pietro Puzone. Jest piłkarzem Napoli, którego rodzina mieszka właśnie w Acerrze. Tak się składa, że mimo niepozornej roli w drużynie Błękitnych, właśnie on ma wyjątkowo dobry kontakt z tym, wokół którego od kilku miesięcy w Neapolu wszystko się kręci. Od którego zaczyna się każdy nagłówek włoskiego dziennika, którego oddech mierzy każdego dnia kilkaset tysięcy zapalonych fanów Napoli. Z nową gwiazdą drużyny, Diego Armando Maradoną. Któregoś dnia Puzone, wykorzystując swoją znajomość, proponuje Argentyńczykowi zorganizowanie pomocy dla syna sąsiada jego rodzinnego domu. Okazuje się, że chłopiec, młody kibic, cierpi na ciężką chorobę. Biednej rodziny nie stać na podjęcie kosztownego leczenia poza granicami kraju. Potrzeba zrobić zbiórkę. Najlepiej przy okazji meczu charytatywnego.

– Gdzie? – pyta Maradona.

– U mnie w rodzinnym mieście. W Acerrze – odpowiada odważnie Puzone.

Przez grzeczność nie dodaje jednak kilku szczegółów. Że mecz miałby się odbyć na tamtejszym klepisku. Między zaparkowanymi w styczniowym błocie samochodami. Maradona kiwa głową. Zgadza się. A razem z nim cała pierwsza drużyna Napoli.

Wiadomość lotem błyskawicy dostaje się do prezesowskiego gabinetu pana Corrado Ferlaino. Zdenerwowany wydaje kategoryczny zakaz jakiegokolwiek wyjazdu drużyny do Acerry. Wszak dzień wcześniej w niedzielę piłkarze mają ważne spotkanie. Granie od razu jednego meczu po drugim jest w opinii Ferlaino złym pomysłem. Nie mówiąc już o jakości murawy, na jakiej miałby się odbyć mecz. Gracze mogą doznać przecież poważnych kontuzji. Otoczony glorią chwały Maradona przychodzi więc osobiście do prezesa, aby prosić o zgodę. Wykłada z prywatnych środków 12 mln lirów, aby obejść klubowe rozporządzenie i ominąć prezesowski zakaz. W sprawę miesza się



Kapliczka ku czci Diego Maradony w neapolitańskim barze Nilo

także Lloyds Bank, ubezpieczając dodatkowo kontrakt Maradony na ten jeden konkretny mecz.

– Pieprzyć ich! – krzyczy na jednym ze spotkań z włodarzami klubu Maradona kilka dni przed oczekiwanym meczem. – Z ich pomocą czy bez niej. Ten mecz w Acerrze trzeba po prostu rozegrać. Dla tego chorego dziecka.

Bezdomny dobrodziej

I rzeczywiście. Po hucznym niedzielnym zwycięstwie Napoli nad Lazio 4:0 na następny dzień cała pierwsza drużyna szykuje się do wyjazdu do nieodległego miasteczka. Wieść o przybyciu gwiazd zdążyła już obiec uliczki Acerry. Pomimo deszczowej i zimnej aury pod miejscowym boiskiem melduje się 10 tys. ludzi. Boisko pozbawione jest trybun, więc ludzie stają wokół murawy. Między zaparkowanymi w błocie samochodami. Stoją w kaloszach, przykryci setkami parasoli. Część na balkonach okolicznych domów, część wspinając się na dachy.

Finalnie mecz dojdzie do skutku. Organizatorzy zaś zbiorą 20 mln lirów, przeznaczając ją w całości na leczenie chłopca. Być może ratując mu w ten sposób życie. Chłopiec bowiem przeżyje operację. Żyje zresztą do dziś. Ma żonę i rodzinę.

Nieco inny los będzie czekać samego Puzone. Cichy bohater całej akcji nie zrobi w Napoli wielkiej kariery. Swoją zawodową przygodę z profesjonalną piłką zakończy już w wieku 27 lat. Niestety gubiąc się totalnie w nowej pozapiłkarskiej rzeczywistości. Niedawno został rozpoznany przez kilkoro ludzi jako jeden z bezdomnych przesiadujących na ławce którejś z uliczek Acerry. I tak jak przed niemal 40 laty Puzone pomógł synkowi sąsiada, organizując dla niego charytatywny mecz z udziałem Maradony, tak teraz byli koledzy z boiska zorganizowali pomoc dla swego bez-

eprasa.pl aca4cd9bff

domnego znajomego. Dzięki niej mógł trafić do szpitala na specjalistyczne badania i podjąć leczenie.

„Witamy we Włoszech"

Ta historia to zaledwie jedna z setek, jakie znają na pamięć mieszkańcy Neapolu o swoim bożyszczu. Maradonie poświęcane są przyuliczne kapliczki, murale na kamienicach, jego imieniem nazywane są stadiony, pomniki, budynki. Dziś to bez wątpienia jego miasto.

– Dwa razy widziałem płaczącego ojca – siedzący w lokalnej pizzerii przy obłożonym papierowymi ceratami stole Gaetano naraz poważnieje. Mieszka w Neapolu od urodzenia. – Raz, gdy ocalał z bardzo groźnego wypadku samochodowego. A drugi raz rok temu. Gdy Napoli po 30 latach ponownie odzyskało scudetto.

Ubiegłoroczne zwycięstwo Neapolu w krajowych rozgrywkach klubowych było dla mieszkańców tego miasta bardzo ważne. Wszystko przez politykę oraz podziały wewnętrzne rozdzierające Półwysep Apeniński na dwoje.

Dla przeciętnego mieszkańca Neapolu pamiętne siłowe zjednoczenie Włoch przez masona Giuseppe Garibaldiego poprzedzone jego majową wyprawą z 1860 roku z oddziałem ubranych w czerwone koszule zbrojnych ludzi na Neapol – to nadal bardzo źle wspominana data w neapolitańskim kalendarzu. „Wyprawę tysiąca" poparli wówczas miejscowi chłopi oraz rewolucjoniści. Wystarczyło. Wojska Garibaldiego obaliły dynastię Burbonów, zadając kres Królestwu Obojga Sycylii. Neapol przestał być królestwem. I do dziś mieszkańcy miasta mają pretensje do północy Włoch o grabież ich majątku i niesprawiedliwy układ podczas jednoczenia państwa. Animozje pojawiają się siłą rzeczy i dziś. Gdy zespół z Neapolu jedzie na mecz do Turynu bądź Mediolanu, często z trybun wita ich wielki baner z napisem: „Witamy we Włoszech". Napięcia narastają. Trudno się więc dziwić, że gdy Napoli zdobywało swój trzeci tytuł w historii, triumf nad północnymi sąsiadami świętowało, wywieszając herb włoskiej flagi… do góry nogami.

Przybywający przed laty do włoskiego miasta syn ubogiego małżeństwa Diego i Dalmy Salvador Maradonów, zamieszkujących zrujnowany dom jednego z argentyńskich slumsów pod Villa Fiorito, bardzo szybko stał się symbolem i wzorem dla tysięcy biednych neapolitańczyków, którym ciężko było związać koniec z końcem. Jego trudna historia pasowała do tego miasta. Jego charakter pasował do tego miasta. Jego słowa i zachowania pasowały do tego miasta.

Razem ze swymi fanami oburzał się, gdy widział na trybunach stadionów banery ze wspomnianym hasłem. Zaś w pamiętnym roku 1990, gdy na neapolitańskim stadionie w półfinale Mundialu spotkały się reprezentacje Włoch i Argentyny, namawiał mieszkańców do kibicowania Albicelestes. Dziś wiemy, że bardzo wielu go posłuchało.



Patron miasta czuwa. Sławny mural św. Januarego przy Via Vicaria Vecchia

Pizza à la Diego

I nadal chce go słuchać. Nadal chce go mieć. Tak było w lipcu 1984 roku, gdy na oficjalnej prezentacji Maradony w barwach Napoli zgromadziło się na stadionie Sao Paolo 75 tys. ludzi – gdy to chętni musieli zapłacić odpowiednio 1000 (miejsca na zakole trybun), 2000 (trybuny boczne) i 3000 lirów (trybuna główna) i pomimo to bilety zeszły jak świeże bułeczki. Tak było, gdy namawiał do zbiórki na chorego chłopca z Acerry. Tak było, gdy zaledwie po trzech latach od transferu świętował już opaską kapitana na ręce pierwsze w historii Napoli mistrzostwo Włoch. Odbierane przez mieszkańców jako ostateczne odkupienie upokarzanego przez wieki miasta. Jako zemsta na Północy. I tak jest dziś, gdy spacerujemy uliczkami hałaśliwego i zabałaganionego Neapolu, widząc murale, graffiti, plakaty czy kapliczki z jego wizerunkiem.

eprasa.pl aca4cd9bff

Po każdym meczu na Diego Maradonę zawsze czekał zarezerwowany stolik w restauracji „Sarago" na Piazza Sannazzaro. Tutaj Argentyńczyk czcił swoje zwycięstwo najlepszą rybą w Neapolu. Nie stronił jednak także od klasycznego dania miejscowej kuchni. Do swojej pizzerii potajemnie prowadzał go choćby sławny w Neapolu Luciano Sorbillo, właściciel i sam szef kuchni słynnej tutejszej pizzerii, gdzie z czasem wprowadzono nawet do menu pizzę nazwaną od imienia piłkarza.

Maradona zamieszkał w miejscu, które sami mieszkańcy Neapolu uważają za najpiękniejsze miejsce na Ziemi. Mowa o wznoszącym się tuż obok wybrzeża wzgórzu Posillipo, gdzie, jak sami mawiają, „góry zdają się dotykać morza i słońca zarazem". Skąd rzeczywiście rozpościera się przepiękny widok na pobliskie wyspy Ischia i Capri.

Włos i łza

Równo 180 metrów na zachód od ujścia najsławniejszej uliczki miasta – pełnej bożonarodzeniowych szopek Via San Gregorio – znajduje się zupełnie niepozorny „Bar Nilo". W ciągu dnia wcale nie tak znowu zatłoczony. Jest godzina 13, gdy przekraczam jedne z dwojga drzwiczek prowadzonego przez Bruno Alcidiego baru. Tego samego człowieka, który przed kilkoma laty wracał samolotem razem z drużyną Napoli z wyjazdowego meczu w Mediolanie. Wychodząc z samolotu Alcidi zauważył, że na miejscu, na którym siedział Maradona, ostał się po nim włos. Przedsiębiorczy instynkt nakazał mężczyźnie zabrać pamiątkę. Pamiątkę, która dziś wsławiła „Bar Nilo" na cały świat jako „Bar włosa Maradony".

Zamawiam kawę. Bez zamówienia nie będę mógł zrobić zdjęcia. Na prawej ścianie pod klimatyzatorem stoi biała à la kapliczka. W oprawionej ramce wspomniany włos Diego Maradony. W jej górnej części w szklanej osłonce jest jednak coś jeszcze. Jak sugeruje podpis pod obracającą się buteleczką, jest to łza. Łza, która w 1991 roku popłynęła z oczu argentyńskiego piłkarza. Czy jednak była to łza po momencie wzruszenia, gdy piłkarz żegnał się z Napoli, czy może raczej po otrzymaniu przez niego wyników testu antydopingowego, tego już jasno nie sprecyzowano.

Jasno sprecyzowany jest za to przekaz utrzymanego w neapolitańskim dialekcie wierszyka na cześć piłkarza. Jego autor wzywa młodych chłopców do naśladowania argentyńskiego bożyszcza. Wokół kapliczkowego monumentu przylepionych mnóstwo zdjęć. Część wręcz bluźnierczych. Maradona imitowany na Chrystusa. Maradona w czerwonych kapłańskich szatach. Maradona jako postać, od której wychodzą świetliste promienie.



Najbardziej żywiołowo o piłce nożnej Włosi rozmawiają zwykle przy trunkach

Z płomienistym słoneczkiem – symbolem Argentyny – w miejscu serca. Długo by wymieniać.

Z jednej strony człowieka wierzącego takie obrazowanie sławnego piłkarza może oburzać. Może irytować wystawianie mu kapliczek. Oddawanie czci jego włosom czy łzom. Warto jednak spojrzeć na to wszystko przez pryzmat neapolitańskiej wrażliwości. Wrażliwości miasta, które rzeczywiście od lat kojarzone jest z przesadą. Tutaj miłość musi mieć charakter gorącej lawy pobliskiego Wezuwiusza, zaś nienawiść zaciśniętej po wsze czasy pięści. Tutaj przyjazd argentyńskiej gwiazdy futbolu wyczekiwany jest z iście religijną gorliwością. Z obrazkami płaczących przy stole całych rodzin. W Neapolu nie ma półcieni. Paradoksem jednakowoż jest w Neapolu to, że zarazem nie ma tu absolutnie jasnej jednoznaczności. Z jednej strony wyczekuje się pod Duomo na cud Januarego, z drugiej oddaje się świątobliwą cześć zmarłemu piłkarzowi. Z jednej strony neapolitańczyk wierzy w moc 52 oficjalnych świętych patronów miasta opiekujących się jego małą ojczyzną, z drugiej zawierza mocy czerwonych rogów, których wymowa dla człowieka wierzącego jest aż nadto klarowna. Ekstrawagancja i wyniosłość. Koloryt i złudnie pojmowana wolność. Podniesione, jak to zawsze w przypadku Neapolu, do potęgi nieskończoności. W tym mieście naprawdę ciężko się myśli. Ale i ciężko żyje. Coraz ciężej.

Opisany wyżej „Bar Nilo" co rusz ogłasza zamknięcie interesu. Dzienny dochód oscylujący według prasowych źródeł w granicach 50 euro dziennie nie jest w stanie pokryć kosztów 5 tys. euro związanych z czynszem i opłatami na utrzymanie i zaopatrzenie baru. W trakcie pandemii bar został więc zamknięty. Alcidi zdecydował się jednak otworzyć interes zaraz po tym, jak świat obiegła informacja o śmierci Diego Maradony. Uznał, że spróbuje jeszcze raz. Od tamtej pory bar jakoś funkcjonuje. A argentyński piłkarz znowu okazał się być dla kogoś niczym szczęśliwy amulet.

I jak tu brać Neapol na poważnie? ■

eprasa.pl aca4cd9bff



Marcin Wolski

Obrona konieczna!

Zastanawiam się, co robi przeciętny młody człowiek – nieistotne czy z Krakowskiego Przedmieścia, czy z barcelońskiej La Rambli – kiedy pytają go o stosunek do obrony ojczyzny. Ucieka? A może stwierdza, że nie rozumie pytania? Bo co to w ogóle jest ojczyzna, miejsce, w którym przypadkiem się urodził? Chwilowo przebywa? Jaka różnica jest między Nowym Jorkiem a Nowym Sączem? Liczba mieszkańców? Internet, podobnie jak buda z hamburgerami, jest przecież wszędzie.

– A jeśli przypadkiem zaatakowałby cię wróg? – pytamy niezrażeni.

– To bym uciekł.

– Gdzie?

– Jak najdalej.

– A jakby ten wróg dotarł za tobą i najdalej?

– To bym płakał i się poddał. Zresztą nawet wroga da się polubić.

– Na pewno? A jeśli zedrze z ciebie katanę, wygoni z chaty, zabierze iPhone'a, ukradnie smartwatcha, wyrwie dziewczynę i ubierze w burkę, a tobie w najlepszym razie da do ręki motykę i wypędzi w pole?

– To niemożliwe!

Młodemu człowiekowi trudno sobie wyobrazić, jak krucha jest otaczająca go rzeczywistość, jak niepewne życie ludzkie, jak wąska granica dzieli człowieczeństwo od barbarzyństwa i że niewiele trzeba, aby zniknął baśniowy świat, w którym żyje. Byłem w Phnom Penh w Kambodży i wyobrażałem sobie ten dzień, kiedy całemu cywilizowanemu dwumilionowemu miastu kazano spakować manatki i ruszać na ryżowe pola śmierci. Ci, którzy nie mieli ochoty tego zrobić, zginęli na miejscu. Ale kto zdawał sobie sprawę w 1917 roku, czym będzie zwycięstwo bolszewików w Rosji, kto przypuszczał, wracając z wakacji 31 sierpnia 1939 roku, że jego świat właśnie się skończył?

Obrona przecież dotyczy nie tylko rzeczy materialnych, lecz może przede wszystkim systemu wartości, a jeśli to pojęcie zbyt trudne – stylu życia.

Można mieć w nosie groby dziadków, fotografie rodziców, którzy i tak prędzej czy później wylądują w domu starców, zmieniać mieszkania jak samochody i samochody jak partnerki lub partnerów. Ale jak porzucić wygodę, poczucie bezpieczeństwa, upodobania? Jak zamienić poranną kawę na zbożową lurę, a zmrożone piwko na ciepły, zatęchły „kwas"? A miękki przymus korpo na warunki łagrowe? Niewyobrażalne. Choć możliwe.

Sporo jest miejsc na świecie, gdzie pustynie lub moczary pokrywają zapomniane metropolie, których mieszkańcy nie chcieli lub nie umieli się bronić. Albo nie robili tego w sposób wystarczająco zdecydowany. Rozleniwił ich luksus, dzieci prawie nie mieli, a jeśli nawet dotarła do nich świadomość zagrożenia, byli już zbyt starzy, by coś z tym począć. Jak my?

Żyjemy w świecie starych ludzi i jeszcze starszych przywódców, których głównym dylematem coraz częściej bywa: zmienić politykę czy zmienić pampersa?

Gerontokracja to system, który łączy dziś despotyczną Rosję, schyłkowe Stany, jak i strupieszałą i starą – przede wszystkim duchem – Unię Europejską. Napoleon wygrywał, bo miał marszałków o połowę młodszych niż jego wrogowie. Aleksander Macedoński podbił świat grubo przed trzydziestką.

A dzisiejsza młodzież – nasze dzieci i wnuki, które lubią nazywać się „ostatnim pokoleniem" – nie chcą mieć potomstwa, nie chcą ograniczeń, nie chcą obowiązków, a przede wszystkim nie chcą zadawać sobie pytań. Po co żyją i dla kogo? To akurat wiadomo – dla siebie. A że uwiąd starczy dopada ich już w młodości? Trudno.

Ich kolorowi koledzy, którzy przepływają właśnie Morze Śródziemne, nie mają takich problemów. Chcą żyć, i to bardzo, płodzić jak najwięcej dzieci, budować własne świątynie i wprowadzać swój styl życia. I czasami trudno im nie kibicować.

Nie ma czegoś takiego jak ostatnie pokolenie. Oczywiście może być generacja stracona albo po prostu głupia. Ale po niej przyjdą następne. ■

eprasa.pl aca4cd9bff

Tomasz Sakiewicz

Zdążyć przed rozpadem

Donald Tusk zachowuje się tak, jakby brakowało mu już czasu. Drastyczne ruchy w mediach czy w prokuraturze można było jeszcze uzasadnić koniecznością skoncentrowania władzy w bardzo niestabilnym rządzie. Jednak działania w dziedzinie kultury czy edukacji albo błyskawiczna destabilizacja transportu kolejowego czy poczty – to sposób na szybką utratę władzy. Wygląda na to, że Tusk chce zrealizować kluczowe dla Niemców cele, zanim przestanie być premierem. Ale ten pośpiech w destrukcji demaskuje jego intencje i przybliża moment upadku. Skąd to zawrotne tempo?

Wynika ono z kompletnego braku wiary w utrzymanie władzy przez cztery lata. Co ciekawe, bardziej w to chyba wierzy kierownictwo PiS niż PO. Prawo i Sprawiedliwość ma własne doświadczenia pokazujące, że władza bardzo cementuje. Tusk właściwie ma podobne. Dlaczego tym razem nie wierzy w przetrwanie?

Najprawdopodobniej zna lepiej sytuację zarówno w koalicji, jak i w gospodarce. Jest faktem, że pod koniec 2023 roku nagromadziło się wiele napięć w finansach. To był efekt walki ze skutkami pandemii w ekonomii i destabilizacji rynku – szczególnie energetycznego – wywołanej przez wojnę. Doszły do tego potężne wydatki na tarcze ochronne dla ludności i zbrojenia. Rządy PiS-u miały na to jeden pomysł: uciekać do przodu. Duże inwestycje miały rozruszać gospodarkę, a to miało zapełnić dziury finansowe. Pojawił się problem usztywnienia wzrostu wynikający z błędów wobec małych i średnich firm, szczególnie obciążenia ich składką zdrowotną. Wiele z nich zamknęło się lub uciekło w szarą strefę.

Rządy Tuska mimo obietnic nic tu nie zmieniły. PiS mógł jeszcze liczyć na wielkie inwestycje z zagranicy, na przykład w CPK itd. Te jednak zostały wstrzymane przez ludzi Tuska. Rezultat: jest coraz mniej pieniędzy w gospodarce, a kapitał przerażony rosnącymi kosztami ucieka z Polski. Zaczynają się masowe zwolnienia i rośnie bezrobocie. Kulminacja negatywnych czynników może nastąpić już na jesieni. Tusk do tego czasu chciał „zaorać" koalicjantów, ale uzyskał chyba efekt odwrotny – osłabił ich, ale jednocześnie zachęcił do szukania alternatywnych rozwiązań. Po wakacjach może dojść do próby zmiany rządu albo rozwiązania Sejmu. To drugie jest dla Tuska bardzo ryzykowne, ale wygrane wybory – nawet nieznacznie – wzmocniłyby go wobec koalicjantów. Żeby ich zdyscyplinować, musi ich tym szantażować. Z kolei koalicjanci mogą go straszyć odwróceniem sojuszy i dogadaniem się z PiS. Na pewno w ich interesie nie jest już dalsze osłabianie partii Kaczyńskiego.

Po wakacjach może dojść do próby zmiany rządu albo rozwiązania Sejmu. To drugie jest dla Tuska bardzo ryzykowne, ale wygrane wybory – nawet nieznacznie – wzmocniłyby go wobec koalicjantów. Żeby ich zdyscyplinować, musi ich tym szantażować.

Tusk wie, że robi się niestabilnie. Spieszy się, bo za chwilę może stracić możliwość radyklanych ruchów, a Niemcy za darmo popierać go nie będą. ■

eprasa.pl aca4cd9bff

polsat box plus

TV + Światłowód

19 zł /mies.

przez pierwszy rok po rabatach

Od 13. mies. 70 zł/mies. z rabatami, od 25. mies. 99 zł/mies. z rabatem.
Telewizja Pakiet S – 57 kanałów, Światłowód S – do 300 Mb/s.

Pobierz ulotkę

Dotyczy prezentowanych ofert łączonych dla nowych Klientów na min. 24 mies. **Światłowód Plusa S** z rabatami (e-faktura, smartDOM i specjalny) 19 zł/mies. przez 12 mies., od 13. mies. 40 zł/mies. z rabatami (e-faktura i smartDOM), od 25. mies. 59 zł/mies. z rabatem (e-faktura). Rabaty mies.: e-faktura 10 zł, specjalny 21 zł, smartDOM 9 zł. Szczegóły w Regulaminie „Plus internet stacjonarny – oferta łączona" na plus.pl. **Telewizja Polsat Box Pakiet S** przez pierwszy rok bez opłat, w drugim roku 30 zł/mies., potem 40 zł/mies. „Bez opłat" nie obejmuje pakietów dodatkowych, usług technicznych i opłaty jednorazowej za aktywację dekodera. Liczba kanałów uwzględnia kanały niegwarantowane. Min. prędkość 8 Mb/s dla kanałów HD i 25 Mb/s dla kanałów 4K na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie na polsatbox.pl **Warunkiem skorzystania z rabatu** smartDOM jest zachowanie warunków tego programu i zgoda na przekazywanie danych pomiędzy Cyfrowym Polsatem S.A. a Polkomtelem Sp. z o.o. Szczegóły w Regulaminie „smartDOM 5 – Telewizja, Internet, Telefon" na polsatbox.pl i plus.pl. Oferta ważna na dzień 27.06.2024 r.

eprasa.pl aca4cd9bff